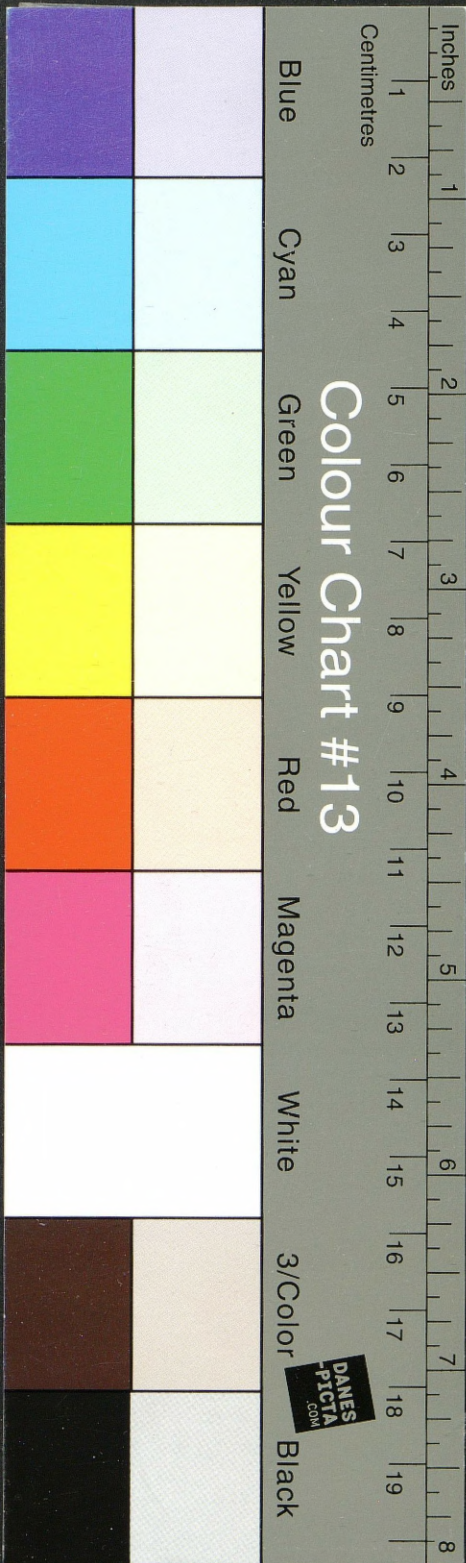
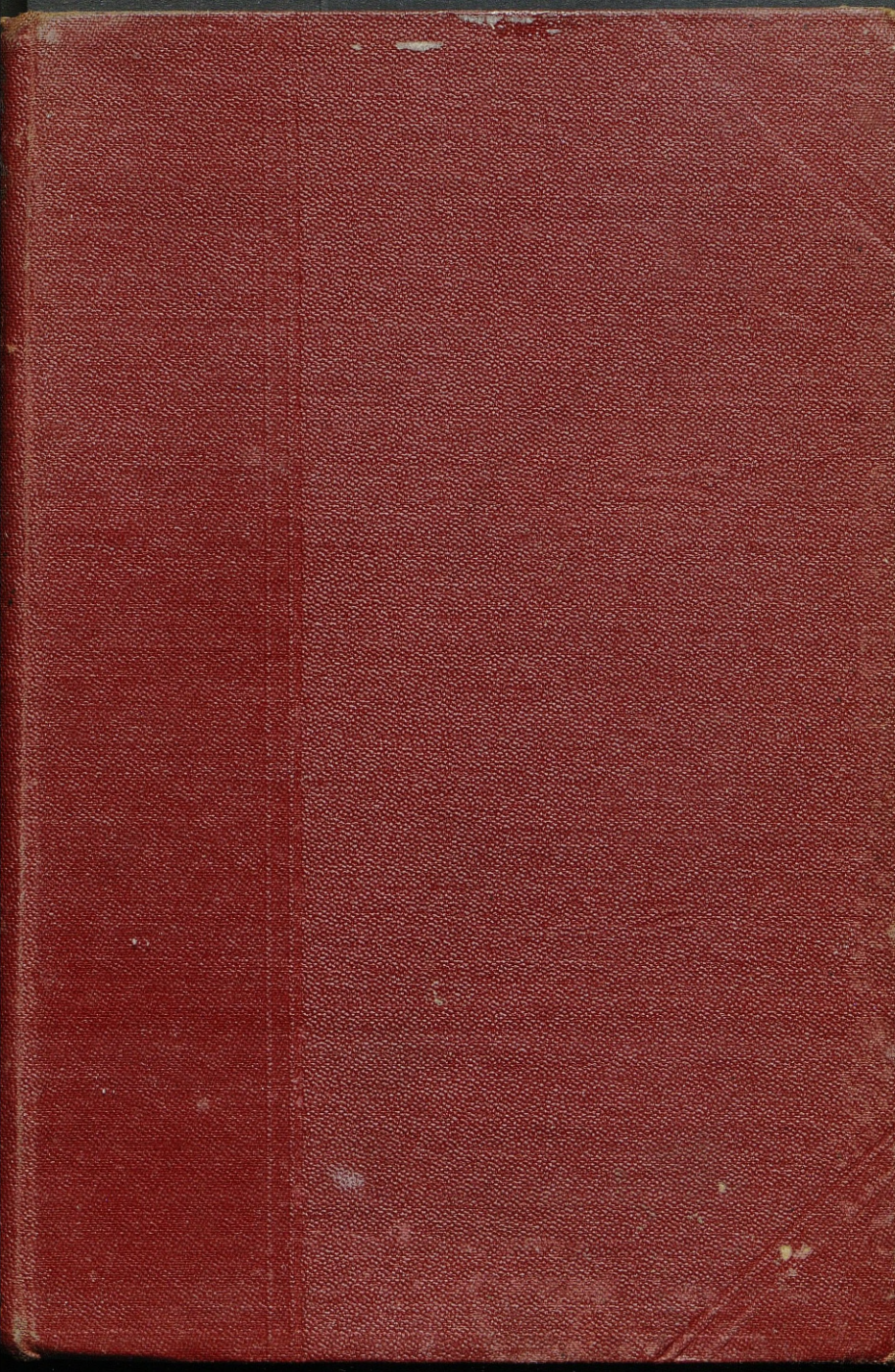
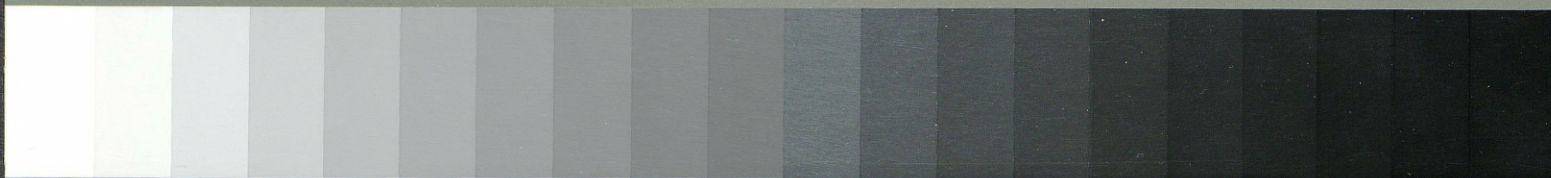
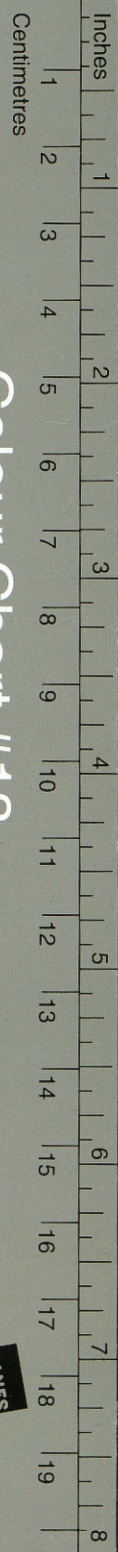


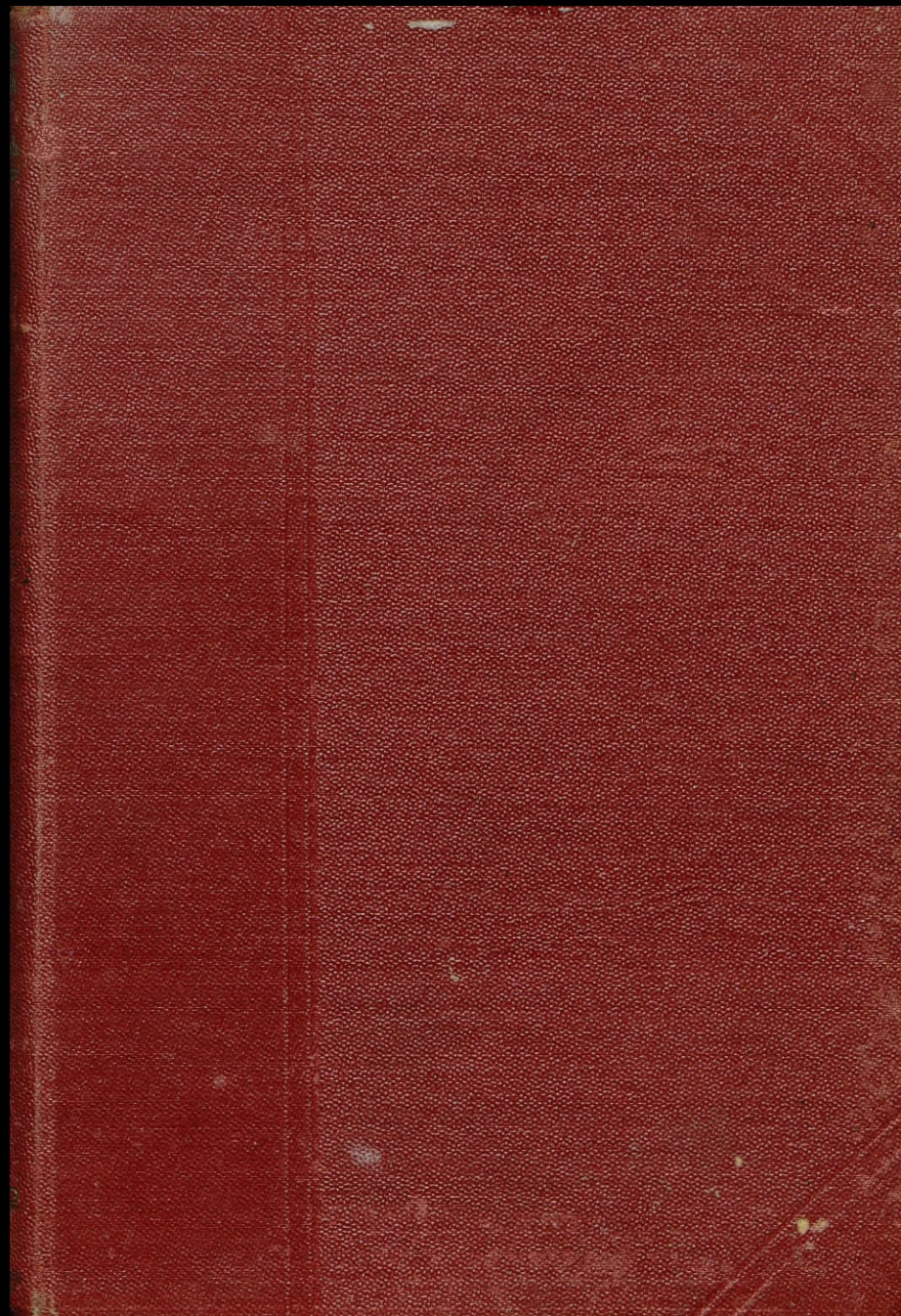
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10  
Półrocznie (26 tomów) „ 5  
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50  
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 12  
Półrocznie (26 tomów) „ 6  
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

### DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . . rs. 6 kop. —  
Półrocznie. (za 26 tomów). . . . „ 3 „ —  
Kwartalnie (za 13 tomów). . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,  
Dr. Julian Ochorowicz,  
Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski.*



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 564,  
we Lwowie Plac Marjański 14.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 131.

# MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

*SZYMONA KONOPACKIEGO*

(1816—1826).



*Szymon Konopacki*

TOM II.

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1900.



# MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

SZYMONA KONOPACKIEGO

6. Prezesa Izby Cywilnej Wołyńskiej i Marszałka powiatu Zaslawnego

(1816—1823).

——  
Tom II.  
——

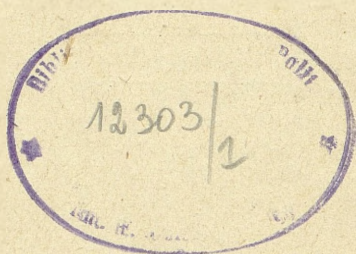
WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Swiat 47.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 20 Октября 1899 года.



Bywając w rozmaitych domach, w Krzemieńcu zamieszkałych, nawiedzałem też i państwa Malczewskich, Podolanów z Tarnorudy, rodziców Piusa i już wydanej za bogatego Sobańskiego córki, z którą łącznie wychowywała się najstaranniej ich siostrzenica, panna Chrząszczewska, bardzo miła i pełna talentów blondynka. Bywałem tam czasami zapraszany na partyę wista, w którym wcale nie mając upodobania, dogadzałem tylko w tem obojgu staruszkom, gdy czwartej brakowało osoby, a za to panna Chrząszczewska wynagradzała mi cudnym przy fortepianie śpiewem tkliwej pieśni Kropińskiego: *Moja-to, moja Emina!* z jego powieści, p. t. *Julia i Adolf*. Zachwycała mnie każda piękna muzyka, a więc nie mogłem ułaić, ile ten śpiew jej był dla mnie przejmujący i miły, ale Bóg świadkiem, żem nigdy serca jej nie badał. Nie mogłem przewidzieć, że moje grywanie tam w wista zdołało stanowić przeszkodę komuś w grze ważniejszej, bo o los życia. Znałem z widzenia tylko policmajstra krzemienieckiego, pułkownika liczącego się w armii, Laryusa. Wdowiec to był w latach trzydziestu kilku, pięknie ukształcony, przystojny, słusznego wzrostu, wszędzie po domach obywatelskich dobrze widziany. Ten pułkownik raz przychodzi do mnie. Po grzecznej prezentacyi, gdyśmy sam-na-sam zasiedli, toczyła się z początku rozmowa w przedmiotach obojętnych, o jakich w ludnem mieście nietrudno. Nakoniec z wielką nieśmia-

ością, z wyraźną obawą obrażenia, podaje mi pułkownik kwestyę: czy ja bywając u państwa Malczewskich zamierzam starać się o ich siostrzenicę? Gdy mu powiedziałem, że wcale tej myśli nie mam, on wówczas wyznał, że ta panna mocno go zajęła i że jeśli to być może, on ośmiela się prosić mnie, abym nie okazywał jej jakichbądź grzeczności, gdyż ona z takich pozorów może wnosić, iż mam na celu zjednać sobie jej serce.

Dalem zacnemu pułkownikowi słowo, że odtąd zaprzestanę bywać u państwa Malczewskich. Uspokojony w tym względzie, pożegnał mnie.

W parę tygodni potem wszedłem do kościoła na niedzielną mszę licealną. Po mnie weszła pani Malczewska z siostrzenicą. Tamta usiadła w ławce przedemną, a ta obok mnie. Powitaliśmy się jako znajomi uchyleniem głowy.

Wkrótce dzwonek oznajmił wyjście ze mszą księdza. Panna Chrzęszczewska uklękła i szepnęła:

— *Monsieur Konopacki! Priez pour moi!*

Żal mnie przejął nad biednym dziewczęciem! Pewnie ją starają się nakłonić do niemiłego dla niej związku!

Pułkownik przecież nie otrzymał jej ręki, a czy wyszła za mąż i za kogo po wyjeździe moim z Krzemieńca, nie miałem żadnej o tem wiadomości.

Już blisko trzech lat ślęczałem nad dokumentami pojezuickimi. Najmilsza ich osłoda, Bogunia, już ma lat 16. Dochodzą wieści o tem mniemaniu po niektórych domach, że wkrótce ma nastąpić nasz związek. Matka jej, zawsze dla mnie najżyczliwsza, wyraźną objawia radość z serdecznych pomiędzy nami stosunków. Lube dziewczę, może z samego nawyknięcia, przywiązało się do mnie; jakże nie kwilić na gniazdeczko? Wszystko temu sprzyja, tembardziej, że kochany brat mój Franciszek, przypominając listem swoim, że w następnym 1823 roku w marcu ukończy się czteroletnia Carówki wspólna dzierżawa, a ztąd

może wypadnie o innej pomyśleć zawczasu, donosi zarazem, że jego gospodarstwu tak się poszczęściło, iż fundusze nasze, w tę posesyę włożone, już są dziś zdwojone, nie licząc w to mnóstwa remanentów w korniach i rogaciznie. A więc postanawiam cichutko naprzód wysłać prośbę o uwolnienie mnie od urzędu dla domowych interesów moich; upatrzyc przez przyjaciół osobną dla siebie dzierżawę i wymodlić u ojca mego zezwolenie na związek małżeński w pokrewieństwie trzeciego stopnia. Punkt najpierwszy tego postanowienia natychmiast spełniłem: prośba już wysłaną została.

Niezwłocznie napisałem do przyjaciela ze szkół, Józefa Bobrowskiego, że się uwalniam od urzędu i proszę go, aby wynalazł dla mnie dzierżawę niewielką.

Dobry Józef, rad, że mnie wyrwie z więzów krzemienieckich, zaleca mi wieś Czeczetówkę w powiecie Winnickim, gubernii Podolskiej, gdzie sam był z matką swoją trzyletnim posesorem, gdy toczył proces wygrany z ojczymem, i że ta wioska z innemi kilku wsiami jest dziedzictwem małoletniego Nepomucena Giżyckiego, zostającym pod opieką jego stryja, generała Bartłomieja, gubernatora wołyńskiego. Wszystko się składa ku mojemu dobru: mam mieć do czynienia z generałem, który bardzo jest życzliwym dla mojego ojca, a dla mnie łaskawy względ okazał w liście do namiestnika Zajączka, gdym lat temu kilka wyjeżdżał do Warszawy. Niebawem gubernator Gیزیcki, w podróży po Wołyniu dla rewizyi powiatowych juryzdykcji, przybywa do Krzemieńca. Wyczekałem dzień jeden. Nakoniec, w obywatelskim mundurze, przy szpadzie idę do niego, aby mu złożyć uszanowanie. Wiedząc o tem, że należę do komisji edukacyjnej, której on nie cierpiał ztąd, że tam zasiadał niechętny mu Filip hrabia Plater, przyjął mnie z wyraźną obojętnością. Ale skoro mu powiedziałem, że się uwalniam z urzędu i że mam go pro-

sić o wypuszczenie mi w dzierżawę jednej z wiosek jego synowca, wnet z ożywioną twarzą uściśnął mi rękę, pochwalił mój zamiar i przyrzekł uwiadomić mnie listem w miesiącu listopadzie tegoż 1822 roku, kiedy mam przybyć do Żytomierza dla układów o tę dzierżawę.

Lecz w rządzie imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu doznaję niespodzianych trudności. Ówczesny rektor uniwersytetu prywatnym listem najgrzeźniej usiłuje skłonić mnie, abym nadal w urzędzie pozostał. Łechcąc moją miłość własną, przedstawia, że na zmianie prokuratora fundusze edukacyjne mogą ponieść stratę. Objawiłem nakoniec życzliwemu dla mnie pisarzowi komisji moją z Wilnem urzędową i prywatną korespondencyę, aby za jego wpływem komisya dopomogła mi przedstawieniem kogo innego na mojem miejscu. Rudzki na to:

— Ująłeś uniwersytet dwiema mianowicie czynnościami swemi, najprzód: żeś tercyałowe posyłał im raporta, czego Borkowski, nie robił; powtórze: żeś wygrał ważną sprawę graniczną dla liceum z Mniszchem, ale co do komisji, wątpię, aby żądaniu twemu dopomogła.

Powtórna wysłałem prośbę z tem, że tylko do pierwszych dni stycznia następnego 1823 r. mogę zajmować mój obowiązek; i znów od pana Sulistrowskiego, zastępcy rektora uniwersytetu, odebrałem list prywatny, podobny do pierwszego.

Nareszcie, pod koniec listopada, pan pułkownik policmajster oddał mi list od gubernatora Giżyckiego, pod jego adresem przysłany, a wzywający mnie do Żytomierza. Byłem u ciotek, aby je pożegnać; tam powiedziałem, gdzie i po co wyjeżdżam. Boguni ły się puściły, wyszła do nas, aby swobodniej popłakać. Matka jej z przybranym gniewem powstaje na mnie:

— Źle postąpiłeś, Szymonie! Nikt nie uwierzy, abys sam uwalniał się od swego urzędu, powiedzą,

że się pozbyli ciebie jako niezdatnego. A na koniec czemu byś nie miał zatrzymać się rok jeszcze, aż ja wyjadę na wieś z Bogunią?

— Co do mniemania ludzkiego o zdatności lub niezdatności mojej—rzekłem—rzecz to dla mnie obojętna, lubo od takiego zarzutu łatwo mógłbym się usprawiedliwić listami z Wilna odebranymi, gdzie usiłują mnie nadal przy tym urzędzie zatrzymać, a co do terminu twojego, ciotko, wyjazdu z Krzemieńca, on dla mnie stał się już niepodobnym po odebranych od gubernatora liście.

W podróży do Żytomierza byłem w Szulajkach u czcigodnego ojca, który nie zganił podanej przeze mnie prośby o uwolnienie od kłopotliwego urzędu.

— Dość — rzecze mi — pracy ciągłej przez trzy lata, aby powzięto mniemanie, żeś zdatny do urzędów w sądownictwie, a rad jestem, że masz zapewnioną dzierżawę u Giżyckiego, z którym ja mam dawne a najżyczliwsze stosunki.

Przybywam do Żytomierza, zastaję kochanego brata mego, Franciszka, listem moim uprzedzonego, aby i on na ten termin zjechał. Byliśmy obadwa u gubernatora. Ten oznajmił stanowczo, że samej Czeczelowki nie może wypuścić w posesyę, lecz razem z większą od niej wsią Kustowce, o milę od tamtej odległą, i że za obie żąda 35. tysięcy złotych corocznie przez trzy lata opłaty. Dał nam do przejrzienia inwentarze tego majątku z tem, że dogodniej byłoby mu nie z dwoma nami, lecz ze mną jednym mieć do czynienia o te dwie wsie razem.

Z przejrzienia danych nam papierów okazało się, że Kustowce mają po 500 morgów w każdą zmianę, a do robocizny 120 chat włościańskich. W Czeczelowce zaś, za którą Bobrowski płacił rocznie 10 tysięcy złotych, jest w łąkach po morgów 200, a chat włościańskich 48. Ztąd rachunek prosty, że za Kustowce wypada płacić 25 tysięcy złotych. W Czeczelowce gotowej intraty z arendy karczemnej

i czynszów osiadłej tam szlachty jest dwa tysiące złotych, a w Kustowcach nie pomnę wiele, lecz w kwocie odpowiedniej dusz włościańskich. Mój brat, dobrze uprzedzony o podolskiej ziemi, a pewny siebie w zawodzie gospodarskim, bez wahania oświadcza, że weźmie odemnie Kustowce. Lecz, gdyśmy powtórnie byli u gubernatora, on przedstawił nam nową okoliczność: oto w tyćń obu folwarkach było w stertach i w ziarnie około dwóch tysięcy korcy pszenicy i żyta, których sprzedażą on już zajmować się nie może. Wymaga przeto, abym za to zboże, w ilości, jaka będzie z naocznego przeświadczenia się na gruncie, zapłacił mu po cenie praktykowanej w d. 24-ym marca na rynku miasteczka Cudowa za świadectwem tamtejszego kluczwójta i abym się uiścił za to zboże dnia 24-go sierpnia bieżącego wówczas 1823 roku. Bez żadnych targów musieliśmy i ten uciążliwy przyjąć warunek, znaleźliśmy bowiem żywy temperament generała Giżyckiego, który łatwoby się rozgniewał i mógłby wszelki układ zerwać. Dodał na remanent kilkadziesiąt roboczych wołów i krów kilkanaście, znajdujących się w tych obu folwarkach i natychmiast spisałem z nim kontrakt trzyletni o Kustowce i Czechelówkę z obowiązkiem opłacania corocznie po 35 tysięcy złotych w dniu 15 stycznia. Bobrowski uprzedził mnie, że w Czechelówce domek mieszkalny w zupełnej jest ruinie, że wypadnie nowy koniecznie wybudować. Potrzebując w jakiejś części wpływu opiekuna majątku do kosztów na tę budowę, nie wspomniałem na razie gubernatorowi o tej konieczności, zostawiając na później pomówienie z nim o tem, ale już mi się roił plan domku wygodnego, gdziebym żył szczęśliwie z Bogunią. Lecz nadzieje nasze, zda się najlepiej oparte, jakże są często podobne do zarysu chmurek! Lada wiatr je zmienia!

Wróciwszy do Krzemieńca, nie zastałem jeszcze odpowiedzi z Wilna na powtórne pismo moje urzę-

dowe. Komisya zaś, przez łaskawą dla mnie delikatność, nie przedstawiała nikogo do zajęcia miejsca po mnie, aż otrzymam żądane uwolnienie. A więc rad nie rad, postanowiłem pozostać w takim zawieszaniu po pierwsze dni marca następnego 1823 r.

Prezes, Michał Sobański, dziedzic ogromnego na Podolu majątku, znany był powszechnie jako wzorowy gospodarz, a przytem, lubo życie jego było dość odpowiednie dostatkom, przecież co do własnych jego upodobań i nawyknienia nadzwyczajną okazywał oszczędność. Pomnę, że w tym roku, gdy ze wsi przybył na termin sądów komisji i zaprosił nas z całym kompletem na obiad, po którym przy czarnej kawie podano nam fajki, ktoś z obecnych, dostrzegłszy, że jemu jej nie dano, zapytał:

— Czy pan prezes już nie pali fajki?

— Tak, panie! Zaniechałem jej, bom zrobił sobie uwagę, że czas, najdroższy skarb człowieka, powinien mu przynosić procent od każdej życia chwili, a fajka zwodzi nas. Gdy mam cybuch w ustach, siedząc na wsi, zda się, żem zajęty, a tymczasem, gdy moje chwile z dymem ulatują, wśród marzeń bez żadnej korzyści, zapominam o raportach ekonomów, które należy pilnie przejrzeć i porównać z poprzedniami. Otóż dałem sobie słowo zaniechać używania fajki, która wiedzie do zamilowania próżniactwa.

W kilka dni potem, gdyśmy byli na sesji i zwykłym trybem przedstawiałem należne procenty od pewnej sumy przysądzonej, pan prezes zaprzeczył mi, że owe procenty nie wynoszą tyle. Ja, podając mu arkusz białego papieru i ołówek, proszę go, aby sprawdził mój rachunek, a przekona się, żem się nie omylił. On kładzie ołówek na stole i z powagą rzecze:

— Wiadomo nam, że pan masz się poświęcić gospodarstwu wiejskiemu, proszę więc przyjąć na pańską odemnie, starca, tę na całe życie przestrożę.

że kiedy obejść się możemy ćwiartką, nie psujmy całego arkusza. Może pan nazwiesz to fraszka, ja przecież przez lat kilkadziesiąt trzymałem się tego prawidła i to dało mi właśnie majątek, jaki dziś posiadam.

Te wyrazy prezesa Sobańskiego powtórzyłem 1826 roku, gdym już był ożeniony, przed nawiedzającym mnie w Czezelówce tej wioski dziedzicem, młodym wówczas Nepomucenem Giżyckim, i on je z korzyścią swoją umiał w praktyce zastosować, jak się to okaże z wyznania jego pod rokiem 1854.

Odebrałem nakoniec od zastępcy rektora uniwersytetu wileńskiego, pana Życkiego, pismo o uwolnieniu mnie z urzędu, z zastrzeżeniem pozostania w nim, aż kto inny będzie mianowany i potwierdzenie otrzyma. A po upływie trzech miesięcy mojego oczekiwania, podałem dnia 28-go lutego 1823 r. do komisji edukacyjnej oświadczenie, że dla słabości zdrowia i dla domowych moich interesów nie mogę dłużej pozostać w Krzemieńcu i przyłączając świadectwo doktora medycy, Karola Kaczkowskiego, o stanie zdrowia mego, dnia 26-go lutego wydane, prosiłem komisji, aby raczyła polecić, komu jej zdawać się będzie, odebranie odemnie całego archiwum. Jaż pod dniem 5-go marca 1823 roku za Nr. 31,491, nastąpiło postanowienie komisji, aby jej sekretarz, Ignacy Kozaczyński, wszystkie papiery do spraw przygotowane, do mego urzędu należące, z pismami i księgami, do funduszu edukacyjnego ściągającemi się, przyjął odemnie i w tem urzędowem do mnie piśmie, podpisanem przez jednego z komisarzy, generała Ludwika Kropińskiego, komisya te raczyła w końcu domieścić wyrazy:

„O tem wszystkim, dając wiedzieć wielmożnemu Konopackiemu, komisya mu oświadcza, iż jak ślady użytecznych prac jego zostaną w protokołach i przy dziełach komisji, tak miło jest osobom tę magistraturę śladającym oddać należną sprawiedliwość

obywatelskiej gorliwości i usilności wielmożnego Kopackiego, z jaką około pomnożenia funduszów, dobru pokoleń oddanych pracował i wszędzie mu swój tłómaczyć szacunek.“

To urzędowe pismo komisji sądowo-edukacyjnej pomiędzy drogiemi pamiątkami lat moich, dotąd mam u siebie.

Tak szczęśliwie rozszedłszy się z komisją edukacyjną, poświęciłem jeszcze trzy dni na pożegnanie domów w Krzemieńcu zamieszkałych a łaskawych dla mnie, jako też między nimi i najdroższych sercu.

Wskutek mego odjazdu z Krzemieńca ucierpiała na zdrowiu dobra Bogunia, o czem dowiedziałem się w lat kilkanaście od przyjaciela mego, dra Karola Kaczkowskiego, który był wzywany do zaradzenia złemu; przed nim nie tała przyczyny łez swoich, bo jej wiadome były moje z nim dobre stosunki. Te przecież łzy jej nie ciąży mi na sumieniu, nie z mojej bowiem winy ta serdeczna przychylność jej ku mnie doznała zawodu.

Czcigodny a dobry ojciec przysłał podwody wiejskie dla zabrania o mil kilkanaście moich sprzętów pokojowych i ruchomości; dobry, kochany brat mój, Franciszek, przysłał mi czwórkę naszych biegunów z nowym dla mnie kupionym faetonem, który wedle ówczesnej mody pysznił się pudłem na wysoko wzniesionych resorach i wyłaczaną jego ozdobą. Dnia 8-go marca, 1823 roku, puściłem się w podróż do Szulajek. Dni kilka zabawiwszy z ojcem i siostrami, odjechałem do Czeczelowki dla objęcia dzierżawy. W podróży całodziennej, bo nie więcej jak o mil sześć od ojca, nie roilem sobie materyalnych korzyści z gospodarstwa, byle pod koniec roku, sprzedawszy zboże, złożyć opiekunowi majątku należną za rok następny opłatę i byle reszta darów Bożych wystarczyła na skromne, o ile można, utrzymanie się. Główną myślą moją, o czem odjeżdżając Boguni mó-

wilem, był, zdawało się, niezawodny z nią związek i ciche, spokojne życie niezależne w domku, jaki mam wystawić. Plan tej budowy miałem już porządnie zrysowany w Krzemieńcu, wedle własnej symetrii przez profesora mechaniki i architektury pana Miechowicza.

Przybywam do Czezelówki, zastaję smutną pozycję stepową. W całej wiosce, odosobnionej od sadyby folwarcznej, kilka tylko starych wierzb dostrzegać się daje, a przy folwarku nawet wróbel niema gałązki, na którejby spoczął. W dali od włościan, lichey, wiekiem nachylony „dworek na gościńcu,” o sto kroków od drogi publicznej, bez żadnego ogrodzenia. Przy wjeździe na dziedziniec stoi tylko na straży św. Jan Nepomucen.

Wszedłem do mojej siedziby. Pierwsza izba dość dla mnie jednego obszerna, ale ściana jej przyczółkowa taki wzięła rozbrat z linią pionową, że lada silniejsze grzmoty grożą jej upadkiem. Alkierzyk obok odznacza się ścielą dotąd niewidzialną, bo z płotu wyrobioną, a pośrodku wspartą dąbczakiem w naturalnem jego odzieniu. Wszystko to jednak świeżo było pobielone i wyglądało jakby trup do grobu przybrany, bo też grobowa czuć się tam dawała stęchlizna.

Brat mój, Franciszek, wcześniej przybyły do swej dzierżawy wsi Kustowice, odwiedził natychmiast o milę odległą Czezelówkę. Polecił ekonomowi, aby się wyniósł z owego dworku do oficyny, gdzie była obok piekarni i kuchni stancya dla klucznicy, tej zaś doradził się mieścić z gospodynią w piekarni. Lecz ja przenocowałem tylko w dworku, a nazajutrz prawa do niego z piecem piekarskim w izbie przez sień, zwróciłem ekonomowi, a w oficynie z pełną rezygnacją zająłem jego stancyjkę. Tegoż dnia pojechałem do Kustowic, aby powitać brata na nowej jego siedzibie. Tam zastałem oficyalistę gubernatora Giżyckiego, który, jako stryj i opiekun majątku dziedziczy-

ca, zesłał umocowanego listem swoim do podania nam we władanie wsi obu, zakupionego przez nas zboża, tak w ziarnie, jako też w snopie po zrobionej próbie omłotu i remanentu w krowach i roboczych wołach z opisaniem ich lat.

Ów oficyalista, Mikołaj Giżycki, odstawny porucznik wojsk rosyjskich, daleki, jak nam mówił, krewny gubernatora, spełnił dane mu polecenie tak w Kustowcach, jako też w Czechelówce, co zajęło nam czasu dni kilka. Co do ilości zboża w snopie, zawierzyliśmy rejestrom ekonomicznym, a ziarno przy powyższym oficyaliście było przemierzone. Ten pan porucznik przywiózł nam też świadectwo klucz-wójta cudnowskiego, jako tam w dniu 24-go marca bieżącego 1823 r. żyto płaciło się po złotych cztery, a pszenica po rublu. Co do ceny jarego zboża, tej dziś nie pomnę.

Objąwszy to wszystko w nasze posiadanie, postanowiliśmy żyto i jarzynę, jako będące w ziarnie, choćby z niewielką stratą natychmiast sprzedać. A chociaż w tym roku dnia 24-go sierpnia byliśmy obowiązani kontraktem całą należność za zboże wypłacić, przecież w nadziei wyższej ceny, pszenicę w stertach zatrzymaliśmy do następnego 1824 roku. Nie pomnę, ile straty ponieśliśmy na sprzedaży jarego zboża, ale żyto, którego dość znaczna była ilość korcy, z trudnością sprzedaliśmy po trzy złote. W d. 24-go sierpnia wypłaciłem panu gubernatorowi za wszelkie sprzedane i niesprzedane zboże całkowitą należytość wedle poświadczonej ceny w Cudnowie. Ale pamiętam, że na pszenicy, której największa była ilość, znaczną, a mianowicie w Kustowcach ponieśliśmy stratę. Sprzedałem ją z moją dostawą o pół-trzeciej mili do Berdyczowa po złotych cztery, to jest ze stratą na korcu po złotych dwa groszy dwadzieścia, lubo pszenica była bardzo piękna, a po tejże cenie i mój brat z Kustowic ją sprzedał.

W pierwszym roku posesyi, natychmiast po jej

objęciu, byłem w kwietniu u gubernatora Giżyckiego w Mołoczkach. Przedstawiłem mu konieczną potrzebę nowego w Czezelówce domu. Z początku wymawiał się tem jedynie, że jako opiekun majątku, nie może łożyć kosztów na to, lecz po uwagach moich, że ten majątek w innej gubernii, o mil kilka odległy od innych dóbr jego synowca, pewnie będzie i później wypuszczony w dzierżawę, a porządne pomieszkanie może stanowić zachętę dla posesora, zapytał, jaki to ma być domek. Pokazałem mu planik, przez Miechowicza zrysowany. Widocznie mu się podobał i z profilu i z wewnętrznej symetrii, gdzie pod tymże dachem była obok izby kredensowej i kuchnia angielska. Ale wyczytawszy wyraz „kuchnia,” potrząsł głową.

— Nie! — rzecze — tak nie będzie!

Umoczył pióro, przemazał tamten wyraz i napisał: „Panny służącej pokój.” Uśmiechnąłem się i mówię mu:

— Pan generał zapomniał, że nie mam jeszcze żony.

— Owszem, pamiętam, ale pan wprowadzisz tam żonę i dlatego proszę nie robić tam kuchni.

Po krótkich targach przeznaczył na pobudowanie domu sześćset rubli, z dodaniem z lasu kustowickiego potrzebnego na to drzewa i kamienia z tej wsi na podmurowanie.

W młodzieńczych latach żartowałem sobie z umiejętności zarządzania wiejskiem gospodarstwem. Zdawało się nic łatwiejszego, jak obrać za wzór do ślepego naśladowania naszych na wsi Hrychów; uprawiać ziemię i zasiewać w jednej z nimi porze i czekać łaski Pana Boga. Na dwóch dzierżawach, łącznie z moim bratem, jak wyżej opisałem, na pożarze skończony rok 1818 w Romanówce i jeden rok następny w Carówce, brat mój, nie odnosząc się w niczem do mnie, umiał, jakby stary gospodarz, we wszystkim dać sobie radę; zostawiał mnie przy książ-

lach i pendzlu, ciesząc się w swej dobroci, że przy nim mogę używać swobody wiejskiego życia. Tu w niektórych zdarzeniach już własny rozum, czyli wiedzę, odpowiednią memu położeniu, mieć potrzeba.

Po moim powrocie z Mołoczek wchodzi ekonom, zdaje sprawę z poleconych mu czynności, a w końcu zapytuje:

— Co też pan każe robić z wakansami?

Udaję, że nie dosłyszał.

— Czego pan żądasz?

On powtórzył, a ja, stojąc w oknie, gdy się będzie, że nie rozumiem, o co idzie, dostrzegłszy zbliżający się powóz, rzekłem:

— Przyjdź pan z tem później, bo jakiś gość jedzie.

Był to gość zawsze najpożądany, mój wierny przyjaciel, Józef Bobrowski. Po serdecznem powitaniu, mówię mu:

— Bóg cię zesłał w chwili mego kłopotu!

Powtórzyłem, o co mnie pytał ekonom i badam, co znaczą wakanse. Uśmieliśmy się obadwa z mojej nieświadomości, a on pierwszy nauczył mnie, iż to są pozostałe pola po zmarłych włościanach, lub nie wzięte w dalszy najem przez szlachtę czynszowników, a przeto należące do dworu pod tytułem wakansów.

Pochwaliłem się przed nim planem domku, zatwierdzonym przez opiekuna. Obrachowaliśmy wszystkie koszta tej budowy i okazało się z podsumowania, co już sam w Mołoczkach przewidywałem, że pewnie drugie sześćset rubli z własnej kieszeni dołożę. Doradził Józef, aby pańszczyzna była użyta tylko do wywiezienia drzewa z lasu kustowickiego i do transportu z tejże wsi kamienia na podmurowanie, a co się tycze całej budowy, oprócz malarki i stolarskiej roboty drzwi i okien, abym wézwał mieszkających w Berdyczowie Piliponów, a o wiele zyskać mogę na czasie; ruscy bowiem cieśle, śpiewając, tak

szybko pracują, że w tym roku jeszcze stanąć może domek przed zimą z dokończoną mularką, byle ruscy przybili podłogę i przygotowali ściel do wyrzucenia jej wapnem.

Jak powiedział, tak się stało. Zgodzeni Piliponie obowiązali się za sto pięćdziesiąt rubli zbudować wedle planu domek o czterech pokojach, o składzie, kredensie i kuchni, z korytarzem do opału, a począwszy robotę dnia 1-go maja, w końcu lipca już ją zupełnie skończyli.

Kochany Józef Bobrowski, w dniach tej pierwszej u mnie bytności, poznał mnie z najbliższą o trzy wiorsty moją sąsiadką w Wiszence, panią Pieńkowską, wdową po Pieńkowskim, mieczniku zwinogrodzkim, który był niegdyś deputatem na trybunał lubelski. Miecznikowa miała lat około czterdziestu, zamożna, a pełna dobroci osoba. Józef i matka jego w zażyłej byli znajomości z tym domem w ciągu trzyletniej jego dzierżawy wsi Czeczelowki. Jedyne dziecko miecznikowej, Kamil, był już ożeniony z marszałkówną z Charzyna, córką chorążego, i mieszkał o milę od matki w dymisowanej mu połowie wsi Ostrożka, gdzie jest parafialny nasz kościół. Jedyną pociechą mojej sąsiadki był trzyletni wnuk jej, Ludwiś, syn Kamila, który więcej dzieci nie miał.

Cieszyłem się na szparko postępującą robotę cieśli ruskich, codziennie ich nawiedzając. W czerwcu, już na podmurowaniu, stanął zrab całej budowy. Gdy jedni ścianki wewnętrzne zakładali, a drugich podłoga zajmowała, wszedłem raz do wnętrza mojej przyszłej siedziby i opodal od robotników, w sypialnym pokoju, gdzie podłoga do połowy już była przybita, zastałem mnóstwo latających nad nią pszczoł. Pokazałem je naczelnemu majstrowi. On zajrzał pod podłogę w części przybitą i nic nie mówiąc, przywozdz jednego z czeladników i zakładając przejście sznurkiem, pozdrawiają wróżbą szczęścia. Majster wyrokuje, że ten rój pod podłogą zapowiada, że mieszkając

tu, ożenię się i Bóg pobłogosławi mój związek takim rojem dziatki i bogactwa. Dziękując im za wróżbę, wykupiłem się od sznura kwitem do karczmy na garniec wódki. Któżby gminnym przesądom dawał ślepą wiarę? Przecież po upływie lat czterech ten sam pokoik podzielałem z nieznaną mi wówczas, a przeznaczoną od Boga dobrą Klemunią i tam właśnie Bóg nam dał trzech synów: Wiktora, Prokopa i Józefa, z których dziś, wedle przepowiedni, wieńczy moją starość rój kochanych wnuków. Otóż powiedzianoby: zdzieciniały starzec! Wyznamę z pokorą, zem ciemny, że nie pojmuję, jaki może być stosunek pomiędzy owemi pszczołami a moją przyszłością. Podobnych tajemnic nie zgłębiam, a piszę tylko, jak było.

W tymże czerwcu 1823 roku bolesna dotknęła mnie strata przyjaciela. Wypadek okropny, najmniej spodziewany! Często odbierałem listy z Krzemieńca pełne życzliwości, więc wzięła mnie chętka podziękować osobiście za pamięć, tembardziej, że Franciszek Rudzki odezwą swoją zaklął mnie, abym przybył do Krzemieńca na 21 dzień św. Alojzego, ku uczczeniu egzekwiami drogiej nam pamięci Felińskiego. Postanowiłem jechać tam na Staszówkę dla odwiedzenia moich krewnych Bukarostwa, a ztamtąd na Rosołowce, aby uściskać kochanego Mikołaja Węża. Pomnę, że przybywszy w sobotę do Staszówki, chciałem koniecznie wyjechać w niedzielę na Konstantynów do Rosołowic. Lecz na usilne Seweryna Bukara naleganie pozostałem u nich na biedę jeszcze dzień jeden. Tak, na biedę! bo i tu okropny cios mnie dotknął! Był to, jak mówią, feralny dla mnie miesiąc. W Staszówce, z niedzieli na poniedziałek, nocowałem w osobnym pokoju opodał od innych. Tam w okna bez okiennic bił mocno księżyc w samej pełni. Nieprędko zasnąłem. Snuła mi się po myśli jakaś ponurość, którą dostrzegłem w twarzy i spojrzeniach

Bukarówny. Zdawało się, że ją ciężki obarczał smutek. Gdy zacząłem drzemać, posłyszałem jakoby lekki szelest jedwabiu tuż przy mnie. Nie otwierając oczu, w pół śpiący pytam:

— Kto tu jest?

— To ja, nieszczęśliwa!

Głos jej mocno mnie zdziwił. Usiadła na krzesle przy moich poduszkach w jednej tylko atlasowej salopie. Pomyślałem zrazu, czy nie ma ona pomieszanych zmysłów.

— Przebacz, żem ci sen przerwała. Ale gdzież się dziś udam, jeśli nie do ciebie? Ty poczciwe masz serce; ty nie odmówisz rady tak potrzebnej dla mnie! Dopóki żyła matka moja, w niej miałam osłodę cierpień, którym świat uwierzyć nie może.

— Cóż ci jest? powiedz kochana siostrze? (tak ją zwykle mianowałem; była bowiem córką stryjecznej siostry mojej matki).

— O! Nielatwo i ty uwierzysz, boś ty jego przyjaciel. Ale kogoż on nie omamił pozorami światowej grzeczności! Ty nie możesz wyobrazić sobie cierpień kobiety niekochanej przez męża, a który dla niej tylko zimną objawia obojętność. A ja to znoszę od lat tylu! Wiadomo ci, że po szumnem życiu jego ojca mało mu po nim zostało. A znaczny wziął po mnie posag, za który ten majątek nabył. Gdybyż przynajmniej za te krocie wdzięczność niekiedy okazał, choćby udając przychylność! Ale on stroni odemnie; a byle dziewczę z piękną, świeżą twarzą, wnet układa słodkie oczy do niej i to nawet w mojej obecności; cóż może być na boku?!

— Pozwól, kochana siostrze, abym ci przypomniał, że już upłynęło lat dwadzieścia kilka od związku waszego i że mąż twój ma przeszło lat pięćdziesiąt. Ztąd owa zalotność, o którą go posądzasz, nie tylko byłaby płachością nieodpowiednią jego wiekowi, ale uwłaczałaby powadze ojca dorosłych już synów waszych. Ale przypuścimy, żeś dostłyszala ja-

kies jego niby pochlebne, ujmujące słówko do młodych płci twojej osób, jakie tu bywają. I cóż ztąd? Te pochlebstwa względem kobiet nie pochodzą z serca, lecz z nawyknienia od lat jego młodzieńczych, jako chleb powszedni salonom wyższego towarzystwa, do którego on wychowaniem swoim należy. Czyli to ściągając ma tak silną urazę? Pomnij, że jesteś matką dwóch słuszných synów! Pomnij, że dziesięcioletnia córka czeka po tobie wzoru pobłażania nawet nie takim, lecz istotnym winom, i wzoru dobroci, tych drogich dla nas, a wam kobietom koniecznych przymiotów. Zaklinam cię na miłość, jaką masz dla dzieci swoich, wygładź z pamięci owe arojone żale do czcigodnego Seweryna, który niedarmo powszechnego doznaje szacunku.

— Otóż to właśnie mojem jest nieszczęściem! Ten powszechny dla niego szacunek zasłania wam oczy i ztąd widzieć nie możecie, jakim on jest dla mnie. Matka tylko moja rzetelnie go znała! Co do dzieci moich, napróżno mi o nich wspominasz! On potrafił i u nich wyjednać sobie przewagę nademną. Ja dzieciom naszym jakby niepotrzebna! Ja tu nic nie znaczę! On mniema się wyższym, jak gdyby mezałians zrobił, żeniąc się ze mną. Lgnie całą duszą do gości, jacy się zdarzą, a od swojej żony jak najdalej stroni. O! na miłość Boga, daj radę, jak dożyć w tak okropnych mękach!

— Ty, siostró, jesteś chorą, a na taką chorobę religia tylko zaradzi. Chciej mi wierzyć, lubo znacznie młodszy jestem od ciebie, że wzniesienie się duchem ponad te ziemskie, często urojone ciernie, uśmierzy owe niewczesne żale i wróci spokojność. Modlitwa ze skruczą i poddaniem się woli Boga, moja najszczerszą jest dla ciebie radą. Do Boga siostró, do Boga idźmy o wsparcie w niedoleżnościach naszych!

— Tak! Dobrze mówisz. Pójdę do Boga!—

ponuro wyrzekła i odeszła, zdawało się, że na modlitwę.

Przetrwałem resztę nocy bezsennie. Zaledwie dzień zaczęło, słyszę ruch po całym domu, jakby alarm. Dostrzegam przez okno biegnącego lokaja. Wzywam go pukaniem w szybę i pytam wchodzącego:

— Co to się stało?

— Ach, wielkie nieszczęście! Pani chorążyna chciała się utopić. Bóg dał, że ogrodnik, idąc z chaty brzegiem stawu, dostrzegł ją już tonącą, rzucił się w wodę i wyratował. Wniesiono bezprzytomną, okryto ją w łóżku; mówi tak, że zrozumieć nie można.

Ubrałem się prędko, aby wnet wyjechać. Gdy podano mi kawę, wszedł do mnie Seweryn, mocno zmartwiony.

— Czy wiesz o strasznym wypadku? Żona moja chciała utopić się w stawie. Teraz w widocznym jest obłąkaniu; odwraca się odemnie, a powtarza te słowa: „Nie dali mi wznieść się swobodnie do Boga.“ Posłałem po doktora, o którym mówią mi, że przybył do Jemiec, ztąd blisko. Od kilku dni ciągle była smutna. Teraz w nadzwyczajnej jest gorączce!

Rzecz prosta, że nie ważyłem się martwić jeszcze więcej Seweryna wiadomością o jej żalach przedemną. Przeciwnie, pocieszałem go uwagą, że nie mogła mieć powodów moralnych do obrzydzenia życia, lecz zarazem nadmienilem, aby ją jakby dziecię utulił w pieszczotach, nie wspominając o szaleństwie samobójstwa. Byłem też spokojnym o jej przyszłość. Zdawało się, że doktor uspokoi ową gorączkę, a względy męża i zimna rozwaga pogodzą ją z życiem. Omyliłem się w mojem mniemaniu, jak to później opiszę. Nie wszedłem do jej pokoju w obawie, aby nie powtarzała przy świadkach swej skargi na męża. Pożegnałem zacnego Seweryna, bolejąc nad jego położeniem.

Tu noc była taka! Lecz jak okropny dzień po

niejl... Z Ilaszówki jadę do Rosołowic. Dwie mile ujechawszy, stanąłem w Konstancyńowie przy domu, gdzie od kilku tygodni była na kuracyi znajoma marszałkowa Madejska ze Skibiniec, matka Kazimierzowej Budzyńskiej.

W pierwszym u niej pokoju zastałem przy niej starszą jej córkę z mężem, Janem Madejskim, i doktora Zejdlera. Po przywitaniu Jan wziął mnie do drugiego pokoju i mówi:

— Ty jesteś tu niecierpliwie oczekiwany. Prezes komisji do rozwiązania interesów z wierzycielami pani hetmanowej Rzewuskiej, gubernialny marszałek Ledóchowski, pragnie, abyś był przy tej komisji prokuratorem masy.

— Za nic w świecie żadnego nie przyjmę obowiązku! Czy nie dość wymęczyłem się przez trzy lata nad dokumentami pojezuickimi?

— Ależ słuchaj! piękne warunki! Rocznie cztery tysiące rubli srebrnych!

— Choćby dawano tyle dukatów—rzekłem—nie zamienię spokoju mojej cichej niezależnej dzierżawy na kłopot prokuratoryi!

Wtem z otwartych drzwi pierwszego pokoju dochodzą te wyrazy Zejdlera:

— Dziś gwałtownie wezwany, wchodzę do pana Węza i uderza mnie naprzód rozlana krew na podłogę.

Na te wyrazy wrywam się od Jana i pytam doktora:

— Co pan mówisz o Węzu?

— Oto—rzekł—pan jesteś tam potrzebny! List wczoraj zapieczętowany pod adresem pana leży przy nim na stole. Może ten list wykryje powód okropnego wypadku.

— Gdzież jest Wąż, proszę?

— On tu jest o sto kroków, lecz zaczekaj pan; z ostrożnością pójdę go uprzedzić, bo niespodziane wejście pana może stan jego pogorszyć.

— Czy tak mocno chory?

— Krótko mówiąc, chory tylko na febrę, ale dziś... przebił się nożycami. Niech to pana nie trwoży. On żyje i może Bóg da, że żyć będzie. Zatrzymaj się pan, za chwilę wrócę z dworku przy Dominikanach, gdzie on kwateruje.

Wyszedł, a ja za nim; stanąłem przerażony na przedsieniu w progu domostwa. W kilka minut widzę Zejdlera już wracającego. Dał mi znak chustką, abym szedł do chorego. Wchodzę; kochany Mikołaj w trupiej bladości, wyciąga rękę z pod koldry do uścisku, i dał mi widzieć krwią swoją splamiony bandaż aż pod szyję. Nie mogłem się powstrzymać od zrobienia mu wyrzutu:

— Co ty zrobiłeś, mój drogi! Ach jakże cierpię, żem tu wczoraj nie przybył, jak chciałem!

— Tak, szkoda, bo byłbyś świadkiem tego, co zrobiłem bez ciebie. Nie warto mówić o tem. Raczej ten oto list przeczytaj, co do ciebie wczoraj napisałem. Wstawiam się za wujem moim, Ledóchowskim, który cię bardzo szacuje. On przezemnie wzywa cię na prokuratora masy w komisji pani Rzewuskiej. Wiem od Bobrowskiego, jak polubiłeś swój cichy przytułek w Czezelówce. Nie ważyłbym się wyrwać cię ztamtąd znów do prawniczych trudów, spełniam tylko polecenie wuja.

Wtem, gdy ów list biorę ze stołu, myśląc, że może w nim znajdę jakąbądź wzmiankę o powodach zamierzonego samobójstwa, obecny tam pan Marcełi Peretiatkowicz, brat cioteczny chorego, odwodzi mnie nieznacznie na stronę i cichą robi uwagę, że doktor zabronił Mikołajowi wysilać się na długą rozmowę. Wyszliśmy do drugiego pokoju. W liście nie znalazłem spodziewanej wzmianki. A więc badam pana Marcelego, czy nie było moralnych jakichbądź powodów tak oplakanych czynności.

— Żadnych—rzecze—nie miał ani moralnych, ani materyalnych przyczyn do samobójstwa. Wia-

domo panu, jak zgodnie żył z dwiema swemi siostrami, które przy nim mieszkają w Rosołowcach, a z których młodsza, wedle jego życzenia, już jest po zaręczynach z Rohozińskim. One życie swoje oddałyby za niego. Nie wiem, jak zniosą wiadomość o tem, co się dziś stało. Gdy w Rosołowcach zachorował w końcu maja na febrę, a domowe środki nie pomagały, troskliwe siostry wezwały Zejdlera. Po trzech jego wizytach, gdy żadnej w upartej chorobie nie było zmiany, doktor inną napisał receptę. Mikołaj, przeczytawszy ją, odezwał się:

— Proszę mi nie dawać białego proszku z chinu, bo to lekarstwo działa niebezpiecznie na mózg.

— A pan zkąd wiesz o tem?

— Z bardzo smutnego doświadczenia na moim ojcu, który po tym proszku dostał pomieszania zmysłów i w takim stanie życie zakończył; wiem też o takich skutkach z dzienników medycznych, które trzymam.

Doktor, dotknięty tem powiedział:

— Bieda to nasza, że panowie profani w rzeczy medycznej chcecie nam prawidła przepisywać. Jeśli pan mi nie ufasz, sprowadź innego doktora.

To powiedziawszy, chciał odjechać bez rady dalszej. Siostry Mikołaja opadły prośbami obrażonego Zejdlera, Mikołaj też przeproszał go, a doktor przeblagany położył warunek, aby chory przyjechał na czas jakiś do Konstantynowa, zkąd on z powodu przybyłych tam na maj pacjentów nie może tak często wydalać się. Otóż wnet zamieszkaliśmy w tym dworcu sekretarza komisji. W kilka dni potem doktor na stronie powiedział mi, że słabość Mikołaja może sprowadzić malignę. Że na ten wypadek trzeba niezwłocznie sprzątnąć ze stolika przy łóżku leżące przybory do toalety: brzytwy, scyzoryk i nożyczki. Spełniłem to polecenie. Wezwałem z Rosołowic ulubionego mu starca ekonoma i z nim koleją dniem i nocą czuwaliśmy nad chorym. Tej nocy ja spałem,

a ekonom czuwał. Skoro dzień zaczęło, zmieniłem ekonoma, który spać odszedł na przeciwną stronę domu. Rano, o godzinie siódmej, gdy na minutkę zostawiwszy lokaja, wyszedłem z konieczności, chory udał przed lokajem pilną potrzebę rumianku i wysłał go po to do apteki. Lokaj drugimi wybiegłszy drzwiami, nie spotkał się ze mną. Wracam i zastaję Mikołaja nie w łóżku, lecz w drugim pokoju zawieszonym nad ścianą, opartego rękoma, i ciekącą krew z niego. Chwytam go w połowie. Co to robisz?—wołam.

— Nic! Nie trafiłem odrazu tak głęboko, jak trzeba, i powtórnie o ścianę naciskałem ostrzem tych nożyc do piersi, ale widać jeszcze nie doszły do serca.

— Narobiłem na cały dom hałasu. Obudzono ekonoma, posłałem po doktora. Okazało się, że jakby z rozmysłem wyprawił lokaja do apteki, a wiedząc, że w drugim pokoju jest kantorek sekretarza ze spuszczoną, lecz nie na klucz zamkniętą ladą, po wyjściu lokaja natychmiast wyskoczył z łóżka do owego kantorka, podniósł ladę, porwał długie od papieru nożyce i niemi chciał sobie życie odebrać. Zdaje się, że ponieważ nie miał powodu do obrzydzenia go sobie, przeto czyn jego wynikał z maligny. Bo jakże inaczej wnosić? Nie wiem, czy panu wiadomo, że rad zaręczynom jednej z sióstr swoich, wyszukał sobie Anglika, który mu dawał lekcyje swojego języka, że po ślubie siostry zamierzał z tym Anglikiem jechać w podróż po Europie i oprzeć się o Londyn. Wszelkie po temu było przygotowanie. Nie ciążyły mu żadne majątkowe interesy. Rohoziński, przyszły szwagier jego, miał w jego nieobecności czuwać w Rosołowcach nad gospodarstwem, które, rzekłszy naprawdę, przy poczciwym starym ekonomie wcale Mikołaja nie zajmowało: on ciągle nad książkami albo z piórem w ręku samą tylko bawił się literaturą. Ja wnoszę, iż po spełnieniu dzisiejszego szaleństwa, po

ujściu krwi jego, minęła maligna, a oprzytomniawszy, jakby się wstydził chwilowego obłąkania, przedemną i przed panem mówił przy powitaniu o czynie swoim, jakby ze zdrowego namysłu popełnionym.

Weszliśmy do chorego. Zdawał się uśpiony, ale było to lekkie drzemanie. Wkrótce ocknął się i zapytał:

— Powiedz mi, proszę, czy nie odmówisz Ledóchowskiemu?

— Zostawmy to na później; skoro wyzdrowiejesz, pomówimy o tem.

Uśmiechnął się na to. Usiadłem przy nim, i wpatrując się w jego czarne oczy, świecące jeszcze ogniem życia, przy martwej prawie twarzy, mówię:

— Nie pojmuje cię, kochany Mikołaju!

— Tak, widzę to! Wzrokiem litości patrzysz na mnie, boś zapomniał, co napisałem w księdze twoich pamiątek:

„Szczęśliwy ten, co z duszą od zgrzyzot swobodną,  
Spogląda na cień grobu, jak na noc pogodną,  
Jak na noc, co przychodzi po słonecznym skwarze,  
Przynosząc ziemi pokój i spoczynek w darze.“

Tu pan Marcelli zostawił nas samych; wtenczas ważyłem się powiedzieć mu:

— Zgadzam się z tobą, że szczęśliwy, kto z kolei przeznaczenia ludzkiego, rozstając się ze światem, unosi w duszy spokój niezachwiany. Ale czy bez wyrzutu sumienia może kto uprzedzać ową kolej, aby nie spełnić czary życia i nie podzielać z nami jej goryczy, gdy jest pewnym, że wyrwawszy się samowolnie z grona życzliwych, serdeczny żal w nich obudzi? Zostawmy na boku przepisy religii, a przynasz, kochany Mikołaju, że takie lekceważenie stosunków rodzinnych i społecznych, gdyby nie wynikało z chwilowej niemocy umysłu, to spełnione przy-

zdrowej samowiedzy, tchnęłoby egoizmem, przeciwnym szlachetności twego charakteru.

— Nie łaj mnie, nie łaj! Proszę! Kato wprzód uprosił sobie opiekę nad synem, a ja pewny jestem, że mój przyszły szwagier zastąpi mnie względem drugiej z sióstr moich. Ale nie sądz, abym się równał z tym Rzymianinem. Chlubię się, że Polak, i wedle rodu mego użyłem przywileju wolności rozrządzenia przynajmniej życiem mojem. Mówisz mi o stosunkach rodzinnych i społecznych. Uśmierzy się niezadługo żal po mnie, a co do całej ludzkości, czyliż dąb przez to wiekować nie będzie, że burza zerwała mu i uniosła listek?

W ciągu dziennej spiekoty chory odrzucił kołdrę, która piekła mu nogi. Oganiałem dokuczliwe muchy. On odezwał się:

— Dozwól im na krótko cieszyć się mojem ciałem; wszakże niebawem one ustąpią miejsca robakom!...

Zostawiwszy pana Marcelego Peretiatkowicza, który ciągle nad nim czuwał, wyszedłem na chwilę do miasta, aby rozporządzić mojemi końmi, wśród ulicy stojącemi. Byłem u doktora; ten mnie upewnia, że jeśli w dniu trzecim po wypadku nie objawi się pogorszenie, niebezpieczeństwo szczęśliwie przeminać może. Postanawiam zatrzymać się do owej daty. W dniu trzecim żadnej nie było zmiany, w twarzy nawet i w mowie chorego zdawało się dostrzegać pewne uspokojenie. Zejdlar upewniał, że wracając z Krzemieńca, zastanę Mikołaja zdrowszym. W niedzielę wracam i już go nie było!. Później przybył do mnie Władysław Wilczopolski, dzielający ze mną żal za przyjacielem. Podał myśl składki na pomnik i ten wśród cmentarza konstantynowskiego stanął na grobie Mikołaja. Moje z nim liczne korespondencje zwróciły mi siostry jego z Rosołowiec.

Tak smutnie zakończyły się dzieje drogich dla mnie stosunków z Mikołajem Wężem! Chciało prze-

znaczenie, abym po długiej drodze dni moich spotykał te jakoby kwiaty przynęcające do życia, lecz jedynie dla oplakania ich znikomości.

Zbliżał się termin wyborów wołyńskich, to jest dzień 20 lipca 1823 r.

Ojciec pisał do mnie, że niedomagając na zdrowiu, zamierza pozostać w domu, lecz poleca, abym z bratem Franciszkiem uczestniczył na elekcyach, że wypada, abyśmy godnych ufności publicznej wspierali tak w Łuckim, jako też w Nowogródwołyńskim powiecie, a nadto, że dobrze jest choć raz w trzy lata przypomnieć się dalej mieszkającym krewnym i znajomym i przez stosunki z nimi nowe zabierać znajomości w obywatelstwie.

Owóż, śród lipca, polecivszy opiece Boga zniwa nasze pod zarządem niezłych ekonomów, puściliśmy się oba do Żytomierza. Jadąc na wybory, nie myśleliśmy o żadnym dla siebie urzędzie, ani ja, ani brat mój, który już był trzyletnim w komisji legitymacyjnej deputatem. Ale kto przyszłość swoją zgadnie?...

W Żytomierzu, przed rozpoczęciem wyborów, rano około dziesiątej godziny, umundurowani szliśmy do katedry dwunastu powiatami, pod naczelnictwem swoich marszałków, odznaczających się plumarzem u stosowanych kapeluszy Kościół był nabitý świętnym zgromadzeniem gubernialnem. Jeszcze gdzieś błyszczały ostatnie gwiazdy Orła Białego, a więcej św. Stanisława. Ja tylko jeden na całą gubernię miałem przy mundurze krzyż tego orderu nowej klasyfikacyi, zrobionej przez Aleksandra I. Po nabożeństwie, śród którego kapłan z ambony w pięknym kazaniu napominał do sumiennego obioru na urzędy, cała gubernia wykonała na to uroczystą w tymże kościele przysięgę.

Marszałek gubernialny, Wincenty Ledóchowski, kończył wówczas trzyletnie swoje urzędowanie. Konuszem i zacnością charakteru przypominał ziomkom

historycznego przodka swego z czasów Augusta II, imieniem Stanisława, podkomorzego krzemienieckiego, marszałka konfederacyi tarnogrodzkiej. Lubiony był powszechnie, wyjąwszy gubernatora, Bartłomieja generała Giżyckiego, który w czasie Ledóchowskiego nieobecności, zajął dom gubernialnego marszałka pod jakiś kwaterunek. Z tej okoliczności nastąpiły natarczywe pomiędzy nimi korespondencye, a z nich dośmiertna niechęć. Ledóchowski nie zjechał na wybory; marszałek żytomierski, Kanty Głębocki, miejsce gubernialnego zwykłym porządkiem zastępował.

Gdyśmy wyruszyli z kościoła po owej przysiędze, schodzi ze mną Dominik Stecki, młodszy brat Romualda, bierze pod rękę i mówi:

— Wiem, w jak ścisłych byłeś stosunkach ze ś. p. Mikołajem Wężem. Podzielał z panem żal po nim. Ale bądź, panie, otwartym ze mną! Proszono mnie, ażebym pana wypytał, czy istotnie zamierzasz starać się o rękę starszej siostry nieboszczyka. To niektórych mniemanie mogło być ztąd powzięte, żeś niekiedy odwiedzał dom Mikołaja, jako twojego przyjaciela. Nie mam potrzeby taić przed panem, że o tę wiadomość prosił mnie Wiktor Grocholski, który tam, jeżeli mu nie przeszkodzisz, zamyśla uderzyć.

— Proszę—odrzekłem—ażebyś pan raczył upewnić znanego mi Wiktora Grocholskiego, że lubo żyłem w stosunkach wiadomych z Mikołajem Wężem i niekiedy bywałem w Rosołowcach, lecz nigdy nie dawał pozorów starania się o jego siostrę i dziś nie mam tej myśli. Niech pan Wiktor szczęśliwie oświadcza tam swój zamiar, ja mu nietylko przeszkadzać nie będę, lecz pomnąc na jej sieroctwo, cieszyć się będę tym związkiem.

Gdy tę tajną rozmowę z Dominikiem Steckim skończyłem, odszukał mnie w natłoku brat mój cioteczny, poczciwy Kazimierz Budzyński:

— Słuchaj! Ja tylko dla ciebie tu przybyłem.

Ty pomagałeś mi do ożenienia się, a teraz kolej na mnie.

— Co?—zawołałem—chcesz mnie żenić na wyborach?

— Jeśli — rzekł — nie żenić, to tu wpływać ku załatwieniu z kimś tego związku. Oto musisz wejść w urządowanie. Wyrozumiałem nasz powiat Zwiąhelski. Niema jawnego pretendenta na podkomorze-go, o jednym tylko Wojciechu Domaradzkim niektórzy mówią, że może go podadzą na to lub na chorażostwo. Wczoraj wysiadłszy z powozu, zaledwem upatrzył dla siebie kwaterę, już do kilku przemówiłem za tobą, a mam zapewnienie, że ci najdzielniej wpływać będą na resztę powiatu.

— Co ci się marzy, kochany Kazimierzu!—zawołałem. — Jakże pogodzisz dostojność tego urzędu ze stanem dzierżawy?

— Właśnie mam na celu tym urzędem podnieść twe znaczenie. Ty nie będziesz beczynnym, jak ja na tym urzędzie przez trzy lata byłem. Obeszany z prawem, boś był podsędkiem, a potem w sądowno-edukacyjnej komisji, gdzie mnóstwo porobiłeś znajomości, będziesz nieraz wzywany na zjazdy graniczne w sprawach dotąd niepokojonych. Nakoniec, dosyć już tych sielanek romansowych; potrzeba ci pomyśleć o żonie. Pewnie śmiać się będziesz; przecież powiem rzetelną prawdę, że jeśli znajdziesz z odpowiedniem wychowaniem pannę, któraby kochając nie zważała na urząd, to rodzice każdej, dając jakiś posag, wolą młodego zięcia podkomorzym, niż tylko podsędkiem tytułować. Śmieć się jak chcesz, a świata nie zmienisz.

— Ależ mnie nie obiorą, bo ja nie żyję z powiatem.

— Zostaw to mnie! Ty u mnie jesteś już panem podkomorzym.

— Pamiętaj, kochany Kazimierzu, że w twojej dla mnie życzliwości doznasz pewnie przykrego za-

wodu. Jeśli mnie postawią z kimkolwiek na wota, niezawodnie przemagające negatywy wcale mnie nie zmartwią, bo do nich najsluszniej będę przygotowany, ale tobie zrobią wielką przykrość.

— Bądź o to spokojny! Za pomocą przyjaciół tak się ułoży, iż nawet bez wotowania powiat nada ci ten urząd.

Na tych wyborach schodził z trzyletniego urzędowania Eligi Piotrowski, jako prezes izby cywilnej, którą to jurysdykcję wówczas zwano sądem głównym departamentu cywilnego. A lubo w pierwszym sądzono sprawy, w których szło o honor i życie, jednak obywatele spokojni o swoją uczciwość, a dbający o posiadane majątki, więcej przywiązywali wagi przy obiorze urzędników do drugiego departamentu, gdzie stanowiono bezpieczeństwo ich mienia. Prezes Piotrowski odznaczał się nietylko wzorową sprawiedliwością, lecz nadto był tak czynnym urzędnikiem, iż wszystkie dekrety w sprawach ważniejszych sam zawsze pisywał; takie o nim mniemanie było powszechne, bo znano jego styl. Dziwiło to niektórych, jak na to czas mu wystarczał. Któż bowiem nie wiedział, że u niego codziennie zbierało się towarzystwo do zielonych stolików, gdzie i on do północy rozrywał się milczącym wistem, a odchodził prawie zawsze przegrany. I chociaż część nocy schodziła mu na robrach, przecież nazajutrz dekrety w sprawach wczoraj wprowadzanych wyraźnie znanym jego stylem pisane, czytywano głośno na sesyi.

Tajemnicę tę wyjaśnił mi niezadługo jeden z adwokatów, nie ujmując bynajmniej prezesowi dobrej, zasłużonej sławy. Oto kiedy koleją strona powodowa i pozwana sprawę przedstawiały, prezes pilnie słuchając, spisywał na ćwiartce o ile można treściwie ważniejsze motywy stron obu, notował odnośne prawa i na tejże sesyi, po skończonych wniesieniach i replikach, na owej ćwiartce decyzję swoją napisał. Na ustępie powiedział ją deputatom, którzy widząc

w niej sumienną sprawiedliwość, oświadczeni zgodę. Mówi przytem kolegom, że napisanie całego z wywodem dekretu bierze na siebie i swoją ćwiartkę chowa do kieszeni. Wychodząc z izby sądowej, zwykle zaprasza kilka osób z obecnych na obiad, między którymi bywa obrany przez niego adwokat, nie należący do sprawy świeżo wprowadzonej. Po skończonym obiedzie, gdy pani prezesowa zabawia gości, gospodarz wymyka się z adwokatem do osobnego pokoju, powierza mu swoje notatki na ćwiartce i poleca wygotowanie dekretu w zwykłej formalności na jutrzejszy poranek, z tem, ażeby raczył go przynieść do jego domu. Nazajutrz pan prezes, odczytując już gotowy dekret, przemazuje w niektórych miejscach wyrażenia adwokackie, a kładzie natomiast własne, do jakich już przywykł, odznaczające znany styl jego. Manualista, przy panu prezesie mieszkający, pośpiesza z kopią dekretu i przed południem, za otwarciem sądu, publiczność słucha wyroku i uznaje w nim pracę prezesa.

Później opowiedziałem to zacnemu przyjacielowi mojemu, Romualdowi Steckiemu, który, gdy się uwolnił od zasiadania w krzemienieckiej komisji edukacyjnej, został obrany w r. 1832 już na lat sześć wedle nowego rozporządzenia prezesem tejże izby cywilnej. Biedził się on przedemną trudnością przedkiego przygotowania dekretów, a po mojem opowiadaniu załatwił sobie tę trudność, naśladowując prezesa Eligiego Piotrowskiego.

Zacny Romuald Stecki, pamiętny także z surowej sprawiedliwości, nie mógł dla domowych interesów i nadwątlonego zdrowia dotrwać lat sześciu w tem urzędowaniu i gdy po trzech latach się uwolnił, na jego miejsce zasiadł z kandydacyi 1835 r. (gdy nie obierano urzędników do jurydykcyj sądowych), dawniejszy deputat tejże izby, pan Rotermond, ożeniony z wdową po generale Błędowskim, z domu Działyńską.

Zapomniałem wyżej dodać, że zaledwie przybyliśmy z bratem moim na te w r. 1823 wybory do Żytomierza, natychmiast wieczorem udałem do państwa Piotrowskich. Ją samą znałem jeszcze panną. Nie zdarzyła mi się sposobność widzieć jej mężatką, bo przez trzy lata, zajęty funduszem edukacyjnym, rzadko i z jej mężem widywać się mogłem.

Raz jadąc z Krzemieńca w 1820 r., wstąpiłem do nich w przejeździe przez miasteczko Połonne, które trzymali za kontraktem dzierżawnym, lecz jej wówczas nie było w domu. Eligi, już wówczas ojciec dwuletniej córki Teodozyi, chlubił się przedemną błogiem z dobrą żoną pożyciem. Wśród rozmowy o tem zapytał mnie:

— Powiedz mi, jakbyś ty postąpił, gdyby żona twoja zażądała mieć swoją osobną kasę?

— U mnie — rzekłem — jeśli Bóg zechce, ażebym kiedy miał żonę, nie przyszłoby jej na myśl takie żądanie, bo zapobiegłbym jego potrzebie. Naprzód miałbym pod moim kluczem registr przychodów i rozchodów, jaki dziś utrzymuję, i pod tymże kluczem w kantorku byłyby nasze pieniądze. Uprzedziłbym żonę, że ile razy na rozchody domowe lub dla niej samej zdarzy się potrzeba wydać mniej lub więcej, ma prawo wziąć klucz odemnie dla odliczenia sobie kwoty pieniężnej, ale z koniecznym warunkiem, ażeby pod tą datą zapisała w registr rozchodu każdy grosz, wzięty z kantorka. Tym sposobem ścisły zachowa się porządek i nie pojąłbym inaczej jedności i zgody w małżeństwie.

— Prawisz romanse! Kiedyś i u ciebie takie prawidło spotka trudności w praktyce. Młode kobiety są pospolicie nieogłędne, nierachunkowe; skoro widzą gotówkę, wnet u nich wymarzy się potrzeba, o jakiej wprzód ani pomyślały. Ja żądaniu żony jak mogę delikatnie odmawiam, ale i twojego prawidła nie pochwalam. Zanim wyjdzie złotówka z pod mojego klucza, chcę wprzód wiedzieć o istotnej potrze-

bie i o konieczności wszelkiego rozchodu chcę sam tylko stanowić.

Nie przyszło zapytać go później, czy zawsze trwał w tych zasadach absolutyzmu. Przecież, jak mniemania sąsiadów świadczyły, pożycie ich w zgodzie przetrwało do grobowej deski.

Gdy w roku 1830 o milę od nich trzymałem przez lat dziewięć za kontraktem dzierżawnym wieś Ożarówkę, a oni po śmierci jej rodziców, Chojeckich, i po dziale ze starszą jej siostrą Ksawerową Czeczelową mieszkali w Motowidłównce, często nawiedzaliśmy się wzajemnie, a przy dowodach niezachwianej od lat młodości między mną a Eligim przyjaźni, szacowały się też pomiędzy sobą i żony nasze. O domu Piotrowskich, godnym najwyższego poważania, jeszcze wspomnę nieraz.

Wracam do naszych wyborów lipcowych 1823 r. Nazajutrz po wykonanej w kościele przysiędze na sumienne obieranie urzędników, powiaty z całej gubernii zgromadziły się w domu magistratu i w dodanej na ten zjazd tuż za nim sali, tarcicami wedle długości domu obwiedzionej, a ze ściółką ułożoną z gałęzi sosnowych, gdzie tu i owdzie powiaty grupami, pod naczelnictwem kończących swój urząd marszałków, stanowiły gwarne obrady, każdy przy osobnym stole ze skrzynką na nim, czyli tak zwaną bałantyrówką, o dwóch szufladach, do których wpadały tajne wota w gałkach podawanych przez marszałka za pośrednictwem rury blaszanej, afirmatywy na prawo pod literą *A*, a negatywy pod literą *N*.

Nasz Zwiahelski, czyli Nowogrodwołyński z ostatniego trzylecia marszałek, stary Mikulicz, został uproszony do przyjęcia nadal tegoż urzędu. Następnie powiat podał kandydatów na urzędy sądu ziemskiego, czyli, jak dziś, powiatowego, i przez tajne wota obrano sędziego, dwóch podsędków i pisarza. Tu marszałek zapytał, kogo zechcą obywatele przedsta-

wić na kandydatów do wyższych urzędów, to jest na podkomorzego i chorążego?

Nie pomnę, kto z życzliwych Kazimierzowi głos zabrał:

— Do tych dwóch urzędów zapraszamy panów: Szymona Konopackiego, który niegdyś był w sądzie naszym podsędkiem, i Wojciecha Domaradzkiego, który chociaż nie był w żadnym dotąd urzędzie, przecież godnym jest naszej ufności.

Odezwno się gromadnie:

— Zgoda, zgoda!

Tu przemówił były chorąży, sędziwy Kazimierz Wasilewski z Żytyniec:

— Panowie! Żniwa pilnie wzywają nas do domów, a przeto czy nie byłoby dogodniej, ażebyśmy, oszczędzając czasu, obeszlą się bez wotowania, a uprosili zgodnie ogłoszonych kandydatów o umówienie się ich pomiędzy sobą, który z nich ma przyjąć urząd podkomorzego, a który ma być chorążym?

— Prosimy, prosimy!—zgodnie zawołano.

Pozostało obranie deputata do komisji szlacheckiej i komornika, jakiego za czasów Rzeczypospolitej sam podkomorzy stanowił w pomoc swemu urzędowi. Ale marszałek z powodu właściwej już pory posiłku, zawiesił sesję do dnia następnego i cały powiat zaprosił na obiad.

Gdy z bratem moim, ś. p. Franciszkiem, weszliśmy do naszego marszałka, widocznie nas tylko tam oczekiwano. Stół już był nakryty i sala pełna była obywateli. Gospodarz po przywitaniach bierze mnie i Domaradzkiego za ręce, wprowadza do drugiego pokoju i prosi, ażebyśmy tam przed obiadem, który już gotów, tu natychmiast stanowczo rozdzielili się dwoma urzędami, jakie nam powiat powierzył.

Powiedziawszy to, zamknął drzwi za sobą.

Domaradzki, poczciwy staruszek, odezwał się do mnie:

— Panie dobrodzieju! Racz mieć wzgląd na moje lata! Zostaw dla mnie bezczynne podkomorstwo, jak je powszechnie nazywają, a bądź naszym chorążym.

— Poddaję—rzekłem—pod rozwagę szanownego pana moje położenie; z prawa, służącego mojemu ojcu, wotuję wprawdzie w powiatach Nowogrodwołyńskim i Łuckim, lecz mieszkam w gubernii Podolskiej, o kilkanaście mil od Zwiahla. Chorąży ma jedyny obowiązek niekiedy zastąpić marszałka. Gdybym przyjął ten urząd, musiano by w każdej potrzebie wysyłać po mnie sztafetę. Zład zdarzyć się mogąca zwłoka w spełnieniu tego urzędu administracyjnego ściągnęłaby na mnie odpowiedzialność i cierpiałbym niewinnie.

— Prawda!—rzecze—przyznaję, że pan słuszną zrobileś uwagę. A kiedy już inaczej być nie może, to ja, bliżej Zwiahla mieszkający, przyjmuję chorążostwo.

Uściskaliśmy się na potwierdzenie tej zgody i wchodzimy do sali. Wszyscy ciekawie zwrócili na nas oczy.

Ja wchodząc, przemówiłem:

— Mam zaszczyt prezentować powiatowi z łaskawej ufności obywateli chorążego naszego powiatu, szanownego pana Wojciecha Domaradzkiego.

Na to marszałek, zbliżając się do mnie:

— A pana witamy naszym podkomorzym!

Nastąpiły powinszowania, uściski i w końcu odezwano się po całej sali.

— Wiwat, wiwat, zgoda! Obyśmy we wszystkim i zawsze byli tak zgodni!

U stołu wypadło mi usiąść przy starym niby jowialiście, niegdyś długo naszym marszałku, Omiecińskim, któremu przez wzgląd na jego kontusz i sę-

dziwość, zwykle przebaczano częste usterki przeciw przyzwoitości.

Ten osiwiwały starzec odezwał się do mnie:

— Wiem, dobrze wiem, dlaczego pan przyjąłeś dzisiejszy urząd; oto, że Zosię chcesz wystrychnąć na podkomorzynę.

— Proszę wierzyć — odpowiedziałem — że nie znam żadnej Zosi.

Siedzący obok mnie Kazimierz Budzyński z drugiej strony, rad powodzeniu wpływów swoich w powiecie, szepnął półgłosem, tak przecież, ażeby go Omieciński usłyszał:

— W miejsce jakiejś nieznannej ci Zosi, czemu marszałek nie wspomina o własnej córce swojej, którą ma na wydaniu?

Na to rubaszny starzec odezwał się głośno:

— Panowie dobrodzieje! Raczcie osądzić tę sprawę. Doradzają tu, ażebym swatał naszemu dzisiejszemu panu podkomorzemu moją córkę. Gdyby on jej zażądał, nic nie mam przeciw temu; lecz on nigdy nie był u mnie i córki mojej nie widział. A przecież wiadomo, że kiedy na jarmarku ktoś kupuje krowę, to ją wprzód obejrzeć musi.

Okryto powszechnym śmiechem to niby dowcipne porównanie.

Dowiedziałem się później, że ową Zosią była panna starannie wychowana, przystojna i dość posażna, Zofia Przyłuska, o którą syn marszałka, Wincenty Omieciński, konkurował, jak przedemną sam to wyznał, gdy w rok po wyborach byłem u jego ojca w Jurkowszczyźnie około Zwiahła. Tam nocując w jednym pokoju z Wincentym, gdyśmy już zabierali się do łóżek, on po zwierzeniu mi się z zamiarów matrymonialnych, bierze w rękę moją szpilkę brylantową ze stolika, którą odpiąłem od koszuli, i rzecze:

— Dajesz mi słowo, że nie przeszkodzisz memu staraniu się o Zosię?

— Ależ najuroczyściej przyrzekam ci, że nawet nie będę u pani Gadomskiej, jej babki, gdzie, jak mówisz, ta panna przebywa; nie znam tej panny i znać nie pragnę.

— Otóż na pamiątkę tych słów twoich pomiejniamy się na szpilki: ja wezmę twoją, a ty przyjm odemnie tę z dwoma brylancikami i ametystem.

Nastąpiła zamiana. Szpilkę od niego mam do-  
tąd. On przecież nie ożenił się z tą panną.

Zofia Przyłuska dostała się bratu memu, ś. p. Franciszkowi w r. 1830,<sup>o</sup> o czem pod tą datą nadmienię, a Wincenty Omieciński wszedł w związek małżeński z Kamilą Porczyńską, córką marszałka Witalisa Porczyńskiego, siostrą cioteczną mojej żony, gdy ja byłem już żonaty od lat kilku. Z Omiecińskimi braćmi, Jakubem i Wincentym, w poufalej byłem znajomości z powodu, że z nimi jednocześnie pobierałem nauki u Pijarów międzyrzeckich.

Dalej w Żytomierzu, po obiorze gubernialnych urzędników, na prezesa kryminalnego departamentu obrano Ludwika Steckiego z Międzyrzecza, syna Józefa, a wnuka chorążego koronnego, który-to Ludwik był moim u Pijarów kolegą; na prezesa cywilnego departamentu Józefa Baczyńskiego, tudzież deputatów do obu departamentów, a na gubernialnego marszałka Piotra hr. Moszyńskiego; przywiedziono nakoniec w katedralnym kościele nas powiatowych, już utwierdzonych urzędników, do przysięgi z wymożonym podpisem od każdego z osobna, że nie będziemy należeć do masonów, ani do żadnych innych tajnych towarzystw. W tej porze żniwa nagliły do powrotu do domu; wypadało jednak zboczyć do kochanego ojca, aby dać mu szczegółową o wyborach wiadomość.

Gdyśmy przybyli do Szulajek, ojciec badał mnie naprzód o urzędników gubernialnych, następnie o powiatowych zwiahelskich. Wymieniłem komplet sądu ziemskiego, wspomniałem i o chorążym i o marszał-

ku, a gdy zapytał: — Któż jest podkomorzym? — ja, pewny nagany, z wielką nieśmiałością powiedziałem:

— Bez wotowania ten urząd mnie się dostał.

Zmarszczył na to czoło.

— A na cóż ci — rzecze — ta zwykle śpiąca jaśniewielmożność, o jaką dbają niektórzy dla koperty tylko? Któż tam był pierwszy do wystawienia na próżniactwo młodych lat twoich?

— Kazimierz — mówię — on, pomimo uwag moich, nalegał o to na mnie i potrafił cały powiat skłonić.

— Źle zrobił! Wolałbym cię widzieć sędzią, bo to urząd czynny nietylko na czele kompletu, lecz i na kondescensjach w swoim i w obcych powiatach, a mianowicie na zdarzających się tak częstych dziś rozbiorach. Poczciwy Kazimierz przez szczerą przychylność za tobą się wstawiał, ale nie wedle mojej myśli. No, stało się! Niech we wszystkim dzieje się wola Pana Boga! My ślepi, nie wiemy, co nam jest potrzebnem!

Niebawem kochany ojciec zmienił przekonanie o mojem podkomorstwie, a nawet dziękował Kazimierzowi Budzyńskiemu, że na wyborach tak skutecznie wpływał za mną. Memu ojcu szło jedynie o to, abym był czynnym. Jakoż nie dano mi próżnować. Wprawdzie, mało już było niepokojonych spraw granicznych; lecz, wedle praw polskich za cesarza Aleksandra I, łaskawie wówczas z językiem naszym nam zostawionych, podkomorzy, równie jak urzędnicy sądu ziemskiego, mógł w każdym powiecie swojej gubernii spełniać obowiązek urzędu bądź z polecenia sądu głównego, bądź z wezwania stron wiodących proces o granicę albo o podtopienie młynów, a podobne w gubernii interesy jeszcze się objawiały.

W domu zastałem w sierpniu wielki postęp około budowy mojego mieszkania. Żniwom ciągle pogoda sprzyjała. W toku już była sterta jęczmienia

i rychliku. Piękna pszenica i żyto w kopach, i zasiew oziminy już w większej połowie dopełniony. Ceny tylko wszelkiego zboża okropnie się zniżyły. Dobry mój ekonom, Baranowski, zapowiedział mi, że tylko do pierwszych dni września może pozostać u mnie; interesy familijne powołują go pod Kamieniec. Od lat kilku, przed mojem jeszcze przybyciem, zarządzając gospodarstwem w Czechelówce, znał dobrze włościan i miejscowość; wiedział, gdzie jakiej uprawy gruntu wymagają. Wkrótce zjawił się pretendent na to miejsce. W minie pokornej jawi się pan Sałacki, uzacniony kontuszem i jedwabnym pasem słuckim. Ten strój przemówił za nim. Nie zważając na lada jakie świadectwa, przyjąłem go na ekonoma, a jaki charakter pod poważnem ubraniem ukrywać się może, niżej opiszę.

W jesieni tegoż 1823 roku odwiedziłem mego ojca. Nazajutrz ojciec mi rzecze:

— Pojeżdż do Romanowa i złóż uszanowanie zyczliwemu ci senatorowi. Bardzo troskliwie badał mnie o ciebie i nacieszyć się nie mógł twoim urzędem.

Spełniając wolę ojca, jadę tam na obiad. Zaledwem powitał senatora, on po uściskach zawoła:

— Mój Boże! tak młody i już poważny podkomorzy! Czy ty wiesz, kochanku, co ciebie czeka? Oto jak za czasów polskich często się zdarzało, że z tego urzędu najstarszego w powiecie postępowali na kasztelanów, tak też ty będziesz niezawodnie senatorem.

Zdziwiony, rzekłem:

— Pan senator żartuje, wiadomo bowiem, że na tak wysoką dostojność braknie mi koniecznych kwalifikacyj.

— Wiem, co przez to rozumiesz: zdaje ci się, że na to konieczny jest odpowiedni majątek. Mylisz się! Trzeba ci wiedzieć, że w Petersburgu niektórzy z moich kolegów nie mają ani kapitałów,

ani piędzi ziemi i wcale nie karetami, lecz piechotą udają się do senatu, a żyją tylko z niewielkiej przywiązanej do tego urzędu pensyi trzech tysięcy rubli srebrnych. Dla czegoż i dla ciebie nie byłoby to dostatecznem?

Przerwałem innym przedmiotem tę nedorzeczną o mojej przyszłości rozmowę, nie domyślając się, z kąd mnie spotyka tak chlubna wróżba. W ciągu obiadu, usadowiwszy mnie przy sobie, wspominał z wielką pochwałą o szlachetności, jaką przed nim okazałem roku 1814 w stolicy, gardząc uboczną korzyścią, jaką on mi obiecywał z urzędu na komorze granicznej. Słowem, ciągle głaskał moją miłość własną.

Lecz nazajutrz rano przybył do mego ojca kontuszowy, o siwych już włosach, dawnej daty sędzieja, pan Żebrowski, generalny plenipotent senatora Ilińskiego. Po przywitaniach, gdy mnie ujrzał, zwraca się ku mnie z uniżonością i rzecze:

— Jakże dziękuję Bogu, żem tu jeszcze zastał pana podkomorzego dobrodzieja!

Po przekąsce śniadaniowej zasiada przy mnie i zaczyna od zwykłych grzeczności, że senator Iliński łasce mego urzędu poleca swój ważny interes i następnie opowiada sprawę graniczną swego pryncypała w Ostrogszczyźnie z dziedzicem miasta Ostroga, księciem Karolem Jabłonowskim.

— Obowiązkiem jest moim wyjaśnić wprzódę przyjście do tego majątku senatora. Należy wiedzieć, że gdy ksiązę Janusz Sanguszko, marszałek nadworny litewski, syn Pawła i Maryi Lubomirskiej, nielegalnie mianujący się ordynatem ostrogskim, albowiem ojciec jego i on sam byli tylko administratorami dóbr ordynackich, tę ordynację po śmierci ojca, jakby majątek dziedziczny roku 1753 rozprzedał, co lubo w kraju wielkiego narobiło hałasu, przecież w lat kilkanaście później sejm pod łaską Czaplica, uznając ów cały majątek ordynacki, jakoby ze spadku po matce dziedziczny Janusza Sanguszki, przez konstytucyę 1766 roku. sprzedaż dóbr licznych do

ordynacyi należących, z roczną intratą kilkanaście milionów czyniącą, zatwierdził, mieniając mylnie ordynację księcia Janusza Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, jakoby nie była przez sejm uznana. At! o tem dużo wypadaloby mówić. Owoż roku 1753 do układów z nabywcami i do spisywania z nimi tranzakcyj w Kolbuszowie o sprzedaż dóbr pomienionych, był zaproszony przez księcia marszałka Sanguszkę późniejszy kanclerz wielki koronny, a wówczas starosta grodecki w Czerwonorusi, Hyacynt Małachowski, brat starszy pocziwego Stanisława, marszałka czteroletniego sejmu, i pan Hyacynt za trudy swoje otrzymał w darze od księcia Janusza Sanguszki miasteczko Międzyrzecz-Ostrogski, przedmieścia Ostroga i wsie okoliczne do tego klucza należące, co dziś nazywamy Ostrogsczyzną. W lat czterdzieści potem, to jest po sejmie grodzieńskim 1793 roku, gdy król pruski zagarnął Gdańsk i Toruń, a Rosyi dostała się znaczna część Wołynia aż po rzekę Turyę w powiecie Włodzimierskim, pan kanclerz, nie wiadomo dlaczego, nie chciał być pod panowaniem Rosyi, bo istotnie jej sprzyjał; owoż tedy sprzedał pozornie darowaną mu Ostrogsczyznę siostrzeńcowi swemu, z Małachowskiej urodzonemu Tadeuszowi Czackiemu. Tranzakcyja o tę sprzedaż w całej formie przed aktami przyznana była, a Czacki dał kieszonkowe jako wujowi zapewnienie, że to kupno, jako pozorne, nie ma w niczem uwłaczać prawu dziedzictwa pana kanclerza. W rok po sejmie grodzieńskim, to jest 1794 roku, Tadeusz Czacki bawił w Krakowie, gdy generał Kościuszko, obwołany przez patriotęw naczelnikiem narodu, poruszył lud do powstania w zamiarze ocalenia zajętego kraju. Tymczasem owoczesny w części Wołynia rząd rosyjski, powziąwszy wiadomość o uczestnictwie Czackiego w działaniach Kościuszki, wnet mu skonfiskował Ostrogsczyznę, jako przyznane przed aktami jego dziedzictwo. Po

kilku miesiącach szczęśliwego mocowania się z prze-  
magającą siłą wojsk rosyjskich, gdy dnia 10 październi-  
ka tegoż 1794 roku generał Adam książę Poniński,  
nie spełnił polecenia Kościuszki i nie przybył z ocze-  
kiwanym sukcesem pod Maciejowice, rosyjskie woj-  
ska pod komendą generała Ferzena, o wielekroć  
liczniejsze, otoczyły naszych i wówczas ciężko ran-  
ny naczelnik Kościuszko, spadły z konia, wzięty  
był w niewolę. Cesarzowa Katarzyna II, w na-  
grode otrzymanego zwycięstwa, darowała Ferzenowi  
skonfiskowaną Ostrogszczyznę. Zruszczony Niemiec  
nie długo cieszył się ową darowizną. Przybył dla  
obejrzenia pięknego majątku i wnet w jego Bielmar-  
zku powitał go pozw od dziedzica Ostroga o odda-  
nie browaru, jakoby należącego do miasta, a nie do  
przedmieścia Bielmarza.

Zapytałem pana sędziego Żebrowskiego, czy ma  
wedle prawa otrzymany dekret sądu ziemskiego, od-  
syłający tę sprawę do sądów podkomorskich? On  
na to podaje mi wyjęty z zanadrza ów dokument.  
Zdziwiłem się, spojrzawszy na datę ziemskiego de-  
kretu.

— Cóż to jest? — zapytałem. — Zda się, że  
proces zacięty, a widzę, że braknie tylko dwa mie-  
siące do preskrypcyi, czyli do dziesięcioletniej da-  
wności?

— Och! nie wina to opieszalności naszej! Przez  
te lat dziewięć i miesięcy kilka nie doczekaliśmy się  
w gubernii podkomorzego, któryby raczył pojąć trud  
przejrzenia naszych dokumentów, których wprawdzie  
pełna od wieku XVII zebrała się do tego interesu  
skrzynka, bo od czasu działu książąt Aleksandra  
i Janusza Ostrogskich, podkomorzowie po wszystkich  
powiatach wymawiali się, jakoby ważnem od rządu  
zesłaniem zajęciem, co istotnie bywa niekiedy, ale jak  
przedemną później szepnięto, ci panowie, nie znający  
prawa, ani zwykłej rutyny czynności podkomorskich,

nie poczuli się zdolnymi do spełnienia urzędu. Dwa lata temu udawałem się do zaleconego mi z wiadomości prawa podkomorzego powiatu rowieńskiego, pana G. Opowiedziałem mu rzecz całą, jak ją panu przedstawiłem. Ale ten otwarcie tak powiedział:— „Jak uważam z opowiadania pana, nad tak dawnymi papierami praca będzie wielka, a idzie o rzecz nie-małą. Jednak przyjmuję osądzenie tego procesu, ale z waruneczkiem, aby pan senator Iliński raczył mieć na to uwagę, że komunikacya dokumentów, dukta i redukta nie mogą się zakończyć na jednym zjeździe moim do Ostroga. Po kilkakroć dom mój wypadnie na to opuścić i śleńczy nad dokumentami. Przecież wszystko to dopełnię, jeśli pan przywieziesz mi za to od senatora z góry dwa tysiące dukatów”. — Tę nadzwyczajną propozycyę gdy przedstawiłem p. senatorowi, aż zatrzęsł się z oburzenia i gniewu, i kazał mi zaniechać tak chciwego urzędnika. Wczoraj zaś wieczorem, skoro się dowiedział o mojem do Romanowa przybyciu, przywołał do siebie i rzekł w najlepszym humorze: — „Jedź, kochanku, jutro rano do mego przyjaciela, starosty Konopackiego; syn jego Szymon, terazniejszy podkomorzy, a człowiek szlachetny, którego tam jeszcze zastać możesz, bo dziś był u mnie na obiedzie, osądzi nam darmo naszą z Ostrogiem graniczną sprawę”. — Przy tem był obecny pan Jan Sleszyński, zastawnik wsi senatorskiej Hremiacza pod Ostrogiem, niegdyś w powiecie Ostrogskim jego plenipotent, potem tamtejszego sądu podsędek. Tego senator uprosił o attentowanie owego procesu na zjazdach podkomorskich i natychmiast polecił, aby z domowego archiwum wydano panu podsędkowi wszystkie do tego interesu papiery, jakie do jednej skrzynki wprzód jeszcze zebrałem. Racz, panie podkomorzy dobrodzieju, uczynić zadość tej ufności, jaką senator w nim pokłada, i nie odmówić nam zjazdów swoich do Ostroga aż do zakończenia granicznego tam procesu.

Przyrzekłem panu sędziemu Żebrowskiemu spełnić ten obowiązek urzędu, a wielką miałem przyjemność gdym dostrzegł w twarzy mego ojca widoczną radość ztąd, że przecież podkomorstwo moje nie będzie śpiące. Wydałem dnia tegoż innodescyę do senatora Mlińskiego i do dziedzica miasta Ostroga, nieznanego mi jeszcze księcia Karola Jabłonowskiego, z naznaczeniem blizkiego terminu, w którym na zjazd przybędę.

Na tym pierwszym zjeździe poznałem się z podkomorzym powiatu Ostrogi, panem Faustynem Szczepkowskim, który ze strony księcia wezwany, miał ze mną sądzić tę sprawę. Plenipotentem zaś owej strony był pan Paczowski, biegły prawnik, który później miał powierzone sobie interesy książąt Sanguszków.

Na tym terminie, zgodnie z panem podkomorzym Szczepkowskim, postanowiliśmy, aby obie strony wzajemną dopełniły komunikacyę dokumentów i do wiosny następnego 1824 roku, z oznaczeniem terminu, zawiesiliśmy dalszy postęp sprawy. Książę Jabłonowski na tym pierwszym zjeździe nauczył szukać znajomości ze mną; było to w zajezdnym domu w Ostrogu. Potem, powtórnie będąc u mnie, zaprosił mnie na obiad, gdzie poznał syna jego, imieniem, jak ojciec, Karol. Młody książę był ożeniony z Potocką z Korca, córką Jana i Maryi z Czartoryskich małżonków Potockich. W domu księcia Jabłonowskiego, przy jego synowej, bawiła wówczas jej siostra, panna hrabianka Potocka, piękna wówczas blondynka, z którą później ożenił się prezes Jan Mołodecki, dziedzic Warkowicz.

Zapomniałem tu nadmienić, że chorąży Wincenty Postruski, wracając z wyborów 1823 roku, znacznie zboczył z drogi, aby mnie odwiedzić w Czczelówce, i że z sąsiadem swoim, panem Gojzewskim, ożenionym z Czczelówną, bawili u mnie przez dwa

dni. Na wspomnienie tej jego przychylności familijnej i serdecznych, lubo zakazanych przez mego ojca stosunków z jego córką, ocknęła się chętka jechać o mil pięć dalej z Ostroga do Krzywicz, gdzie ciotka moja z Bogunią już zamieszkała, opuściwszy na zawsze Krzemieniec. W Krzywiczach, gdzie był powitany z jednakiem, jak dawniej, przez dobrą Bogunię uczuciem, dotknęło mnie wyraźne zobojętnienie jej matki. Było to po świeżo spadłej sukcesyi na jej męża po stryju bezdzietnym, panu skarbniku Postruskim, który, mając dwóch synowców, dla młodszego, Antoniego, ojca dwóch synów, przeznaczył wieś swoją dziedziczną, a dla starszego Wincentego, ojca jedynego Boguni, wydzielił kapitał sto tysięcy złotych na zastawie intratnej wioski pana Jełowickiego. Tę sukcesyę uważałem za powód okazywanej mi obojętności mej ciotki, tembardziej, że często nadraśniała o tym na nich spadku i z wielką chlubą wydobyte z pudełka okazywała przedemną rozmaite klejnociki w oprawie antyków, niegdyś stroje przedwiecznych babek i prababek, po tymże stryju spadłe, a w jakich Bogunia brylować będzie. Westchnąłem cichutko na tę próżność matki, a z goryczą w duszy na widoczną jej zimnotę ku mnie, dzień tylko jeden bawiłem w Krzywiczach. Badała, czy już więcej nie będę czynnym w Ostrogu, powiedziałem, że na zjazd następny, a który jeszcze nie będzie ostatecznym, naznaczyliśmy pewny dzień maja następnego 1824-go roku.

W osobnym pokoju, żegnając rzewnie płaczącą Bogunię, szepnąłem jej:

— Ty dziś bogatsza, już nie dla mnie jesteś! Bądź szczęśliwą z godnym ciebie! Już mnie tu nigdy nie ujrzysz!

Zalewając się łzami, uwiesiło się dobre dziewczę u mej szyi, a pomimo silnego lgnienia sercem ku niej, wyrwałem się z jej objęcia.

W domu zastałem wszystko w pożądanym stanie. Ugodzeni stolarze i mularze pilnie we dworku pracowali. Ekonom Sałacki wiódł gospodarstwo ze znajomością swego powołania. Wiernie z każdego przychodu zdał rachunek.

Wyliczył mi pieniądze, wzięte za zboże sprzedane przezemnie, a za jakie kupiec przy jego zabranii dopłacił. Oddał mi nawet cokolwiek wzięt za plewę sprzedaną bezemnie. Jakże mu nie ufać? Zastałem list z poczty berdyczowskiej odebrany od Seweryna Bukara, który żąda, abym mu pożyczył na rok jeden tysiąc rubli. Posłałem Sałackiego z temi pieniędzmi o mil osiem do Iłaszowki i on szczęśliwie tam je odwiózł, jak list Bukara poświadczył. Jakże Sałackiemu nie ufać? Ale okazało się, że on skarbił sobie to zaufanie moje, aby mnie zdradzić. Niżej nadmienię o tym wypadku i o smutnym losie tego ekonoma.

Byłem z ojcem moim w Wygnance u Kazimierzostwa Budzyńskich. Zastaliśmy tam kilka obcych osób. Przy obiedzie lokaj nasz tajemnie podał mi list jakiś. Spojrzawszy nań ukradkiem, poznałem z adresu rękę Seweryna Bukara, który był szwagrem gospodarza. Bukar wzywa mnie do siebie, donosząc, że żona jego nagle życie zakończyła. Nie mogłem przed ojcem obok u stołu siedzącym utaić przyczyny widocznego zmieszania się mego, i gdy polecał lokajowi, aby wnet konie były gotowe, ojciec mi szepnął, że i on do Iłaszowki pojedzie. Skorośmy od stołu powstali, Kazimierz dostrzegł wymknienie się nasze na ganek, przed którym czekał na nas powóz. Mój ojciec objawił przed nim wiadomość o śmierci jego siostry. On ślepo dowierzał urojonym jej żalom do męża i ztąd nastąpiły nieporozumienia pomiędzy szwagrami, które potem zatarł należyty dla zacnego Seweryna szacunek, tem łatwiej, że istotnie owe żale wyrodziły się z niedocieczonej

melancholii, trapiącej ciągle Sewerynową. Zastaliśmy ją na katafalku mocno zmienioną: była obrzęklą i z twarzą szernioną. Ojciec mój po krótkiej nad trupem modlitwie, ciszej powiedział mi:

— Ona się otruła!

Zapytał obecnej w tym pokoju jedenastoletniej córki jej, Klotyldy, która później w lat kilka wyszła była za Władysława Bernatowicza, czy matka jej temi dniami wyjeżdżała gdziekolwiek z domu?

Klocia na to:

— Byłyśmy w Konstantynowie dla kupienia coś przeciw szczurom i mama kupiła jakąś grudkę.

Wyjmuje ową grudkę z komody i pokazuje memu ojcu. Poznaliśmy arszenik. Domysł mego ojca był trafny: nieboszczka popełniła samobójstwo, a to wskutek czarnej melancholii.

O! ten rok 1823 stał mi się pamiętnym z rozmaitych dotkliwych, a nawet osobistych przygód! W ciągu lata otrzymałem przysłane polecenie, czyli ukaz sądu głównego, abym z pozwu pana deputata Polanowskiego w powiecie Żytomierskim osądził za ległą oddawna sprawę jego o podtopienie młynów w Leszczanach przez sąsiadkę, wdowę panią Morzkowską, mieszkającą we wsi Iwankowie. Zjeżdżałem już dwa razy do pani Morzkowskiej, na której żądanie, lubo nie byłem jej znany, sąd główny mnie na to mianował. Pan Polanowski za pierwszym moim zjazdem, odebrawszy obwieszczenie, tłómaczył się słabością zdrowia i żądał limity. Gdy poraz drugi zjechał na termin z limity, on odebrawszy obwieszczenie, odpisał mi, że stawić się nie może dlatego, że uproszony z jego strony podkomorzy zajęty jest teraz spełnieniem dzieła kaziennego. Odłożyłem przeto zjazd mój do terminu, jaki pan Polanowski w piśmie swoim mieć żądał, to jest do dnia 31 października tegoż 1823 roku. Później odkryto przedemną, że pan deputat wykręcał się od mojego sądu jedynie dla-

tego, że pogardzał ludźmi takimi, którzy czytują książki, a na domiar nieufności ktoś mu powiedział, że jestem poetą.

Nim nastąpił ów trzeci zjazd o to nieszczęsne podtopienie młyna, za drugą bytnością moją w Iwan-kowie zastałem u pani Morzkowskiej córkę jej, księżną Karolową Jabłonowską, która od lat kilku nie żyła z mężem, opuściwszy go w Ostrogu. Teraz wstąpiła do matki w podróży do Petersburga z ośmiolatnim synem swoim, który miał brać tam wychowanie. Ta można pani, dziedziczka dóbr po ojcu wartości czterech milionów, jeszcze w panieństwie głośną się stała ze swobodnego życia. Piękny kamerdyner tajnym był jej przyjacielem, dowód żyjący tych stosunków był w domu pani Morzkowskiej w panience imieniem Oktawii, która przy obiadach u szarego końca stołu swej babki siadała, gdzie, nieświadomy wypadków tam domowych, nie odróżniałem jej od innych tam siedzących, przyzwoicie ubranych panienek, stanowiących pensję ubogich, dla których poznałem tam utrzymywanego pedagoga. O niespodzianym, a dziwnie zrzadzonym losie tej Oktawii, później mówić będę.

Pani Morzkowska, wdowa, z domu Hańska, której brat bogaty, Wacław Hański, był niegdyś naszym marszałkiem gubernialnym, miała siostrę za Marcinem Bukarem. Po śmierci obojga Bukarostwa pozostały dwie ich córki: starsza Kunegunda za Janem Wyleżyńskim, młodsza Marya, w stanie panieńskim, o której wyżej pod rokiem 1817 i 1818 pisałem. Gdy następnie Wyleżyńska umarła, ciotka jej, pani Morzkowska, z pomiędzy licznego potomstwa Wyleżyńskich, zabrała do siebie dwie najmłodsze ich córeczki, a panna Marya Bukarówna, wyjechawszy z Kotelanki, z domu owdowiałego szwagra swego Wyleżyńskiego, zamieszkała w swej wiosce Androszówce, o milę od mojej dzierzawy.—Księżna Jabłonowska przy mnie pożegnała matkę i puściła się

w podróż do Petersburga z synkiem i guwernerem i zabrała z sobą tajną córkę swoją, Oktawię.

Nazajutrz, gdyśmy pozostali sami i gdy już urzędownie oznajmiłem stronom na piśmie prorogacyę czynności moich do dnia 31-go października, pani Morzkowska, chcąc zostawić mi pamiątkę swej ufności, be za jej wpływem sąd główny mnie polecił osądzenie jej sprawy, ofiarowała mi ręką swoją wyrobiony z jedwabnych kordonków worek, czyli kapszuch z grzecznem przemówieniem. Gdy jej za bardzo piękny upominek podziękowałem, ona mnie pyta, czemu się nie żenię? Pomny na to, że jako ciotka panny Bukarówny, pewnie jest świadoma mojego niegdyś starania się o rękę tej panny, rzekłem:

— Bo nie mam szczęścia podobać się.

Na to ona:

— A któżto wasanu powiedział, żeś się nie podobal?

Na ten wyraz wasanu, pierwszy raz w życiu do mnie wymówiony, uśmiechnąłem się i rzekłem:

— Smutne doświadczenie nauczyło mnie tej prawdy.

— Proszę mnie starej wierzyć, że się pan mylisz.

Na tem skończywszy naszą w tym przedmiocie rozmowę, pożegnałem ją.

W drodze do domu zajęła mnie cokolwiek myśl nad wyrazem „wasan.“ Czy on miał oznaczać życzliwość pani Morzkowskiej, a upewnienie jej, żem się podobał, jakby zachętą, abym wrócił po latach pięciu do jej siostrzenicy?

To wszystko ważąc w myśli mojej, gdym zaczął rozpamiętywać łudzące mnie niegdyś, jakby serdeczne sprzyjanie tej panny, ciekawość mnie wzięła zajrzeć teraz w jej oczy, czy też ona okaże najlżejszym pozorem pamięć o zerwanych z nią stosun-

kach? Po dwóch dniach rozwagi jadę do Androszówki, nie jako konkurent do panny, lecz jako przybyły w jej okolicę sąsiad oddawna znajomy. Lubo ona już miała niezawodnie lat dwadzieścia kilka, pewny przecież byłem, że mieć musi przy sobie jakąś poważną wiekiem towarzyszkę. Jakoż zastałem przy niej jakąś w latach sędziwych Francuzkę, którą ona zdawała się wysoce poważać. Przy powitalnym wstępie powiedziałem z pełną uniżenia grzecznością, że jako jej znajomy, a dziś najbliższy sąsiad, przybywam złożyć jej uszanowanie. Milcząca powstawszy, trochę jakby zmieszana, z zimnem jednak okiem uchyliła głowę. Podsycałem, o ile mogłem, urywaną co chwilę rozmowę, co wszystko ona wiernie tłómaczyła swej towarzysce na własny jej język. Zmęczyła mnie okropnie ta wizyta. Po herbacie odjechałem.

— Jak to?—marzyłem, wracając do domu—ona, co tak często widywała ojca mego u swoich rodziców, której wiadoma była ich dla niego przyjaźń; ona, co tak dobrze знаła się z mojami siostrami, nie zapytała nawet, czy ojciec i siostry moje żyją? O! widzę to po jej obojętnem przyjęciu, że nie ja, lecz jej ciotka, pani chorążyna podlaska w Iwankowie, myliła się, ja z serca tej panny już na zawsze wyrugowany! Tak być musi!—rzekłem sobie—Bóg nie chce, abym miał żonę!

Tymczasem po dniach kilku, ni ztąd ni zowąd, najmniej spodziewany, a któregoś nigdy nie widział, przybywa do mnie pan Bykowski, marszałek powiatu Winnickiego, w którym ja mieszkam jako dzierżawca. Zdziwiła mnie ta jego grzeczność w szukaniu znajomości ze mną. Śród tej krótkiej wizyty wychwalał budowę mego domku, podobała mu się wewnętrzna symetria i w końcu dodał:

— W tym domu pan nie sam zamieszkaż, widzę po znacznych kosztach budowy i liczbie pokoi, że słusznie głoszą, iż pan niebawem masz się

połączyć z Wołynianką, sąsiadką pana, panną Bukarówną.

— Często — rzekłem — ludzie myślą się z pozorów. Znam dobrze tę zacną pannę i mam z nią niejakię powinowactwo; jej bowiem stryj Seweryn Bukar, którego wysoce poważam, był ożeniony z moją cioteczną siostrą, a o innych z nią stosunkach ani myślę.

— Czy pan podkomorzy daje na to słowo?

— Jeśli — rzekłem — pan marszałek uznaje to za rzecz przydatną komukolwiek, damę słowo uczciwe, że nie zamierzam starać się o rękę panny Maryi Bukarówny.

Jakby po to tylko był u mnie; niedługo zabał. Nie chciał nawet czekać na herbatę, tłómacząc się odległością swego domu o mil kilka. W rok potem wyjaśniła się zagadkowa wizyta marszałka winnickiego. Brat jego stryjeczny, Konstanty Bykowski, był chorąży kowelski, ożenił się z tą panną. Po tym związku spadła na niego znaczna po wuju sukcesya, dla której oboje wyjechali do Mazowsza na zamieszkanie. On tam, w Królestwie Polskiem, bezdzietnie umarł, a wdowa po nim czy dotąd żyje, niewiem.

W jesieni 1823 roku, gdy ja myślę o moim przyszłym, t. j. trzecim zjeździe do Iwankowa, przybywa goniec z Wygnanki. Kazimierz Budzyński listem zaprasza mnie na dzień 28-go października, w którym ma bardzo uroczyste obchodzić marszałka naszego, Tadeusza Mikulicza, i moje imieniny. Uprzedza mnie, że już ojca mego z siostrami naszymi i cały powiat zaprosił. Odpisałem, że lubo na 31-go października muszę być z urzędu w Iwankowie, przecież na d. 28-go z wielką przyjemnością stawię się u niego z warunkiem, aby mnie nazajutrz nie zatrzymywał.

Zjazd w Wygnance na te imieniny dubeltowe, samych prawie mężczyzn, był nadzwyczaj liczny.

Pomiędzy innymi gośćmi przywiózł z sobą brat stryjeczny gospodarza, podkomorzy żytomierski Ignacy Budzyński, dwóch oficerów pułku huzarów achterskich, mających kwatery w Lubarze. Byli oni rodem Szwedzi, nazywali się Godeniusy. Starszy z nich Aleksander skoro podpił, pochopny był do pojedynku, a kogo wyzwał, niechybnie zabijał. Służył wprzódy w gwardyi i za podobne winy zdegradowano go do polowego pułku. Przecież oba ci bracia, pięknie ukształceni, bywali chętnie przyjmowani po domach obywatelskich. Poznałem ich u mojego ojca i ów awanturnik, byle trzeźwy, wcale niestraszny, okazywał mi sympatyę.

Ale u Kazimierza Budzyńskiego, byle towarzystwo, nie obeszło się, wedle ówczesnego obyczaju, bez nadmiaru w pijatyce. Już po śniadaniu podchmielony starszy Godenius, objawił dziwną urazę do mnie. Przy obiedzie, siedząc obok Ignacego Budzyńskiego ku końcowi stołu, ozwał się po francusku, jak zwykle z nami rozmawiał:

— Czy uważasz, jak Szymon pyszni się swoim krzyżem św. Stanisława? Usiadł tak wysoko pomiędzy kobietami, jakby nami pogardzał!

Ja zaś nie z własnej woli to miejsce zająłem. Jedną z matron, którą prowadziłem do stołu, usilnie żądała, abym siedział przy niej i gospodarz w tym miejscu, jako solenizanta, przytrzymał mnie, wskazując na Mikulicza, który podobnież jako fetowany, był w przeciwnej stronie pomiędzy damami.

Po obiedzie, przy którym po innych winach wychylono dość liczne toasty szampanem za zdrowie solenizantów, Józef Bobrowski, unikając kielicha, wziął od miejscowego lokaja dwie talie kart i rzecze mi do ucha:

— Wymknijmy się stąd do bilardowej sali, mam już dwóch zamówionych i w kieszeni karty, zagramy sobie tam cichaczem w wista.

Było to w starym jeszcze domu wygnanieckim.

Przeszliśmy przez sień po drugiej stronie przez dwa bawialne pokoje, gdzie pełno było dam i poważnych wiekiem gości, i wszedłszy do sali, po zamknięciu drzwi, zasiedliśmy do wista. Wśród pierwszego robra gospodarz dostrzega, że mu braknie Bobrowskiego, który powszechnie kochany, umiał wesołością swoją ożywiać towarzystwo i gwoli uprzejmości gospodarza zachęcał do toastów. Po długich poszukiwaniach wpada do sali, ostro powstaje na nas, że we czterech opuściliśmy wesołe zgromadzenie, porywa ze stolika talię kart, nie widząc, że druga u nas jest w ręku i mówi:

— Radzi nieradzi, musicie pójść ze mną, bo zabieram karty.

Skoro wyszedł, zamknęliśmy drzwi na klucz, będący przy zamku i drugie, wiodące do ogrodu. Wkrótce Kazimierz wraca, zastawszy drzwi zamknięte jedne i drugie, mówi do nas z ogrodu, patrząc przez szyby drzwi parapetowych:

— Poczekajcież! Przyślę ja po was egzekucję wojenną!

Przyjmujemy to za żart, jakim był rzeczywiście i dalej grę naszą więdziemy. Niebawem zjawia się nam za oszklonemi drzwiami starszy Godenius, patrzy wprost na mnie, jako na siedzącego naprzeciw tych drzwi i mówi po francusku, aby mu otworzyć. Postanowiliśmy w opornem milczeniu dokończyć robra. Zniecierpliwiony Godenius naszym milczeniem, gdy i deszcz zaczął mu dokuczać, przemawia już ostrzej i po rosyjsku, że on nigdy za drzwiami cesarza nie stał tak długo, gdy i to nie pomaga, uderza silnie nogą o drzwi; nie poddały się one, tylko zabręczały szyby wówczas, gdy i my skończyliśmy robra. Trzej koledzy moi powstając, zdają na mnie obrachunek wygranych i przegranych. Gdy ja pozostaję przy stoliku, Godenius, mając drzwi otwarte, wpada z gwałtownością wprost na mnie i wrzasnął po francusku:

— Jak śmiałeś pan trzymać mnie za drzwiami na deszczu! Panie! tę sprawę rozstrzygnie pomiędzy nami kulka!

— Dobrze, dobrze!--powiedziałem mu.—Odlóżmy to do jutra, a tymczasem proszę tak nie krzyczyć, aby tu obok w drugim pokoju nie posłyszały damy i mój ojciec, o co nam idzie.

Wracamy z nim przez pokoje bawialne na drugą stronę, nikt nie wie, prócz nas wistowych, co zaśzło pomiędzy mną a tym oficerem.

Brat jego młodszy, Ludwik, dostrzegłszy, iż długo a darmo szukam mojej fajki, chce mi ofiarować swoją, od czego się wypraszam. Na to podchodzi starszy, chwyta za ramię brata i z furią rzece:

— Co robisz, to mój wróg.

Grzeczny Ludwik, zdziwiony spojrział badawczo po kolei na nas, a gdy obadwa odeszli, starszy młodszemu szeptał coś do ucha. Tymczasem deszcz leje jak z cebra, a wesola pijatyka ciągnie się i po wicherzy, aż do poduszki zakończył ją poncz. Ja, zamówiwszy sobie na sekundanta Józefa Bobrowskiego, wyszedłem przed innymi do oficyny, gdzie spałem noc poprzedniej. Gdy w drugim od wejścia pokoju, już rozebrany, leżę w moim łóżku i z zimną krwią rozmyślam nad koniecznością śmierci, jaka mnie czeka, słyszę, że w pierwszym zabręczwały ostrogi. Weszli dwaj bracia huzarzy. Starszy pyta lokaja, ścielącego łóżka na ziemi wysoko sianem wysłanej:

— Dla kogo to ścieliesz?

— Dla pana Budzyńskiego z Wyszczyhus i dla panów, którzyście z nim przyjechali.

Ten starszy wchodzi w płaszczu i czapce do drugiego pokoju, gdzie także była świeca, a spojrzawszy na mnie leżącego w łóżku, cofnął się i z oburzeniem mówi po rosyjsku do brata:

— On wylega się na łóżku, a nam, jak psom, każą spać na ziemi! Chodźmy do domu!

I poszli, nie zważając na ulewny deszcz. Lo-

kaj wybiegł, aby oznajmić to gospodarzowi. Ten rozporządza wysłanie koczka za huzarami, z tem, że jeśliby nie chcieli wracać, aby furman odwiózł ich do Lubaru, o milę od Wygnanki. Nazajutrz furman wrócił z tą wiadomością, że przez całą noc jechał w próżni noga za nogą w ślad za oficerami, darmo ciągle ich prosząc, aby wsiedli do powozu, że jeden z nich przeklinał bardzo rozgniewany, a obadwa przemokli od deszczu, zabłoceni prawie do kolan, szli piechotą aż do samego Lubaru.

Rano, po powrocie furmana, musiałem wyświadczyć się cichutko przed samym Kazimierzem z całego zajścia pomiędzy mną a starszym Godeniusem. Kazimierz wiedział, że niema żartów z tym awanturnikiem. Głośny był świeży w Lubarze wypadek. Poróżnił się o jakąś fraszkę z kolegą swoim, pięknym i dobrze wychowanym porucznikiem, Berczowskim, i z wielkim żalem wszystkich oficerów, w pojedynku na pistolety, głowę mu rozstrzaskał. W raportach Berczowski zabił się sam.

Nie ma środka, muszę w Wygnance oczekiwać na przybycie sekundanta, który od porucznika Godeniusa ma mnie wyzwać do rozprawy. Uprosiłem posłańca do Iwankowa. Napisałem dwa obwieszczenia: do pani Morzkowskiej i do p. Polanowskiego, że dla ważnej sprawy rządowej przymuszony jestem odłożyć na później zjazd mój do Iwankowa. A ponieważ zbliżająca się zima utrudni liwelację wody, przeprzeto limituję zjazd mój do dnia 1-go maja następnego 1824 r. Mało dbając o następstwa tej prorogacyi, przed odjeżdżającym ojcem i siostrami do domu udałem, jakobym istotnie miał pilny komis rządowy do spełnienia.

Wyczekawszy dwa dni w Wygnance, postanowiłem zrobić odezwę do pana Godeniusa. Trudno mi znosić dłużej niepewność życia lub śmierci. Ignacy Budzyński trzeciego dnia po tych imieninach zabierał się jechać do domu, jak zwykle na Lubar.

Uprosiłem go, aby tam przez swego lokaja odesłał mój list do Aleksandra Godeniusa. Napisałem go po francusku.

Przeciwny byłem i jestem pojedynkom; lecz, aby one dziś nie były koniecznymi, potrzebaby zmienić naturę ludzką, potrzeba siły moralnej dla powściągnięcia namiętnych uniesień. Zbawiciel wskazał środki na to: żyjąc wedle Jego nauki, nie byłoby ani krzywdzących, ani krzywdzonych. Chlubni cywilizacją, jakżeśmy odskoczyli od świętych prawideł, chrześcianom podanych. Oto niewinnie napadnięty, ulegać muszę mylnym o honorze mniemaniom. Po groźbie kulki pijanego awanturnika, gdybym zniósł obojętnie tę groźbę i odjechał, gdzie wzywał mnie obowiązek, wytykanoby mnie palcam, wymownem na mnie spojrzaniem mianowanoby mnie podłym, niktby mi ręki nie podał! Mój Boże! A ileż obok tego zdrożności, ile podłych, nizezemnych czynów po świecie! Milczymy na to, lub jeśli potępiamy je, to w cichem kółku swoich, a publicznie cześć oddajemy bałwanom możliwości lub wysokiego rodzaju. Cóż czynić! Życ musimy ze światem jaki jest. A więc czekam na odpowiedź z tą pewnością, że śmierci nie ujdę. Udaję wesołego, a żal mi leż kochanego ojca i rodzeństwa po mnie! Życzliwi powiedzą: skończył jak człowiek honorowy!

Gdy tak w duchu rozmyślałem nad niepewną życia godziną, tegoż dnia w miejscu spodziewanych sekundantów huzara wraca Ignacy Budzyński z rozjaśnioną twarzą i opowiada, że przybywszy do Lubaru, stanął w miasteczku i wszedł do sklepu dla jakiegoś sprawunku do domu, tam niespodzianie zastał starszego Godeniusa, kupującego tytoń. Skoro ujrzał Ignacego, rzucił mu się w objęcia i zawołał:

— Ach! po co mnie tam zawiozłeś! Jakże wielkie zrobiłem tam głupstwo! Powiedz mi najprzód, czy ojciec Szymona wie o tem. Powiedz, proszę! Ja

tego starca bardzo szanuję i nie chciałbym go zmartwić.

— Bądź o to spokojny—rzekł mu Ignacy—nikt nie wie o tem, co zaszło, prócz mnie i Kazimierza. Ale oto masz list od Szymona, potrzeba, abyś mu coś odpisał, on nazajutrz po tych imieninach powinien być z obowiązku swego urzędowania koniecznie odjechać, przecież wstrzymał się dotąd dla waszego nieporozumienia.

Przeczytał list, machnął ręką i rzecze:

— Tak, tak! głupstwo, jak pijany, zrobiłem. Brat mój zaraz nazajutrz upewniał mnie z powziętych wiadomości na razie, że m na Szymona najniewinniej napadł. Ja mu przez umyślnego posłańca odpiszę, jakieście upoiłi, tak przebaczcie szaleństwu pijanego!

Trzy dni jeszcze napróżno czekałem na obiecanego z Lubaru posłańca. Widocznie wstydzil się Godenius swojej czynności, bo potem ani razu już nie był u mojego ojca, przed którym przecież to zajęście było utajone.

W lat trzy, czy cztery potem zeszlismy się na pogrzebie ciotki mojej, matki Ignacego Budzyńskiego w Lubarze; szlismy obok siebie za trumną, słowa do siebie nie przemówiwszy, jakby nieznani sobie. Lecz na stypie, gdy wszedł do refektarza Dominikanów, gdzie śród licznego zgromadzenia i mnie już zastał, zbliża się po przywitalnym ukłonie wszystkich do stolika okrytego przekąską, nalewa sobie wódki i odzywa się do mnie:

— *A vous Simon!*

Przyjąłem od niego kieliszek. Były to ostatnie jego słowa do mnie. Ten szaleniec, co sprzątnął nie jednego, a sam nigdy nie był ranny, gdy w Lubarze ciężko zachorował na tyfoidalną gorączkę, w chwili oprzytomnienia stanowczo zapytał doktora w obecności brata i kilku oficerów:

— Powiedz otwarcie, czy mam zrobić krótki

testament, bo widzę, że wy wszyscy, chociaż uczni, ale głupcy, nie umiecie zaradzić mojej chorobie.

Pulkowy doktor na to:

— Testament wcale nie zaszkodzi.

— Rozumiem cię—rzekł chory.

Kazał podać sobie do łóżka toaletę. Wytrzymał z szufladki ostatnie cztery dukaty i mówi do kolegów tam obecnych:

— Czynię ostateczne rozporządzenie mojego majątku żołnierskiego: przeznaczam go na cztery butelki szampana, które tu z wami po raz ostatni wypiję. O moje ciało nie troszczę się, wy go pewnie psom nie oddacie!

A do lokaja rzekł:

— Pośpieszaj prędko z tem winem, abyś jeszcze mnie zastał

Doktor szepnął troskliwemu bratu chorego, że i bez wina musiałyby życie skończyć, niechże przynajmniej wesoło nas opuszcza. Lokaj wrócił prędko od winiarza z czterema butelkami szampana, które kolejną szklankami, począwszy od chorego, wkrótce były wypróżnione i po takiej egzekucyi testamentu, w nocy Aleksander Godenius wyzionął ducha. On zawsze uważał życie człowieka za igraszkę Boga i grał też niem po swojemu, najmniejszej do niego nie przywiązując wagi, a przyszłość zagrobową mianował zwykle urojeniem ludzkim.

Tymczasem pan Papusza (tak nazwany) Polanowski, skoro odebrał z Wygnanki moje obwieszczenie, wnet mu przychodzi myśl zmienić urzędnika do sądenia starej sprawy o podtopienie jego młynów. Wysła prośbę do Wielkiego Księcia Konstantego, który, mieszkając w Warszawie, jako wódz wojska polskiego, razem zarządzał z mocą generał-gubernatora Litwą i trzema zachodniemi guberniami naszemi. W tej prośbie oskarża mnie najprzód, jakby ciężkiego winowajcę, że w Iwankowie na dwóch moich zjazdach podkomorskich ważyłem się jadać obiady i wie-

czarze u pani Morzkowskiej, kiedy prawo wyraźnie stanowi, aby każdy urzędnik nie z prywatnej odezwy, lecz z polecenia wyższej władzy spełniający swój obowiązek, miał z sobą kucharza na zjeździe. Powtóre, że sprawę oddawna zaległą, odraczałem podwakroć, zwlekając jej osądzenie; nakoniec, żem sąd mój limitował z wyraźną jego szkodą aż do wiosny następnego 1824 roku i w konkluzyi prosi o rozporządzenie, aby rozwiązanie tego procesu poddano innemu podkomorzemu.

Na taką skargę nie żądano mojego tłumaczenia się, a byłbym rzetelną przedstawił prawdę, że na moje odezwy w oznaczonych terminach pan Polanowski sam żądał po dwakroć limity i że następnie słotna pora jesieni, równie jak i zima, utrudniały liwikację wody i dlatego zjazd mój do maja odłożyłem. A nadzwyczaj ucieszyło mnie urzędowe zawiadomienie, żem już swobodny od sądenia sprawy pana Polanowskiego.

Roku 1834 w lutym przenieśliem się z oficyny do zbudowanego przezemnie domku w Czeczelowce. Dokupiłem cokolwiek koniecznych sprzętów, aby zdarzonemu gościowi było na czem usiąść: stanęły porządne sofki ceratą pokryte, stanęły krzesła, stoliki, komoda, szafki w dwóch pierwszych, nadzwyczaj wesółych pokojach, dość obszernych. Mój sypialny trzeci miał drzwi parapetowe ze schodkami do ogrodu, czyli do projektu na ogród, gdzie miały być kwiaty śród gazonu, na które już udzieliła nasionek siostra moja młodsza i dobra sąsiadka, Pieńkowska.

Jedyną ozdobą mojej sypialni był portret dobrej Boguni, pastelami przez Klembowskiego w Krzemieńcu zrobiony.

Raz w tym pokoju siedząc w ciszy nad książką, marzyłem o kilku latach ubiegłych, i kolejną sięgałem do wspomnień o pierwszych w życiu przez Józefę Bierzyńską ocknionych dla niej uczuciach.

— Nie! — rzekłem w duchu — ona, co dla ma-

jątku Turkula, którego, wedle słów jej, nie cierpiała, przecież wzgardziła moją niezachwianą przez lat pięć miłością, nie poprzestałaby na tym, choć wesołym, lecz ubogim domku. Maryanna Bukarówna, która przez dwa lata łudziła mnie i słodkimi wyrazy i niekiedy wymownem powleczeniem jakby mdlejącego spojrzenia, a przecież zwlekała stanowczą odpowiedź na usilne moje nalegania, ta niezawodnie, pomna zawsze na stosunki z bogatszymi domami, nie byłaby rada mieszkać tu ze mną. Bogunia jedna, zdaje się, los wszelki chętnieby ze mną dzieliła, gdyby nie zmienność jej matki.

Gdy patrząc na miły mi portret, tak samotny marzę, wraca z Berdyczowa mój posłaniec po spodziewane z poczty listy od Karola Czarnockiego z Litwy i od Rudzkiego z Krzemieńca, a najmniej spodziewany odbieram list z Krzywicz od ciotki Postruskiej. Ona, wiedząc odemnie, że w maju mam być w Ostrogu na zjeździe podkomorskim, tym listem wzywa, prosi i w najtkliwszy sposób zaklina na wszelką dla mnie świętość, abym w maju z Ostroga był u nich; kończy zaś najmocniej działającą na mnie otwartością, że jej córka wierną jest zawsze w uczuciach swoich dla mnie. Bogunia w przypisku dodaje, abym nie zapomniał, jak byliśmy z sobą w Krzemieńcu i na te stosunki zaklina, abym w maju był koniecznie w Krzywiczach, a najczulej przez nich będę powitany. Odpisałem na pocztę rówieńską, że chciałbym lecieć do nich natychmiast, lecz ważne wstrzymują mnie powody. Skoro one przeminają, z największą pośpieszę do nich radością, jeśli dla nieprzewidzianych przeszkód nie pierwej, to niezawodnie w oznaczonym przez nich terminie, w maju.

Po takim ciotki mojej liście wypadałoby natychmiast jechać do Krzywicz; lecz było to w końcu lutego, a ja w dniu 4 marca chciałem w domku moim uczcić Kazimierza Budzyńskiego, jako w dniu jego imienin. Już na moją odezwę otrzymałem był przy-

rzeczoną u mnie bytność ich obojga, również jak na moją prośbę obiecał zjechać kochany ojciec z mojami siostrami. Uprzedziłem też kilka innych osób, znających Kazimierza, o tej solenizacyi. Taki powód wstrzymał podróż moją do Krzywicz.

W dalszym ciągu marca, na wezwanie ojca, jeździłem w jego interesach do Zwiahla i do Żytomierza. Na tę odezwę przybywszy do Szulajek, nie zastałem ojca w domu, był w Romanowie u senatora Ilińskiego. Gdy wieczorem wrócił z tej wizyty, po przywitaniu, rozmawiając ze mną i zdejmując swój pas zlocisty i nieodstępną przy pasie karabelę, zdarzenie w tym dniu doznane, a w pamięci mojej utkwione, opowiadał w tych słowach:

— Poznałem też tam za pośrednictwem senatora jego ulubionego gościa, obywatela powiatu Ostrogińskiego, pana podkomorzego Łukasza Łażnińskiego, który jest krewnym zasłużonego generała niegdyś polskiego, dziedzica wsi Brodecka. Pan podkomorzy z senatorem *okrutnie* się kochają nawzajem; ile razy senator zwiedza swoje dobra ostrogińskie, zawsze odwiedza tamtego, który, aby uczcić dostojnego gościa, zwykle sprasza w tym dniu na obiad okolicznych obywateli, jak mi opowiadał przy nim sam senator. Człowiek ten, w latach czterdziestu kilku, wesołego temperamentu, wszystkim się podoba, a mnie szczególnie, ztąd, że o gospodarstwie tak ze mną rozmawiał, jakby czytał z książki: zna tę rzecz gruntownie. Senator i z tego względu bardzo go wychwalał, przywodząc, że w jego wsi Korostowie z każdej chaty po dwa pługi i po trzysta bron wiejskich na łan dworski wychodzi, że ta zamożność włościan wynika z ciągłego nad nimi czuwania, że tam żaden nie może wyprowadzać chudoby swojej na jarmarki bez wiedzy swego pana, że każdy włościanin zarówno ma w każdą zmianę po sześć morgów i cztery morgi sianozęci, a w dodatku siódmy morg ornej na to, aby włościanie i dworskie oplacali podatki, że umiał

przekonać włościan, iż nie warto utrzymywać gęsi, które więcej na zasianych polach czynią szkody, niż można mieć z nich korzyści. Słowem, gospodarz, od którego ja stary mógłbym się wiele nauczyć. Z wielką przyjemnością długo z nim rozmawiałem o ekonomice, nim oznajmiono, że gotowy obiad.

Zauważyłem, że przez wzgląd na tego gościa, obiad był z większą niż zwykle wystawą. W ciągu tej uczty w dalszej sali brzmiała rogowa muzyka i w małych kieliszkach stare nam wino podano. Ale pan podkomorzy Łażniński, który przed obiadem tak mi się podobał, u stołu siedząc obok, wyrwał się do mnie ni w pięć ni w dziewięć i zapytał:

— Czy to syn pana, Szymon, poeta?

Mocno mnie uraził tem zapytaniem. Odpowiedziałem mu też:

— Mam ja wprawdzie syna Szymona, ale ucho-  
waj Boże! nie poetę, czyli nie próżniaka! Mój Szymon nietylko jest porządnym na dzierżawie gospodarzem, ale nadto zyskał sobie ufność powiatu i z wielką pociechą moją czynnym jest podkomorzym, nie jak wielu innych, z których urosła pogłoska, że ten urząd jest śpiącym.

Może on to wziął za przymówkę i do siebie, jako były podkomorzy; mnie wprawdzie nie wiadomo, jak on ten urząd spełniał, ale trudno mi było zamilczeć, kiedy on nazwał cię poetą.

Ucałowałem z uśmiechem rękę ojca, myśląc sobie: Moje kilka wierszy znanych światu, nie zasługują na tytuł poety, a ojciec słusznie mówi, że wierszokleta bez daru wyższego natchnienia jest nieużytecznym próżniakiem. Ale któżby wówczas przewidział, że pan Łażniński, który tak niewinnie obraził mego ojca, po jego śmierci będzie moim teściem?

Gdy wróciłem z Żytomierza, cały kwiecień 1824 przeszedł na sprawie z ekonomem moim, Sałackim, ku dośledzeniu popełnionej kradzieży w pieniądzech

i na wyszukaniu ekonoma, któremu mógłbym powierzyć dom i gospodarstwo. Zdarzyła się bowiem taka okoliczność: Wyjeżdżając w podróż, gdym już był na wsiadanem do powozu, odezwałem się do Sałackiego w obecności poczciwego lokaja mego, Rudnickiego, który ze mną jechał: Pamiętaj, panie Sałacki, nocowywać nie w oficynie, ale w domu, do którego klucz ci oddałem; tam bowiem w komodzie są pieniądze. Nie wymieniłem mu ich ilości, aby wnosił, że znaczna może być suma, dla której koniecznością będzie czuwać. Istotnie zaś nie więcej tam było jak trzysta rubli srebrnych, które umieściłem w sześciu szufladkach, z wielkiej toalety wyjętych. Wróciwszy do domu, dostrzegłem w drugim pokoju przy komodzie na podłodze drobne wióry drzewa; rzucam okiem na komodę i widzę ją cokolwiek uszkodzoną nad zamkiem. Klucz od niej zwykle chowałem pod zamek w stoliku, tuż obok stojącym. Biorę ów klucz, otwieram komodę, zaglądam do szufladek i znachodzę pięć zupełnie próżnych, a w szóstej nie więcej jak 25 całkowitych rubli, tak silnie wciśniętych, że złodziej z pośpiechu nie mógł ich wytrząsnąć. Przywołałem Sałackiego i stojąc nad otwartą komodą, zapytuje go:

— Gdzie są moje pieniądze?

On klęka, składa krzyżyk z dwóch palców i rzecze:

— Panie! o niczem nie wiem, do niczego nie należałem! Niech mnie ten krzyż ubije, jeśli kłamie!

— Czy sypiałeś w domu, jak poleciłem?

— Nie, panie; prawda, że pan tu sypiać kazałeś dla pilnowania pieniędzy, lecz na biedę jedno z dzieci mocno było chore i dlatego po nocach nie odstępowałem go w oficynie, ale klucz od domu był zawsze przy mnie; codziennie rano dom opatrywałem i wszystkie drzwi zastawiałem zamknięte, wszystkie okna całe.

— Tembardziej—rzekłem—posądzam cię o kradzież...

Kazałem przywołać dwóch parobków z toku, aby w oficynie czuwali nad nim. Sałacki udawał bardzo pobożnego, często jeździł do parafialnego w Ostróźku kościoła—o miłę odemnie. Listem moim wezwałem znanego mi proboszcza. Gdy przybył, opowiedziałem wypadek i uprosiłem, aby religijnie skłonił winowajcę do wyznania prawdy, a gdy zwróci pieniądze, odprawię go tylko bez świadectwa, a przed policją, mając wzgląd na żonę jego i drobne dzieci, zamilczę. Daremnie proboszcz się trudził, Sałacki i przed nim powtarzał: „o niczem nie wiem, do niczego nie należałem.“

Po herbacie ksiądz wracając, wstąpił w Wiszence do pani Pieńkowskiej, i opowiedział zdarzoną u mnie kradzież. Nazajutrz rano miecznikowa listem mnie zawiadamia, że Sałacki, będąc niegdyś u niej tokowym pisarzem, został posądzony o kradzież jej pięciuset rubli, lecz, że dostatecznych nie przedstawiono dowodów, przeto odprawila go tylko, nie dawszy świadectwa. W końcu listu prosi, aby dla przykładu i zastraszenia innych ekonomów wytoczyć temu złoczyńcy kryminalny proces. Przywołałem Sałackiego, czytam przed nim list mojej sąsiadki, i zaklinam na miłość jego dla dzieci, aby wyznał winę i oddał pieniądze, a swobodny w świat pójdzie. Ale niezachwiany powtarza tylko:

— Panie! o niczem nie wiem, do niczego nie należałem.

Na to wchodzi mój lokaj i zapytuje:

— A któż odbił blat od stolika, gdzie były zamknięte klucze od komody? Dziś zamiatając pokój, chciałem ten stolik przenieść na drugie miejsce, aby lepiej z pod niego zamieść i blat oderwany pozostał w moich rękach.

Wówczas domyśliłem się, zkad były na podłodze drobne wióry drzewa. On wprzód próbował

nożem albo dłutem, czy nie odchyli zamku u komody, a potem mógł przypomnieć sobie, że nieraz przy nim chowałem pęk moich kluczków w stoliku, odbił jego blat, otworzył kluczem komodę, i zabrawszy z niej pieniądze, porządnie ją zamknął, a pęk moich kluczków napowrót wrzucił do odbitego stolika. Lokaj blat jego podniósł i okazał świeże jego odbicie. Gdy wyszedł, ja rzekłem Sałackiemu:

— Szczerze ci radzę, przyznaj się, a wyratujesz od ostatecznej nędzy siebie, żonę i dzieci.

On słodko uśmiechnięty, mówi mi:

— Pan wierzysz Rudnickiemu, a to on skradł pańskie pieniądze.

— Nedorzecznie go obwiniasz, wszakże on był ze mną w podróży.

— Tak, ale tam, gdzie pan nocował wracając, mógł konno w nocy tu przyjechać dla tej kradzieży.

— Błąkasz się widocznie! Klucz od domu u ciebie; drzwi i okna nietknięte; jakże mógł dostać się do wnętrza domu, gdyby nawet ważył się na tę nocną wycieczkę?

— To prawda, ale ja o niczem nie wiem, do niczego nie należałem.

Odszedł pod wartą do oficyny. A ja natychmiast wysłałem zawiadomienie do winnickiego niższego sądu o zdarzonym wypadku, z tem, że winowajca jest u mnie pod strażą i że proszę o śledztwo. Tymczasem nastęrczono mi ekonomu z dobrymi świadectwami, który później okazał się godnym mojej ufności.

Po upływie tygodnia przybył winnicki sprawnik, w asystencji dwóch innych urzędników, co wszystko razem zwie się *wremiennoje otdielenie*. Sprawnik już nie młody, pełen doświadczenia człowiek, przez trzy dni męczył się nad Sałackim, aby go skłonić do zeznania winy. Lecz ten przyznając, że wiedział ode-

mnie o pieniądzech w komodzie, że dla tych pieniędzy poleciłem mu, aby nocował nie w oficynie, lecz w domu, a kończył zawsze, iż co do kradzieży: „o niczem nie wiem i do niczego nie należałem.“

Stawieni wartownicy, którzy napaliwszy w „grubach“ spali na korytarzu, świadczyli, że późno wieczorem, w przeddzień mojego przybycia, Sałacki wchodził do domu i tam mocno stukał. Rzecz widoczna, że wówczas odbijał blat od stolika. Ale tłómaczył się, że chodził do domu, aby nakręcić zegar ścienny. Zapisano tem śledzstwem kilka arkuszy papieru, wynagrodziłem fatygę i sześciomilową z Winnicy podróż urzędników, a Sałackiego poprowadzono do turmy winnickiej. Żona zaś jego z dziećmi przeszła o dwie wiorsty do szlacheckiej wioski Krzyżanówki, gdzie miała znajomych. Zdawało się, że się już pozbył kłopotu, wyrzekłszy się na zawsze skradzionych mi pieniędzy. Lecz nie koniec na tem, że je utraciłem, Sałacki jeszcze mnie kłopotał, o czem niżej wspomnę.

W tem miejscu przywidzę okropną katastrofę sprawnika winnickiego, który zjeżdżał do mnie w powyższej sprawie. Był to urzędnik nie z wyborów, lecz, jak zwykle, od Korony, a przy śledztwie u mnie zdawał się niezłym człowiekiem. Wkrótce potem zdarzyła mi się potrzeba pomówić z nim, już nie pomnę w jakim interesie. Przybywam do Winnicy i pytam starożyda, do którego zawsze zajeżdżał, czy zastanę w domu pana sprawnika?

— Już go pan nie zastaniesz.

— Może dziś wróci?

— Nie, panie. Ztamtąd, gdzie on pojechał, człowiek już nigdy nie wraca. Posłuchaj pan strasznej o nim historyi:

Tu na przedmieściu mieszkał stary odstawnny pułkownik Rosyanin, przy którym w małym dworku był tylko lokaj, furman i baba kucharka. Mówiono w mieście, że on miał u siebie wielkie pieniądze.

Otóż lat temu kilka przybiegł lokaj jego do pana sprawnika i z placzem i wielkim lamentem opowiedział mu, że w nocy ktoś wybił okno do izby pułkownika, wdarł się tam i zabił go, pewnie dla skradzenia pieniędzy, bo kantorek zastano otwarty.

Sprawnik natychmiast zjechał tam, aby zrobić śledztwo.

Potem mówiono w mieście, że pułkownika pochowano, że w kantorku ani grosza nie było i że policya stara się wysledzić zbójcę. Lokaj i furman, otrzymawszy od sprawnika świadectwo, że o nic nie są podejrzani, rozeszli się w świat. Pierwszy z nich nie wiadomo gdzie się podział, a furman, Mazur, oparł się aż o Kraków. Tam, służąc lat trzy, czy cztery, gdy w tym roku mocno zachorował, i gdy na jego żądanie wezwano księdza, on blizki śmierci wyznał prawdę przed księdzem, że łącznie z lokajem zabił pana swego pułkownika w Winnicy, że sprawnik tamtejszy przekonawszy się o ich zbrodni, gdy rewidował skrwawioną ich bieliznę, którą zmieniawszy, wrzucili między brudy, powiedział im:

— Mam was w rękę; oddajcie mi zabrane pieniądze, a ja was uwolnię.

— Otóż daliśmy mu dwa tysiące rubli, a resztą rozdzieliliśmy się, wyszliśmy ztamtąd, ale już na zawsze rozłączeni.

To wyznawszy furman przed księdzem, prosił go, aby o tem wszystkiem napisał do Kamieńca, bo on nie umarłby spokojnie, gdyby tam nie wiedziano, że sprawnik winnicki jest takim, jak i oni, złoczyńcą. Ksiądz przyrzekł umierającemu, że przed władzą krakowską tę zbrodnię urzędnika podolskiego objawi. Jakoż doszło to zeznanie furmana do Kamieńca, z kądem przyjaciela naszego sprawnika spieszenie mu o tem doniósł. A sprawnik, nie czekając sądu na siebie, zażył jakąś truciznę i już w mogiłce spoczywa.

Mówią — żyd prawił dalej — że furman wyznał grzech swój dlatego, że sumienie go gryzło, a gdzież

było to sumienie, kiedy zabijał? Bądź co bądź, bardzo dobrze u was chrześcian, że człowiek choć umierając, szepnie prawdę księdzu.

Mocno mnie przejęło to rzetelne opowiadanie starego żyda, co tegoż dnia powtórzył przedemną jeden z obywateli tego powiatu. Rzecz nie była dla mnie obojętną ztąd jedynie, że tak ohydny występstwem splamionego samobójcę uprzejmie przez dni kilka przyjmowałem u siebie, jakby uczciwego urzędnika.

Z Ostroga w maju 1824 roku wyjechałem pełen otuchy do Krzywicz. Powyższy list ciotki Postruskiej dawałem do odczytania siostrom moim, a po naradzie z niemi, otrzymałem ich upewnienie, że skoro wrócę z Krzywicz z zaręczynowym pierścieniem na palcu, dobre siostry potrafią wybłagać u naszego ojca zezwolenie na związek, mimo pokrewieństwa mego z Bogunią w trzecim stopniu.

W Krzywiczach zastałem oboje wujostwo Postruskich. Powitano mnie tam najserdeczniej. Naza jutrz rano, gdym się dowiedział, że Bogunia wyszła do ogrodu, udaje się za nią i zastaję z książką w ręku samotną w altance.

Szczęśliwi oboje, że znów jesteście z sobą, jak przez trzy lata w Krzemieńcu, zapominamy o reszcie świata. Z początku mało słów było: wszystkośmy sobie powiedzieli w pocałunkach i wymownem dla nas spojrzeniu. Nakoniec, gdy ona tuli się ku mnie, przemówiłem:

— Słuchaj, luba! Stosunki nasze tak pozostać nie mogą. List matki twojej ośmielił mnie przybyć tu w zamiarze oświadczenia się rodzicom o twoją rękę...

— Ach, uchowaj Boże! — zawoła. — Nie mów jeszcze o tem ani słowa. Kiedyś może przyjdzie ta godzina szczęścia mego. Ja, wierna tobie, ktokolwiekby się trafiał, wszystkim odmawiać będę, a po kilku latach, gdy się spostrzegą, że mogę zostać starą pan-

na, wówczas na związek nasz zezwolą. Pewna zaś jestem co do ciebie, że gdybyś już dostrzegł u mnie i siwe włosy, zarówno jak dziś kochałbyś mnie zawsze. Dziś, na miłość Boga, milcz jeszcze! bo gdybyś się odezwał, to już cię nigdy nie ujrzę!

— Pocóż mnie matka twoja najczulszym listem wzywa z tem upewnieniem, że ty, droga moja, nie zmieniłaś uczuć swoich dla mnie?

— Dziwi cię to? Bo ty, mój luby, nie wiesz, co po twoim ostatnim odjeździe tu działo się ze mną. Ja podobnie jak w Krzemieńcu twój odjazd odchorowałam, ale mocniej jeszcze, bom w pamięci powtarzała sobie twoje przy pożegnaniu wyrazy, że już cię nigdy nie ujrzę. Nie sypiałam po nocach, ciągle łzami się zalewając. Aż gdy znacznie chudnąć zaczęłam, mama w obawie o moje życie, napisała do ciebie list, jakiego ja żądałam, a odpowiedź twoja, choć nie zaraz mogłeś przyjechać, radość mi przyniosła. Ale na krótko! Ciozia Raciborowska słyszała rozmowę moich rodziców i przygotowała mnie z litości nademną do tego, że gdy ty przyjedziesz i zechcesz oświadczyć się przed rodzicami, to mama najgrzeczniej zbędzie się ciebie.

Mówiąc to, płakać zaczęła. Przedstawiam jej, że taka obluda w liście byłaby niezgodną z uczciwym charakterem jej matki, i nakoniec, że my nie możemy pozostawić w takim zawieszeniu losów naszych. Ona na to:

— Nie potępiaj tak ostro mamy. Pamiętasz bytność ojca twego w Krzemieńcu. Coś tam podobno zaszło między nim a mamą; ciocia mówi, że twój ojciec dał do zrozumienia, że był nie rad dostrzeżonej pomiędzy nami skłonności, o której w domu dowiedziawszy się, umyślnie przyjechał, aby zapobiedz związkowi w tak blizkiem pokrewieństwie. Może mama, choć tobie sprzyja, szanuje przecież wolę twego ojca.

O, co do tej przeszkody — rzekłem — bądź

zupelnie spokojną. Ja pewny jestem, że mój kochany ojciec nie odmówi nam swego błogosławieństwa.

Wtem dostrzegam wchodzącego wuja do ogrodu i mówię jej:

— Oto twój ojciec przechadza się po lipowej alei; pójde i powiem, po co tu przybyłem.

— Na miłość Boga nie idź, bo zgubisz mnie! On cię odeśle do mamy, a ja nigdy już cię nie ujrzę!...

Chwyta mnie ramieniem swoim za szyję i całując, oblewa twarz moją łzami.

— Boguniu!—wołam—pomnij na to, że oni cię kochają! Czyliż zechcą sprzeciwić się tak silnej skłonności naszej? Puść mnie, moja luba, niech pójde po szczęście nasze. Przeczuję, że ojciec twój nie odmówi mi.

Przemocą wyrwałem się z jej objęcia, zostawiając nieutuloną w płaczu. Idę w aleję do jej ojca. Pozdrawiam go, całując, zwykłem dzień dobry. Chodzę z nim ze dwie minuty, strachem oniemiały. Gdy on łaskawie przemówił dziękując, żem ich nawiedził, ośmielony jego grzecznością, przemówilem drżący cały:

— Szanowny wuju! Ważę się odkryć przed tobą głębię serca mego. W ręku twoich jedyne jest szczęście moje. Dozwól, aby mi wolno było starać się o rękę twej córki.

Uśmiechnął się i rzecze:

— Starać się jeszcze? Po co to udajesz, kiedy mnie dobrze wiadomo, jak wy wzajemnie sobie sprzyjacie.

Na te jego słowa rzuciłem mu się do kolan, całując je.

On mnie podnosi i rzecze:

— Wierz mi, kochany Szymonie, że nietylko przeciwny nie jestem waszemu związkowi, ale nawet radbym jak najprędzej widzieć was połączonymi. Lecz wiadomo ci, boś na to patrzył, jak żona mo-

ni wylana jest przez całe życie dla tej naszej jedynaczki. Miała ztąd prawo zastrzedz sobie swobodne rozrządzenie jej losem bez mojego wpływu. Udaj się do niej. Wszak przez trzy lata ona sprzyjała stosunkom twoim z Bogunią, a przeto nie wątpię, że i związkowi z nią przeciwną nie będzie.

Ucałowałem go znów w kolana.

Biegnę do altanki, aby to Boguni oznajmić. Już jej tam nie było. Ogrodnik powiedział mi, że ją wezwano do pokoju. Wówczas dostrzegłem jej matkę przy otwartem oknie w jej pokoju, a przeto widzieć mogła, jak wyszedłszy z alei, byłem u kolan jej męża, i że dlatego mogła wezwać córkę.

Otrzymawszy tak laskawe zezwolenie wuja, idę śmiało do niej.

Wchodzę i zastaję samą ciotkę, szparko chodzącą po pokoju w silnem widocznie poruszeniu; twarz jej i spójrzenie tchnęły jakoby gniewem. Zwyczajnie zawsze do godziny południowej sypiała, po wieczery bowiem, gdy w parę godzin wszyscy do łóżek się rozchodzą, ona wówczas długie rozpoczynała modły, które trwały przez noc całą do godziny drugiej po północy. Teraz widząc ją w nadzwyczajnej porze już w codziennem ubraniu, po zwykłym dzień dobry przy ucałowaniu jej ręki i po dotknięciu jej usty mojego czoła, w kilku słowach okazałem zdziwienie, coby ją przed ósmą godziną obudzić mogło.

— Wielki ból głowy, jaki dotąd cierpię, zwykły sen mi przerwał. Czy ty w Ostrogu sprawę graniczną już osądziłeś?

— Sprawy tego rodzaju, zwłaszcza zadawnione, jak ostrogska, mają określone prawem stopniowanie, ztąd zdarzają się limity opóźniające dekret. Dla tej przyczyny nieraz jeszcze w Ostrogu być muszę. Ale sprawa najważniejsza w życiu mojem, tu bez żadnej limity dziś ma się rozstrzygnąć!

— Rozumiem cię, kochany Szymonie! Ta właśnie sprawa i sen mi odjęta i sprowadziła ból głowy!

— Przebacz, kochana ciociu!—zawołam, rzucając się do jej kolan. — Ja i córka twoja poddajemy się z ufnością pod twoją wolę, którą chcemy uznawać za świętą!

— Ach Boże! Z jakąż boleścią przymuszona jestem odkryć przed tobą, kochany Szymonie, że cię pozory omyliły! Wszak słyszałeś, co nieraz mawiałam, że jedynem byłoby szczęściem dla mnie, gdybym cię nazwała zięciem. Ale to nigdy być nie może! Nie! Ty nie znajdziesz tu szczęścia, jakie cieszyłoby mnie i czcigodnego ojca twego!

— Ciociu najdroższa! Dozwól tylko na nasz związek, a ujrzycie nas szczęśliwymi!

— Ależ powtarzam ci, że ja z duszy pragnę tego związku! Cóż na to poradzić, kiedy Bogunia wcale go sobie nie życzy.

Uśmiechnąłem się na to i rzekłem:

— Jeśli z jej ust takie nastąpi rozwiązanie mojego losu, odejdę, siebie tylko obwiniając, że nie umiał zjednać jej serca!

— Ty omyliłeś się na pozorach! Ona ciebie nie kocha!

— Chciałbym, aby, patrząc mi w oczy, to powiedziała.

— Nie wierzysz? A więc słuchaj!

Otwiera drzwi do drugiego pokoju, gdzie widzę jej córkę siedzącą na kanapie z granatowym prawie rumieńcem, ze spuszczoną głową.

— Boguniu!—matka woła.—Nie zwódź Szymona! Powiedz prawdę! Mów, co tylekroć przedemną powtarzałaś: Jak ty kochasz Szymona?

Córka płakać zaczyna i milczy.

— Bardzo proszę zaniechać tych patetyczności, gdzie idzie o los całego życia! Podnieś głowę, spojrzij mu w oczy i wydobądź z duszy prawdę! Mów, jak ty go kochasz?

Ciągle łkając, podnosi twarz splakaną; spojrzała

na mnie tuż przy niej i w przerywanych wyrazach, przytłumionym głosem wymówiła:

— Ja kocham bardzo Szymona... jak... brata... ale na męża...

Tu stanęła.

— Mów dalej!—matka woła.

— ...nie mogę.

— Czy uważasz? — matka mi rzecze: — *Ale na męża nie mogę.*

To powtórzywszy, zamyka drzwi do pokoju, gdzie sama córka pozostała. Odchodząc i ja razem z matką, wyrzekłem tylko do płaczącej ostatnie: *Bądź zdrowa!* Za drzwiami silniejszy płacz i ciężkie łkanie słyszeć się dały.

Tak bolesna, tak niespodziana po liście matki scena, przywiodła mnie do gwałtownych żalów, do rozpacz i do oburzenia. Zda się, że utraciłem przytomność na chwilę. W osłupieniu, już nie pomnę jakie z ust moich wyrazy do ciotki wymknąć mi się mogły. Wyszedłem od niej ciężko przygnębiony. Wstyd mi było przed samym sobą, że dowierzając jej odezwie, naraził się na taką wzgardę. Wbiegam do pokoju, gdzie nocowałem, i z naciskiem rozkazuję zdziwionemu lokajowi memu:

— Pakuj natychmiast i wnet niech powóz zachodzi!

W kilka minut, z nikim się już nie widząc, bez pożegnania wsiałam do powozu. Wtem zjawia się na ganku wuj Postruski, podchodzi do powozu i wzywa głosem przychylności:

— Proszę cię, kochany Szymonie, wysiądź na chwilę, chcę z tobą pomówić.

Odchodzimy na bok. On, ściskając mnie i całując, mówi:

— Szczerze wchodzę w twoje i biednej Boguni cierpienia. Ale cóż począć? Z uporem mojej żony bardzo trudna sprawa! Nabożna aż do zbytku; modli się po całych nocach, lecz choćby i sam papież

tu wpływał, nie zmienił swego postanowienia. Ciężko to, ciężko! Ale przywykłem już dla spokoju domowego powtarzać sobie przysłowie Francuzów: *Ce que femme veut, Dieu le veut*. Słuchaj-no, ja tobie winienem wzięte dawniej u ciebie dziesięć dukatów. Mam je gotowe oto w rękę, aby ci to oddać z podzięką. Ale dziś chciałbym, abyś miał odemnie pamiątkę szczerzej życzliwości mojej. Ty grywasz na skrzypcach, a ten wyborny instrument mam u siebie bez żadnego użytku, bo na nim grać nie umiem. Wypadkiem dostał się do mnie za piętnaście dukatów; ma na płózku blaszkę srebrną z cyfrą I. L. Ignacego Lencza, znanego tobie Włocha, znakomitego muzyka, który w Krzemieńcu dawał lekcye śpiewu Boguni. Przyjm te skrzypce, proszę, w miejsce należnych ci pieniędzy! W tej zamianie idzie mi o to mianowicie, abyś ty, grywając na nich, wspominał kiedykolwiek o mnie, twoim przyjacielu!

Serdecznie wujowi podziękowałem. Służący jego przyniósł pudełko ze skrzypcami i włożył je do mego kocza. A po rzewnem pożegnaniu dobrego wuja odjechałem na zawsze z Krzywicz.

Dwie wyborne włoskie skrzypce z cyfrą Lencza, po latach kilkunastu, gdym zajęty malarstwem dawniej, a później większem gospodarstwem, muzykę zupełnie zaniedbał, z wielką przyjemnością darowałem wnukowi wuja Postruskiego, młodszemu synowi jego córki, Lucyanowi Boguszowi, który znakomity na nich okazywał talent. Wuj Postruski znał też gruntownie muzykę i pięknie grywał na klawirynie.

Gdym wyjechał z Krzywicz, ciągle snuł mi się po myśli dawniejszy stosunek mój z Bogunią i dziś oplakane losy. Raz potępiąłem obłudne przez list wzywianie matki, abym do wiernej dla mnie powrócił, to znów mając na uwadze tę jej o zdrowie córki obawę, o której to kochane dziewczę opowiadało przedemną, przebaczyłem ciotce nieszczerść jej ode-

zwy do mnie, bo dla niej mniejszą było winą zwo-  
dzić mnie, niż obojętnie patrzeć na nękające zdrowie  
jedynego dziecka. Rzewne łzy jej córki, gdy w prze-  
rywanych wyrazach zaprzeczała objawianym przed  
chwilą uczuciom dla mnie, dostatecznie świadczyły,  
że je wymawiała z widocznym przymusem za gro-  
źną wolą matki, która znów wydała mi się mniej  
winną ztąd, że jeszcze w Krzemieńcu, powodowana  
uwagą mego ojca na blizkie pokrewieństwo, mogła  
upewnić go, że na związek nasz nigdy nie zezwoli.  
Inaczej pogodzić nie mogłem tyloletniego pobażania na-  
szym serdecznym stosunkom, z niepokonaną teraz  
trudnością. Tak w tej-to podróży do domu ciągle  
marząc bolejąco, ułożyłem wierszyk pod tytułem *Po-  
żegnanie po doznanej przeszkodzie do związku z powodu  
pokrewieństwa*. Wpisałem to do tomu pierwszego  
moich ramot na karcie 42. Ale tam opuszczone są  
może zbyt rażące strofki, a które potem z małą zmia-  
ną przenieśliem do mojej ballady p. t. *Stas obłąkany  
w Zieleńcach*, w tymże tomie na karcie 70. To ca-  
łe pożegnanie, w podróży z Krzywicz ułożone, z te-  
mi to strofkami później odjętemi, przez pośrednictwo  
już nie pomnę jakie, dostało się wkrótce do poże-  
gnanej Boguni. W Krzywiczach bywał zyczliwy dla  
mnie Stanisław hrabia Worcel, wówczas jeszcze mło-  
dy. Tam czytał owe wierszyki i przepisał je sobie,  
a następnie, będąc raz przy mnie w Stołpowie u pań-  
stwa Jankowskich, blisko Szulajek, ku wielkiemu  
zdziwieniu mojemu deklamował je z pamięci wiecz-  
orem przed piękną wówczas panią Jankowską, z domu  
Zagórską, w takiej co do słowa całości, jak były  
oryginalnie ułożone i jak je tu zamieszczam:

Pożegnanie po doznanej przeszkodzie do związku  
z powodu pokrewieństwa.

Ostatni cię raz widziałem!  
Żal ostatnie tłumit słował

Czemuż, czemu nie skołałem,  
Mówiąc ostatnie: bądź zdrowa!

Westchnęłaś wówczas tajemnie,  
Tuląc własne niepokoje,  
I ze łzami wlałaś we mnie  
Ostatnie spojrzenie twoje!

Jak przebija farbę żywą  
Więziona róża pod źródłem,  
Tak wydałaś duszę tkliwą  
W ostatniem spojrzeniu twojem!

Czemuż wspomnienie tej chwili  
Dręczy mnie smutkiem i trwogą?  
Jeśli przeczucie nie myli,  
Ach, czy nie kochasz ty kogo?

Ale wierna, czy niestała,  
Mnie żyjącemu lub w grobie  
Tyś mi szczęście poznać dała,  
Ja nie zapomnę o tobie!

Czy Nieba będą łaskawsze,  
Czy losom dręczyć dozwolą,  
Wspomnę sobie, jak ty zawsze  
Dzieliłaś się moją dolą.

To wspomnienie i dziś nęci,  
Bo mam w duszy przeszłość jawną,  
Bo mi się marzy w pamięci,  
Jak mię kochałaś niedawno!

Wieczór się szarzy, my sami;  
Goreją wspólne zapały!  
Cisną się piersi piersiami!  
W ustach się dusze spotkały!...

Potem się nam przyszłość marzy,  
Głowy się zlekka przyklonia,  
Ona wzdycha... i po twarzy  
Mięciuchną mię pięści dłonią!

Ach! kto przeżył taką chwilę,  
Nie wart był życia zaczynać!  
Na toż mnie kochałaś tyle,  
Aby cię tylko wspominać?

Ty młodszych lat mych ozdobo,  
Przerwałaś mi życia drogę;  
Kochałem inne przed tobą,  
Po tobie kochać nie mogę!

Tam dwa potoki na niwie,  
Trzyletnim związkim spojone,  
Płynęły niegdyś szczęśliwie  
Jedną wodą w jedną stronę.

Czy im wadzi kamyk mały,  
Czy burza liściem przywali;  
Tu porwały, tam mruzczały,  
I płyną dalej i dalej...

Wtem czwarta wiosna nastąpiła.  
O! groźne niebios wyroki!  
Bije piorun, rwie się skała,  
Pada i dzieli potoki!

Ostatni cię raz widziałem!  
Żał ostatnie tłumit słowa;  
Czemuż, czemu nie skołałem,  
Mówiąc ostatnie: — bądź zdrowa!

Wróciłem do domu, jakby umarły dla świata. Jadąc, jak zawsze, przez Szulajki, opowiedziałem moje pożegnanie Krzywicz przed siostrami, które utaiły przed naszym ojcem zamiar, z jakim tam jechałem.

Co do zjazdów moich w Ostrogu, te w tym 1824 roku jeszcze podwakroć powtarzały się, zawsze bez uczestnictwa podkomorzego ostrońskiego. On z pełną ufnością niby polegał na mnie co do spełnienia prawnych formalności, a zawieszał czynny swój wpływ aż do ostatecznej w roku następnym 1825 decyzji. Pomnę, że w ciągu tych samotnych zjazdów moich, doznawałem zawsze wiele grzeczności od księcia Karola Jabłonowskiego. Był to człowiek pelen nauki i odznaczał się przez czystą piękną wymowę tak w polskim, jak we francuskim języku. Pożyczał mi z biblioteki swojej rozmaite zajmujące dzieła i często zapraszał mnie na obiady. Raz przed południem byłem z nim i z jego synem

w jego sypialnym pokoju, gdzie okno  ród pogody by o do ogrodu otwarte, on dostrzeg  na jarz bnie kilka ptaszk w, schwyci  stojac  przy  ozku dubelt wk  i wystrzeli . Syn jego wskoczy  przez okno do ogrodu i przyni s  dwie jemioluchy. Ksi z  ode-s s  je do kuchni, a w ko ncu obiadu jad em po raz pierwszy ten zachwalony przez gospodarza specya . Istotnie jemiolucha odr żnia si  wyborym, delika-tnym smakiem od innego ptactwa; przypomina co-kolwiek w trob  szczupaka.

Raz wracajac z Ostroga do domu zwyklym traktem na Polonne, wst pi em o po udniowej porze do Hamerni, tak nazwanej cz sci miasteczka, gdzie mieszka  pan Tadeusz Walewski. Nie pamie tam, czy ten motyl przez ciag ca ego  ycia ju  by  o eniony z Ann  Karwick  z Mizocza, godn  lepszego losu, to pomn  tylko,  em zasta  tam znanego mi w Krze-mie cu bogatego Izydora Soba skiego z Podola, kt ry by  o eniony z c rk  senatora, Seweryna Potoc-kiego, kt rej miniatur  cudnie pi kn  on mi niegdy  pokazywa  w Krzemie cu. W Hamerni by em na obiedzie. Gdy we trzech siedzimy u sto u, Waleski zapytuje mnie, co z dzie  nowych a ciekawszych czy-ta em temi czasy?

— Mam — rzek em — w  ywej pamie ci trzy fran-cuskie tomiki, pozwolone do odczytania przez ksi cia Jab onowskiego, pod tytu em „Pami tnik w Francuza, ksi cia krwi kr lewskiej,” kt rego nazwiska dzi  nie pamie tam <sup>1)</sup>, do c,  e autor  w by  krewnym Burbo-n w, a umierajac, darowa  sw j r kopis przyjacielo-wi, ten za  w k opotach p zniej majatkowych sprze-da  te pami tniki ksi garzowi. Owo dzie o, drukowa-ne w Pary u, rozesz o si  po  wiecie. Szczeg lniej ono zajmuje nas Polak w, bo tam si  wyja niaj  naj-rzeczywi ciej mi osne intrygi tego z Francyi ksi z -

---

1) Ksi z  de Lauzan.

cia z księżną Czartoryską, generalową ziem podolskich i jej miłości z innymi dostojnikami krajów sąsiednich. Z czego widzimy — rzekłem — iż powodzeniu tego księcia francuskiego winna życie księżniczka Zofia Czartoryska. później ordynatowa Zamoyska. Napróżno potem księżę Adam, syn generała ziem podolskich, broniąc sławy swej matki, jeździł do Paryża dla wykupienia reszty egzemplarzy, bo wkrótce wyszła z pod prasy druga edycja tych Pamiętników. W końcu, zapomniawszy gdzie jestem, robię tę nierozważną uwagę: Tak to niepewnie jest pochodzenie znakomitszych rodzin naszego kraju!

Walewski dotknięty, wnet odezwał się, jakby za uderzeniem o stół nożyce:

— Zachciałeś pan czystych, anielskich obyczajów! Nigdzie ich nie było i nie będzie. To, co się zdarzyło w Warszawie, bywało i bywa po wsiach, z tą tylko różnicą, że u Czartoryskich i im podobnych jakiś księżę wysokiego rodu tajnych łask ostatecznych doznawał, a u pani podczaszyny lub skarbnikowej byle gach.

Ukaśiłem się w język. Spozrzegłem się wówczas, żem był w domu syna księżniczki Lubomirskiej, która w panieństwie miała światu wiadome stosunki z młodym a czarującym pułkownikiem wojsk rosyjskich, konsystującym w Połonnem przed samym rozbiorem kraju, czego był dowód żyjący, a wkrótce umarli, przybyli na świat w trzy miesiące po jej ślubie z brygadyrem wojsk polskich, Adamem Walewskim, który, jako ubogi, lubo krewny wojewody sieradzkiego Walewskiego z Tuczyzna, tym tylko wypadkiem księżniczki był ośmielony sięgnąć po jej rękę i posag, wynoszący ośmnaście milionów złotych. Matkę pana Tadeusza Walewskiego, po rozwodzie z jego ojcem, poślubioną generałowi rosyjskiemu Wittowi, u Wyleżyńskich poznałem roku 1818; na twarzy lat podeszłych były jeszcze ślady pięknych rysów.

Pomiędzy granicznymi z urzędu zjazdami, w chwili

lach wolnych samotnego życia w Czezelówce, notowałem sobie rozmaite zdarzenia domowe i okoliczne, które później stały się materiałem do mego pisma pod tytułem: *Papiery znalezione*. Później, w lat nie pomnę ile, już w Ławrynowie wysłałem to pod prasę warszawską, zda się do dziennika pod redakcją hr. Rzewuskiego. Umieściłem też tę ramotę w tomie III moich rękopisów prozą.

Przerzucając raz w Czezelówce dawnej daty rozmaite ze mną korespondencye z czasów urzędowania mego w krzemienieckiej komisji edukacyjnej, znalazłem, czego nie szukał, list Francuza Burbelana, domowego nauczyciela przy dzieciach Seweryna Bukara. Ten Francuz, nauczywszy się języka naszego wedle prawideł gramatycznych, polubił go i pisywał niekiedy do mnie po polsku. W jednym z tych listów skłaniał i zachęcał, abym tłumaczył z prozy poetycznej na wiersz polski znakomite dzieło Fenelona znane światu p. t. *Les aventures de Telemaque, fils d'Ulisses*. Będąc potem w Wiszence u zacnej sąsiady mojej, miecznikowej Pieńkowskiej, dostrzegłem w otwartej z książkami szafce to dzieło Fenelona edycyi dawnej pod rokiem 1719, z rycinami. Gdym ją prosił o pozwolenie tej książki, ona rzekła:

— Panu wiadomo, że języka francuskiego nie znam, a syn mój Kamil miał tę książkę raz tylko w swych rękach, gdy na niej napisał imię swoje i nazwisko. On nie lubi bawić się literaturą. Proszę więc pana, abyś tę książkę raczył przyjąć odemnie na pamiątkę.

Podziękowałem ucałowaniem rączki pani miecznikowej i tę książkę mam dotąd u siebie. To dzieło już było mi znane, nie miałem go tylko u siebie. Teraz je w darze schwyciwszy, miewałem codzienną rozrywkę w samotnej codnia ciszy, rymować po polsku przygody Telemaka. Sporo postępowała zabawka moja. Dwie pieśni ukończywszy, posłałem je pod cenzurę uniwersalnej głowy przyjaciela

mego, Franciszka Rudzkiego. Ten po odebraniu mojej posylki, w kilka dni wyjeżdżając z Krzemieńca na czas krótki do Warszawy, wziął z sobą owe dwie pieśni mojego tłumaczenia i w Warszawie dał je do czytania znanemu sobie, Michałowi Wyszowskiemu, klasycznemu poecie, członkowi towarzystwa przyjaciół nauk, a mieszkającemu tam ciągle jako radcą stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych. Następnie dał je pannie Tańskiej i własnoręczne ich zdanie, otrzymane na piśmie, z pochlebną zachętą do ciągu dalszej pracy, przysłał mi, wróciwszy do Krzemieńca. Ten sąd literatów warszawskich o mojem tłumaczeniu wierszem Telemaka mam gdzieś pomiędzy listami Rudzkiego. W samotni mojej najmiej czas mi schodził w ciągłym towarzystwie Fenelona, a nawet później nie zrażał mnie ostry wyrok Adama Mickiewicza, potępiający tłumaczenie Felińskiego „Ziemiaństwa“ z Delila. I gdy miotano pioruny na klasycyzm, ja ciągle, unosząc się nad Telemakiem, dokończyłem sześć jego pieśni w Czechelówce. Wprawdzie pozostało ich jeszcze trzy razy tyle nietkniętych piórem mojem. Wstrzymałem się z dalszem tłumaczeniem, nie przez uwagę, że za duchem czasu gust powszechny skierował się i u nas ku romantyczności, ale jedynie dlatego, że prawie wyłącznie mitologia w następnych pieśniach jest mi niesmakowną ich treścią. Tłumaczenie moje sześciu pieśni Telemaka umieściłem w tomie II pism moich wierszem, a nigdzie nie dawałem ich do druku.

W tymże 1824 r. smutną z Szulajek od sióstr odebrałem wiadomość, że ojciec nasz silnie zachorował. Wyjechałem tam natychmiast. Nie zastałem chorego w domu, leżał w Romanowie, u doktora Dżakomego. Udałem się do Romanowa. Zastałem ojca w wielkiem osłabieniu, mocno zmienionego. Przyczyną tej niemocy było rozdrażnienie nerwów.

Ojciec mój był u senatora Ilińskiego w tym dniu,

kiedy miały odbyć się oblóczyny panny młodej, pięknej a posażnej, wstępującej do zakonu Wizytek, dla których senator fundował w Romanowie wspaniałą kościół i mury klasztorne. Ostra klauzura nie dawała przystępu mężczyznom do mieszkania Wizytek, ani do ich kościoła. Od tego prawidła wyłączał się fundator i miał prawo mieć z sobą towarzysza; tym przy wspomnianych oblóczynach był mój ojciec. Dziewica jeśniejąca urokami dla świata, wyrzeka się wszelkiej uludy, wszelkich z ludźmi stosunków. Obfity dla ambony przedmiot ku zdeptaniu wielkości ziemskich, a podniesieniu zasługi owej aspirantki w kwiecie wieku, Bogu tylko oddanej.

W ciągu ceremonii piękną dziewczę, leżącą u stóp ołtarza, jako już umarłą dla znikomych przyręć, okryto śmiertelnym całunem, a gdy zakonnice w chórze zebrane modlą się jakby za jej duszę, ukryta w dali orkiestra daje się słyszeć tak rzewną a przytłumioną melodyą, że aż do łez porusza. Ojciec mój, tym całym aktem tak silnie się przejął i osłabł w kościele, że z trudnością doszedł do karety, która go zawiozła do doktora. Środki, przez Dżakomelego użyte, dały mu po kilku dniach tyle siły, że mógł wrócić do domu mocno zmieniony i odtąd już z ciągłym na twarzy smutkiem.

W tych to czasach powziąłem był wiadomość z listu Rudzkiego, że pan Nowosilcow ma zjechać do Krzemieńca dla zwiedzenia liceum i dla rewizyi dzieł komisji edukacyjnej.

Zarząd uniwersytetu z wiedzą kuratora swego, Adama Czartoryskiego, na podaną przezemnie prośbę, uwalniając mnie od urzędu przy komisji edukacyjnej, nadmieniał w piśmie swoim, że skoro odbierze od wchodzącego na ten urząd pana Ignacego Kozaczyńskiego wiadomość o przyjęciu odemnie całego archiwum funduszków edukacyjnych, przyśle mi świadectwo o mojej zasłudze. Wprawdzie mało dbałem o to, rad, że się wyrwam z pod ciężkiego jarzma

po trzyletniej pracy, ale ocknął mnie Nowosilcow. Przeglądając dzieła komisji, mógł w czemkolwiek upatrzeć jakiś pozór do pretensji ku zakłóceniu mojej spokojności. A przeto w czerwcu r. 1824 wysłałem prośbę do zarządu imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu, której kopię mam jeszcze u siebie, z przypomnieniem owej obietnicy. Jakoż odebrałem, lecz nie prędzej aż dnia 24 marca 1825 r. datowane z Wilna, z podpisem pana Pelikana, jako zastępcy rektora uniwersytetu, świadectwo z uznaniem znakomitych zasług moich ku pomnożeniu funduszków wychowania publicznego, oblatowane później w ziemstwie nowogródwołyńskim. Mam je u siebie.

W ciągu tegoż 1824 r. przybyli do mego ojca z powiatu Łuckiego oboje chorążostwo Teleżyńscy, z jednym synem, z córkami, z zięciem a bratem moim i z wnuczką, wówczas ośmioletnią Kasyldką, dzisiejszą Leonową Konopacką. Wówczas Kasyldka została w Sewerynach u Marcelinostwa Budzyńskich, ażeby łącznie z ich trzema córkami pobierała wychowanie. Te nawiedziny familijne, trwające przez dwa tygodnie u mego ojca, gdzie i ja kilka dni bawiłem z przyjemnością, stały mi się pamiętne ztąd mianowicie, że po odjeździe tych miłych gości, miałem z kochanym ojcem ważną dla mnie rozmowę.

Mój ojciec dostrzegł, że z pomiędzy trzech pańien Teleżyńskich, Olimpij, Pauliny i Sabiny, najczęściej z tą ostatnią rozmawiałem. A ponieważ z twarzą była bardzo ujmującą, kochany ojciec, troskliwy o moją przyszłość, zrobił mi sam na sam uwagę:

— Pamiętaj, synu, moje słowa: Sabinka bardzo miłe dziewczę, ale gdybyś miał z nią się ożenić, mogłaby siusznie dać ci uczuć, że ty mało mając, nie powinienes być z taką łączyć się osobą, która nic nie ma; bo miłość na śniadanie, miłość na obiad i wieczereć okropnie dokuczy bez chleba. Związek małżeński jest święty, i dlatego trzeba przed zawarciem go pomnieć, że obok słodczy zgodnych uczuć

są konieczne warunki, stanowiące ich trwałość, to jest, chcąc sobie zapewnić spokój domowy, potrzeba mieć niezawodne środki utrzymania się w przyzwoitości, do czego się przywykło, a potem środki na wychowanie dzieci. Mówię to dlatego, ażebyś, uchowaj Boże, nie uległ słabości rozmiłowania się w pannie Sabinie. Ona dostać się powinna bogatszemu, niż jesteś ty. Proszę cię i zaklinam pod ważnością mego błogosławieństwa, ażebyś nie zamyślał oświadczać się o jej rękę. Ja nie mam drugiej Holuzyi, ażeby ją dać pod prawo zastawy, jakem dał Antoniemu, a na malej dzierżawie dla ciebie samego wystarcza, a dla dwojga, byłby niedostatek i ztąd nieszczęście. Ot, w sąsiedztwie jest zacny dom podkomorstwa Piotrowskich, którzy nam serdecznie sprzyjają. Życzyłbym sobie dla twojego dobra, ażebyś starał się o rękę ich córki, panny Aleksandry. Nie jest ona pięknoscia. Ależ trzeba ci wiedzieć, że w żonie ten przymiot prędko powszednieje. Zato słyszę wielkie pochwały o jej łagodności, dobroci i pięknego wychowania, a przytem będzie tam i posag jakiś.

Ucałowałem rękę czcigodnego ojca i rzekłem:

— Stosownie do tych drogich dla mnie uwag, upewniam kochanego ojca, że o rękę panny Sabiny starać się nie będę. Lecz co do panny Aleksandry Piotrowskiej, sam przyznaję te wszystkie zalety, o jakich powszechnie słyhać, i bywając w Bratałowie u jej rodziców, widzę to, że ona słodyczą swego charakteru i ukształceniem umyslowem zdolna jest kogoś uszczęśliwić; ale co począć z tem, że nie mogę wzbudzić w sobie ku niej skłonności?

— Jeśli tak jest—przerwał mi ojciec—żałuję, że o ile ona nie tobie się dostanie, o tyle nie życzę sobie wcale, ażebyś bez względu na los całego życia gwałt sobie zadawał?

Wyszedłem od ojca do pokoju sióstr i przed nimi powtórzyłem całą z nim rozmowę.

W tym dniu przybyła tam na poobiedną herbatę sąsiadka, pani Kondracka, przed którą siostry moje na osobności, pod wielkim sekretem, opowiedziały wszystkie stanowcze słowa moje o panie Sabinie i o panie Aleksandrze. Potem, ta wyborna do sekretu sąsiadka, uznała za rzecz najpilniejszą pojechać do Bratałowa, ażeby także pod sekretem szepnąć to przed poważną panią podkomorzyną. Następnie, zdawało mi się, że bracia tej panny, prezes Eligi i chorąży Konstanty, zaczęli ostygąć w stosunkach ze mną. Ale później i przez resztę ich życia inne powzięłem o nich przekonanie, okazywali bowiem liczne dowody niezachwianej, a drogiej dla mnie przyjaźni.

W czasie bytności mojej w Ostrogu drogi ojciec powtórnie zapadł na zdrowiu. Gdy z tej podróży wracałem do domu, wstąpiłem, jak zawsze, do Szulajek i zastałem ojca wprawdzie z wyrazem w twarzy przecierpianej choroby, ale w stanie wyzdrowiania; już bowiem zaczął przechadzać się po pokoju. Często nawiedzał go doktor Dżakomeli.

Nazajutrz po mojem przybyciu potrzebna była wiadomość, czy mój ojciec ma powtórzyć wyżyte lekarstwo. W miejsce zapytania listownie, pojechałem do Romanowa, ażeby naradzić się z doktorem. Nie zastałem go w domu, był u senatora. Zajeżdżam do pałacu. Przechodząc dolne apartamenta i przez zieloną mozaikową salę, zastaję tam malarza za sztalugą i paletą w ręce; kopiował jedno z arcydzieł artystów. Powitałem go ukłonem i z wielką przyjemnością czyniłem ciche porównanie kończącej się kopii z oryginałem i najrzetelniej przyznałem jej zupełną trafność. Na górze już doktora nie było, wyszedł był przed chwilą. Senator bardzo troskliwie zapytywał o zdrowie mego ojca. Wspomniałem mu o niezłym malarzu na dole, a on przyznając mu wielkie zdolności, dodał:

— Gdybyś, kochanku, widział portrety jego

pendzla, zdziwilbyś się nadzwyczajnej trafności. Ten młodzieniec w Rzymie lub Florencyi mógłby na wielkiego wyjść artystę.

Wnet przychodzi mi myśl portretowania mego ojca i mówię o tem senatorowi.

— O, wezwij go, kochanku, wezwij go po to; bo też tak pocziwych ludzi powinna w portrecie pozostać pamiątka.

Wracając z góry, zamówiłem malarza do tego portretu. Oświadczył mi, że dziś nawet może pojechać. Jednak bez zezwolenia mego ojca nie śmiałem brać go z sobą.

Odszukany doktor polecił powtórzenie ordynowanego lekarstwa, z którym wróciwszy do Szulajek, nadmieniłem ojcu o poznanym tam malarzu, panu Marcinkowskim, i powtórzyłem rozmowę z senatorem co do portretu ojca.

Na to ojciec rzecze:

— A na cóż komu przyda się twarz schorzonego starca?

Musiałem skłamać, ażeby się powiodło otrzymanie portretu. Wiedząc, jak ojciec poważa senatora i jak wierzy w jego życzliwość, powiedziałem, że senator pragnie mieć dla siebie kopię portretu.

— Kiedy on chce tego, to poślij, synu, po malarza.

Niewyprzęgany faeton, którym jeździłem, potoczył się natychmiast o małą milkę do Romanowa. Malarz tegoż dnia zaczął portret mego ojca przebranego w błękitny kontusz i atlasowy biały żupan ze złotolitym pasem i z karabelą przy boku, jak zwykł był jeździć na bale lub z etykietalną wizytą, a nazajutrz, z nadzwyczajnem podobieństwem, tylko z posępną, jak była, twarzą, portret był skończony. Wielką to sprawiło radość całej naszej rodzinie. To oryginalne malowidło dostało się starszemu bratu memu, Antoniemu, do Hołuzyi; lecz pierwiej wezwany inny malarz zdjął jego kopie: dla mnie jedną, dru-

gą dla brata Franciszka, a trzecią dla siostr naszych.

U ś. p. brata Antoniego, widziałem w 1857 r. ten portret w poszanowaniu. Spodziewam się, że i dzieci jego umieją cenić tę drogą pamiątkę.

W Gizowszczyźnie ś. p. brat mój, Franciszek, pccziwą, synowską mu cześć oddawał, chlubiąc się przed światem wizerunkiem ojca. O potomku zamilczeć wolę, bo też dziś, gdy to piszę, litość wzbudza tylko!..

U mnie ten portret jest jakby paladyum domowe, na które nie śmiałbym spojrzeć, gdybym, ucho-  
waj Boże, był na sumieniu nieczysty. Te drogie dla mnie rysy przypominają wysoką szlachetność ducha, który je ożywił, i są stróżami prawości.

W Czezelówce, wśród chwil swobodnych, zabawiałem się niekiedy i sam malarstwem olejnym. Nie przyznaję sobie wcale daru z natury do sztuk pięknych. W malarstwie wyżej się nie wzniosłem, jak do kopiowania i to nie przez wrodzoną do pędzla zdolność, tylko jedynie przez wytrwałą cierpliwość Trochę postępu w muzyce, trochę w malarstwie, podobnie jak w chwili natchnienia jakabądź próbka w poezyi, co każde z osobna nazywają Francuzi *un demi-talent*, stają się najmiłszą dla samotnika na wsi rozrywką i więcej mu ważą nad jakieś huczne towarzystwo, tak on przy wspomnianych półdarach umie sam sobie wystarczyć. Gdym jeszcze samotnie mieszkał w Czezelówce, nie pomnę z kąd mi się był dostał obrazek N. Panny z dzieciątkiem Jezus na ręku, w małym formacie, wielkości dłoni. Był to sztych na stali wybornego ryłca. Postanowiłem zdjąć jego kopię w rozmiarze ćwiartki wielkiego arkusza. Miałem potemu świeżo sprowadzone ze Lwowa olejne farby w pęcherzykach, z całym przyborem najlepszych pędzli. Ażeby nadać malowidłu memu pozór dawności starożytnej, użyłem na to tła tak ciemnego, że przezroczyście farby, jakkolwiek nakładane, tła nie przemagały.

Skończyłem tę kopię i porównywał ze słychem, gdy nadjechał do mnie brat mój cioteczny, Ignacy Budzyński.

Ujrawszy to malowidło na sztaludze jeszcze, zaczął najusilniej prosić, ażebym je ofiarował do jego kaplicy domowej w Wyszczukusach. Dodał później piękne, szerokie ramy połączone i w kaplicy przy ołtarzu moją ofiarę zawiesił.

Matka jego, Budzyńska, mojej rodzona siostra, żyła jeszcze wówczas. Gdy raz wezwany do niej z Romanowa doktor Dżakomeli tam nocował, a nazajutrz, jako w niedzielę, była msza św. w kaplicy, mój obrazek zwrócił uwagę Włocha. Po nabożeństwie zaczął przypatrywać się zblizka i zapytuje Ignacego, z kąd ma to stare malowidło? Ten, podtrzymując go w błędzie, powiedział, że jest to drogi zabytek po jego pradziadzie, któremu za czasów Rzeczypospolitej dostał się ten obraz, dany na pamiątkę od nuncjusza w Warszawie.

Doktór na to:

— Widocznie jest to dawne malowidło włoskie.

Wówczas Ignacy zdejmując z haka ów obraz, odwraca go i daje Włochowi czytać taki na płótnie napis: „Malował Szymon Konopacki r. 1824.“

Zdziwił się, że go tak oszukał udaniem owej dawności, a pewnie było cokolwiek i wstydu, że on, zawołany znawca malarstwa i mający u siebie kilka wzorowych malowideł, wziął kopię za jakiś oryginał włoski.

Później, w lat kilkanaście, pragnąłem zobaczyć tę moją robotę. Ignacy powiedział mi, że gdy w Wyszczukusach już nie było kaplicy, on na usilne nalegania szwagra swego, Aleksandra Ilińskiego, oddał moją Matkę Boską do jego kaplicy w Załużu. Następnie, po śmierci tych obu szwagrów, starałem się o zwrot mego obrazu przez syna Ignacego, a mego zięcia, Michała Budzyńskiego, ale napróżno!

Wieś Zaluże, już z pewnością nie wiem, czy od sukcesorów Aleksandra Ilińskiego przeszła w obce ręce, czy który z nich posiada ją jeszcze, dość na tem, że tam kaplicy już niema i mój obraz N. Panny zaginął bez wieści.

Zapomniałem zamieścić tu wspomnienie, że w styczniu 1824 roku Kazimierz Budzyński zażądał odemnie, ażebym mu towarzyszył w podróży do Kijowa na kontrakty. Była to wygodna podróż karetą na kolach, bo śnieg zapomniał o zimie. Kazimierz nie miał najmniejszego interesu do załatwienia. Jechał tam jedynie dla zbiegowiska z trzech naszych gubernij i że lubił zgiełk światowy ze wszelką jego różnaitością ponęt, przywiązujących do życia.

W Kijowie, skoro powzięliśmy wiadomość o przybyciu na kontrakty państwa Józefostwa Malinowskich, udaliśmy się z wizytą wieczorną. Ona sama jeszcze z twarzą świadczącą o wdziękach przysgasłych, z pewnym i wówczas powabem, którą świętoszek nazwałby grzeszną zalotnością, umiała ująć każdego grzecznością i właściwem przymileniem. Byłem powitany uprzejmie. Rok minął od ostatniego widzenia się naszego w Krzemieńcu, a piękna kobieta nie raczyła zapomnieć mnie jeszcze.

Wśród towarzystwa kilku osób, gdym usiadł przy niej i zacząłem pytać o niektóre domy w Krzemieńcu zamieszkałe, ona mi przerywa:

— Ale, ale! Wróć mi pan dwa dukaty, które z łaski jego straciłam!

— Gdzie? za co?

— Tu, na kontraktach. Oto, zachwalałeś pan przedemną powieść Kropińskiego, p. t. *Julia i Adolf*. Polegałam na zdaniu pana i kupiłam teraz te dwa tomy nudnych, jak lukrecya, listów romansowych. Przedmowa zachęca, bo śmiało zapowiada, że jest to jakby polska *Nowa Heloiza*. Ale czy pan uwierzy, że zabrakło cierpliwości, ażeby do końca doczytać, tak nieznośna, tak usypiająca jest w tem monotonia.

Zdaje się, że nie mogłabym nigdy pokochać tak ciągle jęczącego Adolfa. Nieustanne ach! i ach! To dzieło podobne jest do obiadu, na którym nie podano ani żadnej zupy, ani kawałka mięsa posilnego, tylko cukierki po cukierkach, aż do końca. Nad czemże tu płakać? chyba z zawodu po takiej przedmowie. Wydziwić się nie mogę, żeś pan łyzy wylewał! Czem tam pani Wielhorska tak mocno się przejęła, że słuchając czytania tej powieści, zemdląła biedaczka!

— Wytłómaczę przed panią — rzekłem jej — wzruszenie, doznane przezemnie. Oto gdy w towarzystwie dwóch innych, znanych może pani, Stanisława Worcella i Konstantego Piotrowskiego, byłem u autora w Krzemieńcu, on po krótkim opowiadaniu treści swego dzieła, czytał nam niektóre wybrane tylko listy, bardziej efektowne, a miły, przytłumiony potem organ jego mowy, wiele zapewne wpływał ku wzbudzeniu silnego wrażenia, i żaden z nas trzech nie mógł mu się oprzeć. Też same powody działały na panią Wielhorską, gdy na wieczorze u jej siostry, starościny Czackiej, słyszała autora czytającego niektóre ustępy z tej powieści mocniej wzruszające. Mnie się widzi, że Kropiński zaszkodził sobie przedmową. Lubo on w niej nie powiedział, że powieść jego będzie zachwycać jak *Nowa Heloiza*, lecz tylko, że chce przekonać ziomków, iż język nasz da się użyć do wyrażenia najsilniejszych uczuć, jak je maluje w swoim filozof genewski, ale dość było na tem, aby czytelnik, tak uprzedzony przedmową, przygotował się do cudu nad cudami w literaturze. Na poparcie mego zdania przywiode pani los jakiejbądź panny zbyt głośnej z piękności. Zdarza się, że ktoś o niej zanadto uprzedzony, szuka, aby ją ujrzeć, już gotów ugiąć przed nią kolano. Ujrzał... i drugim powiedział: — A cóż tu w niej nadzwyczajnego? Każdy bowiem, zbyt uprzedzony, w przedmiocie jakiejbądź

chwały, umie w swej wyobraźni utworzyć sobie ideał wyższy nad rzeczywistość, jaka być może, i dlatego istotna nawet piękność, po uprzedzeniu o niej, już nie zdoła uderzyć i zająć.

Dotąd, zda się, nie wspomniałem nigdzie o mojej dokuczliwej głuchocie, a przecież od roku 1816 po rok 1837, to jest przez lat 21, trwała uporczywie. Powód tego utrapienia był taki: W roku 1815, będąc z Ignacym Budzyńskim w Przewalówce, u stryjecznego brata jego, Marcelina, w piękny dzień letni; poszliśmy oba z fajkami do ogrodu na przechadzkę. Tam, gdzie staw przytykał do ogrodu, były w jednym miejscu położone u brzegu dwie forsztty dość szerokie, oparte na belkach, a sięgające aż do głębi stawu, gdzie półbeczki z ogórkami zatapiano. Ignacemu przyszła myśl korzystać z tych forszt, przejść po nich dalej i usiąść, aby nogi moczyć. Łatwo nam było tę myśl spełnić, bośmy byli w trzewikach; zdjawszy je i pończochy, spuszczaamy nogi w wodę i gawędzimy, fajki po fajkach nakładając. Nazajutrz, uczulem strzykanie w uszach, a wkrótce poformowały się w nich wrzody. Pocziwa żona Ignacego, litując się nad mojem cierpieniem, w tymże 1815 roku przysłała mi czapkę własnej roboty, porządnie watowaną, abym, chroniąc uszy od zaziębienia, bez niej nigdzie nie wychodził. Dziękując za jej troskliwość o moje zdrowie, dodałem w liście wierszyki, których dziś treść tylko pamiętam; była to ogólna pochwała czapek w rozmaitych życia potrzebach, pomiędzy któremi i to przywiódłem:

Że gdy żona gderliwa, mąż jej niewesoły,  
Wcisła czapkę na uszy, zmyka do stodóły.

Ale owa gderliwość bynajmniej do niej się nie stosowała. Znana była zacność jej charakteru, przyłagodnej powolności temperamentu.

Moja watowana czapka służyła mi w podróży

do Warszawy pod koniec 1815 roku. Tam w roku następnym odezwały się znów boleśne strzykania w uszach, może dlatego, że bez względu na zimno, stosując się do mody, w miejsce czapki, nosiłem kapelusz. Doradził mi warszawski doktor, Hincel, mieszkający blisko mojej kwatery na ulicy Lesznie, środek domowy ku mojemu w bólach ulżeniu, aby nad parą zgotowanego w mleku rumianku, za pomocą lejka, ogrzewać uszy. Strzykanie wprawdzie ustało; ale odtąd wzrastał się szum w uszach, do tego stopnia, że po pewnych latach, gdy obiad jadłem, wówczas choćby nawet z armat strzelano, nie posłyszałbym huk, a przytem ciągle doznawałem bólu gardła, w którym silne było zapalenie. Kurował mnie na te cierpienia z wielką pilnością przez trzy lata doktor Karol Kaczkowski w Krzemieńcu. Rozmaitych on doświadczał środków, to pigułkami oczyszczając żołądek, to ramiona moje okładając najmocniej raniącym wilczym łykiem, od czego dotąd pozostały blizny, to robiąc mi na karku zawłokę z jedwabnego sznurka, który codziennie z wielkim bólem moim przeciągał; to stawianiem mnóstwa pijałek. Nic przecież nie pomagało: szum wielki w uszach i ból gardła nie ustawały. Gdym, wyjechawszy z Krzemieńca, zamieszkał w Czeczelowce, miał mnie w swoich rękach i cudowny dla innych Michałko Wojciechowski. Wieś Plachowa, której połowy, za sprawą biegłości w medycynie, on był dziedzicem, równie jak drugiej wsi Pisarówka, była o półtory mili odemnie, jakże nie miałem korzystać z tak blizkiego ze sławnym doktorem sąsiedztwa? Michałko nie pożalował pigulek: kazał mi ich zażywać po dwanaście cztery razy na dzień, co wynosi dziennie 48. Zapchał mi uszy jakimiś pachnącymi pigułkami, polecił kąpiele w szczawiu dzikim.

Po wyżyciu znacznej części słoja pigulek, wypadło mi być w Krzemieńcu. Kaczkowski, dowiedziawszy się odemnie, że biorę kurację u Michałka,

z ciekawością zajrzał do recepty, a znalazłszy, że do pigulek wchodziła w wielkiej proporcji jadowita roślina *cicuta virosa* i *antimonium orudum*, zawołał z oburzeniem, że to jest końskie lekarstwo, że wydziwić się nie może, iż wyżywszy już tyle, Jeszczem się nie otruł, i usilnie nalegał, abym tego lekarstwa zaniechał. Uwierzyłem Kaczkowskiemu, bo też później okazało się, że żadne specyjały apteczne na mój szum w uszach i ból gardła skutkować nie mogły. O tej głuchocie mojej jeszcze wspomnę nieraz w miejscach na to właściwych.

Pod koniec kwietnia tegoż 1825 roku, wieczorem, gdy mi podano wieczerzę, a deszcz trwał ulewny od rana, posłyszałem, że ktoś zajechał przed ganek. Poświecił lokaj w sieniach. Jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał wchodzącego do pokoju pana Kazimierza Karwickiego z Mizocza. Był on dobrze mi znany z czasów urzędowania mego w komisji edukacyjnej, gdzie był członkiem tylko honorowym. Widywaliśmy się nieraz na tamtejszych zgromadzeniach i balach. Zapraszam go do zastawionej już wieczerzy, a gdyśmy usiedli za stołem, mówię mu, że on zapewne w podróży swojej przypadkiem zabłądził do mnie:

— O! bynajmniej! owszem bardzo szczęśliwie trafiłem do pana podkomorzego, jadąc tu umyślnie z Żytomierza. Przebacz, panie, że nie odnosząc się wprzód do niego, wyrobiłem sobie ukaz sądu głównego, abys ty, panie podkomorzy, a nie kto inny, osądził moją sprawę graniczną ze znanym panu pieśniaką, Kajetanem Witosławskim. Pan pamiętasz sprawę jego z Rakowskim w komisji edukacyjnej o to, że bez wiedzy tej juryzdykcji zrobił zamianę z Rakowskim: dał mu wieś piękną na Podolu za Surażczyznę, a potem chciał, aby komisya unieważniła ich tranzakcyę, od której i podatki już były opłacone. Panu wiadomo, że Surażczyzna, majątek po-jezuicki, była własnością ś. p. ojca mego, który zbył ją Kru-

kowieckiemu, a ten, wydając córkę swoją za pana Rakowskiego, dał mu Surażczyznę w posagu. Dziś pan Witosławski, ufny w protekcję rządu, jako dla majątku po-jezuickiego, od którego znaczna jest opłata na fundusz edukacyjny, rozpoczął proces ze mną o wielką część lasu, jakoby niegdyś zagarniętego do stykających się lasów mizockich. Otóż taki jest cel mojego tu przybycia, abyś, panie, raczył nie odmówić mi zjazdu swego. Racz, podkomorzy, oznaczyć termin swego przybycia do Mizocza, gdzie mój plenipotent będzie pana oczekiwał, a odemnie pojedziesz z nim do powiatu Krzemienieckiego, do wsi Suraza.

— Od obowiązku urzędu wymawiać się nie mogę, a co do terminu przybycia mego, dam panu wiadomość urzędową z Ostroga, gdzie zjadę dla kończenia sprawy granicznej w przyszłym maju pomiędzy senatorem Ilińskim a księciem Karolem Jabłonowskim.

Karwicki dał mi przywieziony z Żytomierza ukaz sądu głównego, przenocował u mnie i nazajtrz wyjechał.

W początkach maja 1825 roku, spełniając w dalszym ciągu rozpoznanie sprawy w Ostrogu, bez uczestnictwa kolegi podkomorzego ostrońskiego, prowadzony byłem przez umocowanych tak od senatora Ilińskiego, jako też od księcia Karola Jabłonowskiego, liniami odpowiednimi ich zasadom, dla udowodnienia granicy pomiędzy miastem a przedmieściami. Duktem przecinano w połowie oranżeryę w ogrodzie księcia Jabłonowskiego. Odkopywano mi fundamenta kamienne upadłego oddawna muru, który niegdyś otaczał samo miasto, począwszy od bramy zwanej Łucką, sterczącej jeszcze w przedwiecznym architekturze stylu, gdzie umocowany senatora okazywał i dokumentami miał udowodnić, co istotnie było miastem w siedemnastym wieku podczas działu pomiędzy Aleksandrem i Januszem książętami Ostrońskimi, a tem samem, że co było za tym obwodem mia-

sta, zwało się zawsze przedmieściem, które z prawa, służącego senatorowi, jego jest własnością. Wniosek ten ze strony powodowej odejmował księciu Jabłonowskiemu połowę miasta. Potem w dalszym duktie płynęliśmy w czólnie z biegiem rzeki Wilii, wpadającej za Ostrogiem do rzeki Horynia. Strona zaś pozwana, protestując w każdym punkcie przeciw powyższemu duktowi, wskazywała linię graniczną wedle praw obu stronom służących, w miejscowościach dotąd używanych, co zwało się w prawie reduktem.

Wciągnąwszy do protokołu mojego wskazane granice tak z jednej, jak z drugiej strony, wezwałem partykularną odezwą podkomorzego ostrogskiego, aby zjechał dla łącznego ze mną sądzenia tej sprawy. Pan Faustyn Szczepkowski, zawsze wymawiając się jakimś ważnem zajęciem, i teraz listem przeprosza, iż nie prędzej do Ostroga zjechać może, jak za pięć dni. Rad nierad, muszę czekać na jego przybycie. Tymczasem zjawił się w mieście mój znajomy, obywatel powiatu Ostrogskiego, Aleksander Iliński, szwagier mego ciotecznego brata, Ignacego Budzyńskiego, a dowiedziawszy się, że tam jestem, był u mnie z tą propozycją, abym na te kilka dni jechał z nim do jego Załuża. Znałem godną szacunku żonę jego, z domu Szczawińską, znałem córki, już panny na wydaniu, i najstarszego syna Antoniego, który po wypadkach 1831 roku dostał się do Konstantynopola, a później, sturczywszy się, dał sobie nazwanie od imienia ojca swego Aleksandra, *Iskinder*, i pod tym tytułem znany był światu bejem, a w końcu basza, głośnym w wojnie krymskiej. Chętnie zgodziłem się na propozycję Ilińskiego. Wsiadam w jego powóz, a mój szedł za nami.

W trzymiłowej podróży towarzyszył mój, niewyczerpany w przedmiotach ciągłej rozmowy, zapytał mnie:

— Czemu się nie żenisz, kochany Szymonie?

— Na to — rzekłem — treściwą dam ci odpowiedź: Tam, gdzie sobie życzyłem, znalazły się trudności, a gdzie może otrzymałbym łatwość, tam nie mogę.

— Powiedz mi jaśniej, dlaczego nie możesz?

— Oto masz jaśniej: moje małe, co posiadam, wystarcza dla mnie jednego, a dla dwojga z przybytkiem, za wolą Boga, już to moje małe, byłoby niedostatkiem.

— Rozumiem! to jest chcesz, i to słusznie, aby twoja żona miała jakiś posażek. Słuchaj, Szymonie! Ja ciebie ożenię. Wprowadzę cię w dom starożytny, gdzie wiem z pewnością, że ich jeszcze nie znasz, a przecież tam wspomiano mi o tobie. Jest tam dwoje tylko dzieci: syn w liceum krzemienieckim i córka na wydaniu; dadzą ci posagu dwakroć sto tysięcy.

— Choćby rubli srebrnych, nie złotych, to mnie tam nie ożenisz, bo ja się nie sprzedam. Córka zamężnych rodziców, jeśli łatwo jest do wzięcia dla mnie, pewnie już przekwitła w panieństwie, albo szpetna, ślepa lub kulawa.

— Żle o mnie sądzisz! Jaby cię do takiej nie prowadził. Ona żadnych podobnych przywar nie ma. Co do wieku, nie więcej ma pewnie jak lat osiemnaście. Nie jest ona piękną, przecież umiała podobać się dwom dość mającym młodzieńcom, których staraniom odmówił jej ojciec, a jako człowiek rozsądny, lubo z imienia swego trochę dumny, tobie nie odmówi. Ja biorę to na siebie. Ztąd niedaleko, dom ci nieznany podkomorstwa Łaznińskich w Korostowy.

Podziękowałem za jego życzliwość i dodałem:

— Zostaw mnie w pokoju; już mnie zmordowały starania. W tym roku skończę lat 35, czas już sercu odpocząć, i widzę to, że przeznaczeniem mojem jest zostać bezzennym.

— Kawaler w latach twoich już się nie stara

o żonę, lecz go przyjaciele żenią. Zdajże to na mnie, a ja nie dopuszczę, abyś tam przysiadował łańdów. Powiozę cię tam, poznasz rodziców i pannę i w dniu jednym skończyć się może: *tak* lub *nie* i basta.

— Zgadzą się na ich poznanie, bo mój ojciec wspominał mi chlubnie o panu Łaznińskim, którego poznał w Romanowie. Mogę więc pojechać z tobą do Korostowy, ale nie teraz. Wrócić mam do Ostroga, gdzie pomówię z panem Faustynem Szczepkowskim, jako moim kolegą, o dekrete w sprawie granicznej, czy on zechce go pisać, czy mnie to zostawi, jak dotąd, w tej sprawie sam wszystko załatwiałem. Słowem, przed ogłoszeniem tego dekretu nie pojedę z tobą do państwa Łaznińskich.

— Na to zgoda! Ja ich tymczasem uprzedzę o twojej tam ze mną zamierzonej wizycie i pewnie radzi cię powitają. Mam jeszcze interes, dla którego wrócę z tobą do Ostroga. Po konferencji twojej ze Szczepkowskim powiesz mi, jaki naznaczycie termin czytania waszego dekretu; wówczas będę w Ostrogu i razem pojedziemy do Korostowy.

Uśmiechałem się zawsze na to jego dziewośbństwo, najmniej podobne do powodzenia. Pozwalałem mu jednak stawiać te zamki na lodzie.

Po dniach oznaczonych wyżej wracam z nim do Ostroga. Tu zastałem już pana Szczepkowskiego, który natychmiast przyszedł do mnie. Aleksander Iliński wyszedł na miasto, a pan Szczepkowski, przeczytawszy cały protokół moich czynności bez niego z duktem i reduktem, gdy spojrzął na otwartą skrzynkę starych dokumentów, ze strony powodowej złożonych, odezwał się w te słowa:

— Jest tu nad czem posiedzieć. Jeśli mamy we dwóch czynić przegląd tych papierów, wypadłoby tu nam pozostać czas jakiś, co nie byłoby nam obu dogodnie. Zdaje się, że najlepiej będzie, gdy pan, co już tyle zrobiłeś, raczysz i dalej trudu nie

odmówić. Ja z całą ufnością polegam na rzetelności wyводу, jaki z tych dokumentów i obrony strony pozwanej uczynić raczysz. Zabierz pan tę skrzynkę do siebie na wieś, a teraz proszę tylko oznaczyć termin, na który dekret w tej sprawie pan wygotować możesz. Zjedziemy się wówczas w Ostrogu dla ostatecznej konferencji.

Pomyślawszy trochę nad mnóstwem dokumentów, które w edukcie przed wyrokiem potrzeba przejrzeć i zacytować, a zarazem mając w pamięci zjazd mój z ukazu w powiecie Krzemienieckim do spełnienia wprzód, nim nastąpi czytanie dekretu w Ostrogu, powiedziałem panu Szczepkowskiemu, że prędzej nie mogę wygotować dekretu na zasadzie tak licznych papierów, jak na dzień 26 listopada bieżącego 1825 roku. Zgodził się na to mój kolega i przyrzekł już koniecznie na ten dzień przybyć do Ostroga. Skoro mnie pożegnał, zasiadłem pisać na pocztę dubieńską do Mizocza, pod adresem pana Kazimierza Karwickiego, urzędowe obwieszczenie, że z mocy ukazu sądu głównego naznaczam zjazd mój podkomorski do Suraża na dzień 16 listopada. Wnosiłem bowiem za rzecz pewną, że nim nastąpi czytanie dekretu w Ostrogu, dziesięć dni będą dostateczne do osądzenia sprawy Witosławskiego z Karwickim. Aleksander Iliński wrócił do mnie z miasta, gdy już pieczętowałem ekspedycję do Mizocza.

Bada, do kogo to wysyłam, a dowiedziawszy się o adresie i że nazaczyłem zjazd mój do Suraża w sprawie Karwickiego na dzień 16 listopada, rzecze do mnie:

— Musisz zawsze na Ostróg jechać. Powiedzże mi, kiedy będziesz czytał dekret w sprawie o granice Ostroga, czy przed zjazdem do Suraża, czy później?

— Opowiem ci cały plan mój. Widzisz tę skrzynkę papierów, zabiorę ją do Czeczelowki. Będzie to miła dla samotnika zabawka; pięścić się nią

będę do później jesieni. Uprzedziłem Szczepkowskiego, że nie prędzej tu zjadę z gotowym dekretem dla czytania go stronom, aż 26 listopada. Ale sprawa Karwickiego sądzić się ma nie z prywatnego wezwania, lecz z ukazu, dlatego daję jej pierwszeństwo. Tu przybędę dnia 14 listopada, nazajutrz będę w Mizoczcu, a dnia 16 w Surażu. Tam przez dni kilka powinienem się zająć i na 26 listopada stawić się w Ostrogu, gdzie i mój kolega zjedzie.

Aleksander Iliński na to:

— Proszę cię o rzecz jedną tylko: ponieważ masz tu być dnia 14 listopada w podróży do Mizoczca, racz, popasając tu w tym dniu, choćby godzinę zatrzymać się, nim mój kozak z Załuża przywiezie ci list odemnie. Ja ci wówczas coś pewnego doniosę w wiadomym ci interesie.

Zaśmiałem się znów z tego dziewosłębstwa.

Wracając z Ostroga na Szulajki, zastałem ojca znacznie na twarzy zmienionego. Chodził wprawdzie po pokoju, ale w widocznym był osłabieniu i brał lekarstwa z przepisu zwykłego swego doktora, Dżakomelego z Romanowa. Zabawiłem dni kilka, po których wypadało zajrzeć do domu.

W dniu pierwszym czerwca odbieram list od siostr, które donoszą, że kochany ojciec wzywa mnie do siebie, że jest mocniej chory, że już mniej przechadza się, więcej w łóżku leży. Natychmiast zaawiadomiłem brata mego, ś. p. Franciszka, o stanie zdrowia naszego ojca, wzywając go także do Szulajek. Gdyśmy tam razem przybyli, doktor Dżakomeli spotkał nas w pierwszym pokoju i nie tań, że uznaje potrzebę konsylium. Trwogą mnie przejął. Ojciec w łóżku rad nas powitał, rozmawiał z przytomnością, badał o urodzaje w naszych dzierżawach. Zdawało się, że przez te dni kilka mojej niebytności, zmiany na złe nie było. Doktor nam objawił, że uporczywym powodem choroby stało się długie i dotąd trwające zamknięcie żołądka, pomimo wszelkich

używanych środków, lecz chory żadnego nie doznał ztąd bólu, nogi mu tylko zaczęły brzęknąć. Wnet napisałem do Michała Trypolskiego, prosząc go, aby udał się do sąsiada swego, znakomitego doktora Frebinga, i aby raczył wezwać go do mego ojca dla narady z ordynaryuszem Dżakomelim. Nazajutrz Trypolski przybył z tym doktorem. Po naradzie silniejszych użyto środków i te bynajmniej nie skutkowały

Gdym wszedł do pokoju ojca, on się do mnie odezwał:

— Weź te klucze, otwórz kantorek, z malej szufladki wyjm kwity kaznaczejstwa. Na każdym z nich jest ręką moją zrobiona notatka, kiedy i za co opłacone były w zastępstwie juryzdatora podatki. Ty w roku 1818 w Romanowie robiłeś ostatnie z dawniej opłacanych pogatków rachunki. Teraz potrzeba zliczyć z tych kwitów, ile wogóle od owej daty należy mi się od senatora.

Zasiadłem nad temi kwitami w pokoju ojca. W Szulajkach i Raciach, dwóch wioskach pod zastawą naszą od roku 1791 będących, liczyło się dusz skarbowych 394. Ztąd i podatki dworskie, nie z obszaru ziemi, lecz z ilości dusz opłacane, z dodaniem ordynackiego, znaczną stanowiły należność od dziedzica.

Wszedł na to Dżakomeli i zapytuje; co piszę? Powiedziałem mu, że z polecenia ojca zliczam należność do odebrania od senatora, z podatków wynikłą. Było to dnia 4 czerwca 1825 roku. Tę datę przy podsumowaniu rachunku położyłem. Ojciec mój kazał mi ten rachunek razem z kwitami do tejże włożyć szufladki. Nie mogłem przewidzieć, że ów rachunek wejdzie do dokumentów w procesie, opartym o senat w przedmiocie opłacanych za dziedzica podatków.

Mój ojciec zwykle sam nakręcał swój ulubiony zegar bijący, który w jego pokoju stał na mozaiko-

wej kolumnie. Dnia tegoż. to jest 4 czerwca, czuł się jeszcze tak silnym, że wieczorem, po godzinie dziewiątej, zastałem go stojącego przy kolumnie, gdy zegar nakręcał.

Nazajutrz w twarzy doktora Dzakomelego, który sposobił jeszcze jakieś lekarstwo z przywiezionych ingrediencyj aptecznych, dostrzegłem smutek, jakby objawienie utraconej nadziei.

O rannej porze wchodzimy z bratem do naszego ojca. Na dzień dobry ucałowaliśmy go w rękę, on nas w głowy pocałował. Z zupełną przytomnością o rzeczach obojętnych rozmawiał z nami i po chwili przerywa mowę, raptownie odwraca twarz do ściany i przyciszonym głosem ale dosyć wyraźnie mówi:

— Boże! Bądź miłościwy mnie...

I w jego wargach dostrzegliśmy tylko ruch, świadczący myśl już niedomówionych wyrazów! Już go nie było! Gdy my oba w rozpacz z załamaniem rękoma przywołujemy głośno z trzeciego pokoju doktora i siostry, z drugiego obok wpada stary lokaj, Krzysztof, wierny sługa mego ojca od swych lat młodzieńczych i nad głową już martwą krzyknął podwakroć:

— Panie starosto!

Ale daremnie. Już znaku życia nie było! Ciężki żal pozbawił mnie prawie przytomności! Doktorowie wzięli mnie w opiekę. Wzmógł się mój szum w uszach, coś jakby szleństwo napadało mnie chwilkami. Nie dopuszczano mnie już do pokoju, gdzie leżał mój ojciec, nie dozwolono jechać na pogrzeb do Cudnowa. Ciągłe stał mi przed oczyma ten obraz lekkiej śmierci prawego człowieka, a wiara w miłosierdzie Boga, któremu nieśmiertelną duszę swoją ostatnim wyrazem poleca, na całe życie utkwiała w mojej pamięci. Tak mój czcigodny ojciec skończył pielgrzymkę na ziemi dnia 5-go czerwca 1825 roku, a przyszedł był na świat dnia 4 go lipca 1757

roku, przeżył lat 68 bez jednego miesiąca... i bez wyrzutu sumienia!

Jak szczęście jest nietrwale, tak czas wszelką żalność wolnymi stopniami uśmierza i w miarę głębokości rany serdecznej, na resztę życia bliźnę nam zostawia.

Po dniach kilku bawienia mego w Szulajkach, wśród lez i cierpień moich, odbieram ze Zwiąhła nadesłany do mnie ukaz rządu gubernialnego, abym o mil 20 jechał do miasta Owrucza spełnić tam jakąś komisję śledczą. Zarzucano niekiedy podkomorzym beczynność, tak niewłaściwe ich urzędowi zajęcie. Nie czułem się na siłach do tej podróży. Wiadomo już było, że gubernator Giżycki już się uwolnił od tego urzędu, że miejsce jego zajął Litwin, Andrzejkowicz. Napisałem list do generała Giżyckiego, w Mołoczkach mieszkającego, z doniesieniem o świeżej ciężkiej stracie mego ojca i z prośbą, aby raczył pismem swoim wstawić się do p. Andrzejkowicza o uwolnienie przez wzgląd na słabość zdrowia mego od poleconej mi komisji owruckiej. Mam dotąd pomiędzy starymi korespondencyami odpowiedź generała Giżyckiego, świadcząca o szczerem współczuciu na śmierć mego ojca. Zawsze też oba wzajemnie się szacowali. Co do wpływu jego za mną, dał mi pojąć, że on nie będzie dostatecznym, że formalność wymaga, aby przy prośbie było złożono świadectwo powiatowego doktora, wskazał nawet, mnie wieśniakowi, jaki papier jest konieczny. Wkrótce dowiedziałem się, że doktor powiatowy zjechał ze Zwiąhła na wieś o milę od Szulajek. Powiedziano mi nazwisko jego niemieckie z tem, że jest wychrzta. Na moją odezwę natychmiast przybył i z charakteru, lubo wykwintnie ubrany, z błyszczącymi pierścieniami na palcach i z batystową chustką w ręce, okazał się istnym żydem. Gdy bowiem opowiedziawszy mu stan mego zdrowia, proszę o wydanie świadectwa, on bierze mnie za puls i zamyśla się. Wtem jedna

— siostr moich, wstawiając się za mną, odezwała się:

— Czy podobna, aby on tak cierpiący jechał na komisję do Owrucza?

A doktor na to:

— Nawet dla zdrowego niemiła tak daleka przejażdżka, bo to i podróż coś kosztuje, i domowe zajęcia potrzeba opuścić. Wszystko to zważywszy, co pan dasz mi za świadectwo?

Zdziwiony tak bezczelnem postanowieniem kwestyi, zapytałem się go:

— Ile pan cenisz swój podpis?

— Ja zawsze otwarty, dasz mi, panie podkomorzy, 300 rubli asygnacyjnych.

Było to wedle owoczesnego kursu 84 ruble srebrne.

— Nie godzi się — rzekłem — wszakże gdybym w Żytomierzu, ztąd o mil kilka, udał się do *wraczebnej uprawy*, nie tyle będzie kosztowało.

— Wolno panu tak postąpić, a mnie wolno teraz donieść rządowi gubernialnemu, żem opatrzył pana i znalazłem go w stanie jechać do Owrucza.

Słowem, po długich targach, dałem temu łotrowi za świadectwo połowę tego, co żądał, to jest 150 rubli asygnacyjnych. Miałem później dwa razy jeszcze do czynienia z tym podłym człowiekiem, o czem pod właściwą datą nadmienię. Jeszcze nie miałem papieru na prośbę do pana generała Andrzejkowicza, gdym się dowiedział, że on przybył z wizytą do Romanowa. Wnet się tam udałem. Senator, ujrawszy mnie, ubolewał nad śmiercią mego ojca, prezentował mnie panu gubernatorowi, któremu ja, nie tracąc czasu, przedstawiam ustnie moje żądanie, aby, przyjąwszy odemnie złożone mu świadectwo doktora, uwolnić mnie raczył od komisji owruckiej, do której mnie rząd gubernialny powołał. On, przeczytawszy świadectwo, uśmiechnął się i rzecze:

— Bardzo panu winszuję!

Po tym żarcie skończyło się na tem, że p. gubernator przyjął świadectwo doktora za ważne, zanotował w pugilarzesie moje żądanie i upewnił, że będę swobodny od komisji.

W trzy dni potem był u nas w Szulajkach senator Iliński ze współżalnością, czyli, jak to mawiano, z kondolencją nad stratą ojca naszego. Tę jego wizytę pamiętam ztąd, że gdy senator płaczącym osierociałym siostróm moim przedstawiał w duchu religijnym, jak nam należy zgodzić się z wolą Boga, który postanowił, aby starsi opuszczali młodszych i szli po nagrodę za pocziwe życie; siostra młodsza, zalewając się łzami, odezwała się:

— Czemuż prezes Dąbrowski żyje jeszcze, a on był starszym od naszego ojca!

— Moja kochana! Za cóż ty prezesowi Dąbrowskiemu życzysz śmierci? Pozwól mu jeszcze pożyć czas jakiś? Prędzej, czy później, każdy z nas przejść musi przez ten próg z doczesnego życia do wieczności w chwili oznaczonej przez samego Boga!

Brat mój Franciszek wyjechał wprzódy z Szulajek do swej dzierżawy wsi Kustowiec, ja zaś w ciągu mojej tam bytności, tak przed bratem, jako też przed siostrami ani wspomniałem, że znany im Aleksander Iliński napiera się być moim swatem i że chce ożenić mnie z panną Łażnińską, bo najprzód nie była po temu pora, aby to przyszło mi na myśl, a powtóre, gdybym to był i przypomniał sobie, pewniebym zamilczał, jako rzecz błahą, niepodobną do ziszczenia.

Wróciwszy do domu, zastałem urzędową odezwę, czyli *powiestkę*, do sądu ziemskiego (powiatowego) po polsku, jak wówczas, pisano, abym przyjechał do Winnicy dla słuchania dekretu podolskiego sądu głównego kryminalnego departamentu w sprawie mojej z Sałackim. Przybywam do Winnicy. Czytają mi w sądzie dekret, który zaczyna się od nagany opinii sądu powiatowego. Ta bowiem poleciła Sał-

kiemu wykonać przysięgę na to, że moich pieniędzy z komody nie ukradł. Sąd zaś główny, unieważniając tę opinię, uznał wedle prawa, abym raczej ją wykonał przysięgę na ilość skradzionych mi pieniędzy pod niedbałym nadzorem ekonoma Sałackiego. Co gdy dopełnię, wówczas Sałacki obowiązany będzie wypłacić zaprzysiężoną ilość pieniędzy, lub pójść na odrodek dla mnie z tem, iż na ten cel ma być wolnym od turmy, jeśli kto, jako za człowieka podejrzanego, złoży w sądzie porękę. Po wysłuchaniu dekretu już nie dbałem o moje 275 rubli i byłem gotów wyrzec się całej sprawy, aby ten oczywisty winowajca został bezkarnym, lecz przypomniałem sobie, że gdy nie wykonam nakazanej przysięgi, może ktoś mnie posądzić, że niewinnie osadziłem w więzieniu ekonoma. A więc w tymże sądzie powiatowym, ukląwszy przed krucyfiksem i na położonej przedemną Ewangelii położywszy dwa palce prawej ręki, wedle roty, czytanej mi z dekretu sądu głównego, wykonałem przysięgę na to, że z pod nadzoru byłego u mnie ekonoma Sałackiego poniosłem szkodę w skradzionych mi 275 rublach.

Wkrótce potem, gdy Sałacki wypuszczony został z turmy na porękę szlachty, osiadłej we wsi Krzyżanówce o dwie wiorsty odemnie, przyszedł w towarzystwie dwóch ze szlachty i wzywał mojej litości, powtarzając zawsze, iż co do mojej szkody on nic nie wie i do niczego nie należał, a przytem żądał, abym przynajmniej wydał mu klacz jego ze źrebięciem, które urzędnicy na śledztwie zostawili u mnie na satysfakcyę w części za skradzione pieniądze. Oddałem mu nietylko klacz jego ze źrebięciem, ale i wszystkie rzeczy jego, mnie przez tych urzędników zostawione.

Następnie doszła do mnie wiadomość, że Sałacki odgraża się na mnie za rzucone na niego podejście i że on znajdzie środek do zemsty i w ciągłym byłem niepokoju z tak blizkiego z nim sąsiedztwa.

Postanowiłem pozbyć się go z Krzyżanówki przez podanie prośby do wielkiego księcia Konstantego jako wielkorządcy gubernij zachodnich. Po rosyjsku umiałem tylko podpisać się, a wolno nam było do takich potentatów mówić i pisać w języku francuskim. Zasiadam więc do tej prośby w formie listu. Już miałem na czysto tę ekspedycję przepisać, aby ją na pocztę wyprawić do Warszawy, gdy nadjechał do mnie kochany Józef Bobrowski, który po skończonej dzierżawie trzyletniej w Markuszach wyniósł się był na inną posesję wsi Ziatkowiec o mił kilkanaście odemnie. Opowiedziałem przed nim mój kłopot. Bobrowski, przeczytawszy mój list do Wielkiego Księcia, wskazał mi pewniejszy na Sałackiego środek.

— On—rzecze mi—ma złość do ciebie zład, że jako już podejrzanego, nikt przyjąć nie zechce do jakiegobądź obowiązku. Otóż ja go pogłaszczę, będzie u mnie leśniczym przy pięknym lesie dębowym w Ziatkowcach; licha zje, jeżeli potrafi tam co ukraść.

Sałacki na moje wezwanie wnet przyszedł, a gdy mu powiedziałem, jakie otrzymuje miejsce u Bobrowskiego, upadł mu do nóg, przyrzekając wierność nieposzlakowaną. Odszedł z tem, że dam mu wiedzieć, kiedy ma się udać do Ziatkowiec. Formalność wymagała, aby Bobrowski dał porękę za człowieka podejrzanego. Napisał ją po polsku, jak wówczas wolno było, a do owej poręki załączyłem prośbę, aby sąd niżny, wedle wskazanej mu przezemnie marszruty, dał polecenie konwojowi od wsi do wsi aż do Ziatkowiec. Sałacki o tem rozporządzeniu nie wiedział, niecierpliwie czekał kiedy go wezwą na chleb leśniczego. Skoro z Winnicy nadesłano mi list odkryty od władz wiejskich o konwój, posyłam ów palet sądowy do Krzyżanówki, Sałacki, przeczytawszy to pismo, gdzie go sąd niżny objawia podejrzanym, wnet udał chorego, tłómacząc się, iż siły jego nie

starczą na tak daleką podróż. Kilka razy posyłałem to urzędowe pismo, ale on byle dojrzał pościanca mego, wnet się kładł na piecu, jako chory. Jakie były późniejsze jego zamiary, pod właściwą datą napiszę.

Po wyjeździe przyjaciela mego, Bobrowskiego, często wieczorami, szara godzina, nim podadzą świecę, i głucha samotność przywodziła mi na myśl osierocony nasz dom rodzinny, brak czcigodnego przewodnika, który ku dobru naszemu umiał nam nadać kierunek i ztąd mnie żal i ciężki obarczał smutek. Zwlekałem z otworzeniem skrzynki z papierami do sprawy o granice przedmieścia Ostroga, dość jeszcze na to zostawało czasu. Los nieszczęśliwy sióstr moich stawał mi często przed oczyma. Obie starsze ode mnie, a więc na swój stan panieński wcale już niemłode. Pomnę z młodzieńczych lat moich, że były niegdyś przystojne, a młodsza z nich, lubo z twarzy nadzwyczaj do mnie podobna, przecież powszechnie uznawana za ładną, nie jednemu umiała się podobać. Woli tylko Boga nie było. Dziś mogły przez rozum wmówić w siebie wyrzeczenie się związku małżeńskiego, z tem wszystkiem u mnie panny w tych latach litością przejmują, zwłaszcza, jeśli tak nie z winy trudności w wyborze, jak siostry moje; podobne panny stają się dla młodego świata jakby zawadą i ztąd je mianują nieprzydatnym, wzgardzonym sprzętem pokoju, który wyszedł z mody. Starsza, Anastazyja, miła, rozsądna, która się odznaczała anielską łagodnością, była zaręczoną z człowiekiem, którego mój ojciec wysoce szacował, a który dla mnie od lat młodzieńczych drogim był przyjacielem. Dla tej też przyczyny zamilczam niezwalczony powód zerwania ich związku, bo ów powód, zasmucający starość mego ojca, ciążył na tym przyjacielu moim. Odtąd, wątłego złożenia biedna moja siostra, w ciągłym osłabieniu, apteką tylko podtrzymuje życie. Krótko bawiłem w domu; troskliwość o siostry napędzała mnie

do nich. Gdym przybył do Szulajek, zastałem starszą, podobnie jak od lat kilku, cierpiącą na zdrowiu. Młodsza przy żywym temperamentie, jak najczęściej brunetki, lubo mocno uczuła stratę ojca, przecież tak odrazu pojęła swoje położenie, że jakby przeznaczona do mężkich w domu zajęć, oddała się szczegółom gospodarstwa, i wszystko tam po dawnemu, przy starym, zasłużonym ekonomie porządnie było prowadzone. Łaskawi sąsiedzi nawiedzali osieroczone Szulajki. Uznałem przeto za słuszną sercu i miłą konieczność odwdziżyć się im tę o moich siostrach pamięć. A najprzód postanowiłem być w Drennikach u Teofila Czarkowskiego, któremu przyrzekłem moje odwiedziny. Gdym się tam pokazał, oboje serdecznie powitali mnie, jakby krewnego. Zastałem u nich rotmistra Stanisława Dunina, który już był mi znany w Skibińcach u swojej ciotki marszałkowej Madejskiej, w czasie ślubowin z jej córką Pelagią Madejską Kazimierza Budzyńskiego. Po herbacie Teofil Czarkowski dał mi do zrozumienia, że na osobności ma pomówić ze mną. Wyszliśmy do ogrodu, gdzie on tak zaczął:

— Racz powiedzieć otwarcie, kochany Szymonie, czy ty nie wzgardzisz moją w tobie ufnością i czy zechcesz na moje wstawienie się być życzliwym dla mojego ciotecznego brata, Stanisława Dunina?

— Dlaczegoż—zapytałem—powątpiewasz o moim dla ciebie szacunku? W niczem zapewne twojej ufności nie zawiodę.

— Mam ci przedstawić nie własny, lecz Dunina interes, w którym on potrzebuje twojej protekcji. Krótko powiem: oto idzie o rękę twojej młodszej siostry, którą on w czasie dni kilku w Skibińcach poznał i upodobał sobie. Czy ty zechcesz wstawić się za nim do panny Katarzyny?

— Odpowiem ci najszczerzej, że gdybym był panną młodszą nawet niż ta siostra moja, to zaczę-

mu Duninowi nie odmówiłbym ręki. A więc cieszyć się będę, jeśli on u siostry otrzyma wzajemność. Przyznasz jednak, że objawienie tego zamiaru z ust jego własnych jest tam konieczne. On, oswojony z kartaczami w wojnach z Turcyą i Francyą, pewnie ma dość na to odwagi. Niech najprzód z tobą będzie w Szulajkach, a następnie sam razy kilka, aby się bliżej poznali. Co do mnie, przyrzekam najuroczyściej, że uwagą moją za nim starannie wpływać będę.

Uściskał mnie Teofil i dodał:

— Wypada jednak, abym cię uprzedził, że wcale nie jest bogatym. Całem jego mieniem jest dziś kilkanaście tysięcy złotych na procencie u mego brata, Tomasza. Może i lata jego, około czterdziestu, nie będą ujmujące dla panny. Sprawdzenie ich bez metryki jest łatwe. Miał lat piętnaście, gdy mój ojczym, a jego opiekun, oddał go do pułku huzarów. Tam po latach piętnastu ciężkiej służby w ciągłych wojnach, wziął dymisyę w randze rotmistrza, okryty za waleczność krzyżami, a blisko lat dziesięć, jak tę dymisyę otrzymał.

— Co do funduszów Dunina, mówiono mi o nich w Skibińcach, gdzie go poznał na ślubowinach Kazimierstwa, równie jak o tem, że jego siostry wydane zostały jedna z nich za marszałka Otrębskiego w gubernii Kijowskiej, a druga za Kulikowskiego. Jak skromne mienie Stanisława, tak i lata jego nie stanowią żadnej przeszkody, bo są najzupełniej odpowiednie, a siostrze mojej nie roiła się nigdy nadzieja związku z majątnym. Ale ponieważ takie zrobiłeś przedemną zeznanie, przeto i odemnie należy cię objaśnić, że postanowienie rodziców naszych objawionem przed aktami sądu głównego wolińskiego w 1817 roku, siostry nasze do równego z nami, ich braćmi, przypuszczone są działu. Jest na to zastawa na dwóch wsiach Szulajkach i Rajcach i wioska dziedziczna z dalekich przodków w powiecie Łuckim, Hołuzya,

wypuszczona przez ś. p. ojca naszego prawem zastawy bratu memu, Antoniemu. Mamy zamiar wedle rozporządzenia rodziców naszych rozdzielić na pięć równych części tę pozostałość po nich, która żadnym długiem nie jest obciążoną.

— Wiadoma nam, sąsiadom, uczciwość wasza, ztąd pewni jesteśmy, że krzywdy sióstr waszych nie zechcecie. Na tobie zaś polegam, że zamiar Stanisława raczysz wesprzeć pomocą swoją.

— Wierz mi, kochany Teofilu, że o ile zdolam, przedstawiać będę mojej siostrze najżyczliwsze za Duninem uwagi.

Po uściskach, gdyśmy weszli do pokoju, usiadłem do rozmowy w obojętnym przedmiocie przy gospodyni, a tymczasem gospodarz na boku coś szepnął Duninowi, pewnie o pogadance ze mną, bo gdym po herbacie żegnał się z nimi, Dunin, całując mnie w twarz, ścisnął podwakroć rękę i powiódł:

— Do śmierci będę panu obowiązany.

Wróciwszy z tej wizyty, zdziwiłem siostry niespodzianką, opowiadając rozmowę moją z Teofilem Czarkowskim. Młodsza ozwała się:

— Czyliż to podobna rzecz dla mnie w tak ciężkiej serca żałobie! A potem, niech-no on przyjedzie i przypatrzy się mojej twarzy! Już ja o wiele nie ta, com była lat temu kilka w Skibińcach, gdzie on mnie poznał i pewnie odjedzie z postanowieniem, by już nigdy nie wrócić.

Starsza na to:

— Prawda, żeśmy w najboleśniejszej żałobie! Ale duch ojca ucieszyłby się twoim związkiem z osobą godną szacunku, a ja ufam Szymonowi, że Dunin takim być musi. A co do twarzy twojej, wszakże i on już nie pierwszej młodości. Nakoniec, podając to woli Pana Boga, mnie się widzi, że nie masz nad czem się wahać.

Tu, stosownie do przyrzeczenia danego Czar-

kowskiemu, wsparłem uwagi rozsądne starszej siostry, a na obudwóch wymogłem tajemnicę przed sąsiadkami aż do spełnienia się woli Boga. Uroczyście przyrzekły najtrudniejszy kobiecie sekret.

Spostrzegłem się, że czas już było zasiąść do rozpoznania przedwiecznych dokumentów, służących za dowód granicy między miastem Ostrogiem a jego przedmieściami. Mając ich suminaryusz na wierzchu w skrzynce, czytałem każdy po kolei wedle porządku daty, zaczynając od najdawniejszej, i dla pamięci jako też dla zacytowania w wywodzie dekretu, treść każdego w krótkości spisywałem. Pilnie nad tem pracując przez dni kilka, gdym doszedł do r 1801, cała budowa zaroszczeń strony powodowej, oparta dekretem na dziale w wieku siedemnastym książąt Ostrojskich, chwiać mi się zaczęła. Pod tym bowiem rokiem wypadł był ukaz senacki, uznający senatora hr. Ilińskiego dziedzicem przedmieść Ostroga w tych granicach, w jakich Ostrojszczyzna z nadania cesarzowej Katarzyny II była podaną generałowi Fersenowi, od którego syna hrabia Iliński ten majątek nabył. Gdy zaś przy wniesieniu sprawy, książę Karol Jabłonowski tłómaczył się, że posiada miasto Ostróg w tych granicach, jakie były wskazane przy podaniu przedmieść generałowi Fersenowi pod rokiem 1795, wówczas na moje odniesienie się do wołyńskiej izby skarbowej, nadesłano mi księgę podawczą, którą z kolei przeglądając, znalazłem, że urzędnik, wprowadzający roku 1795 generała Fersena w przedmieścia ostrojskie, nie oznaczył w tej księdze pewnych punktów zetknięcia się ich z samem miastem, lecz wyraził, że owe przedmieścia podaje wedle granic ówczesnie używanych. Pomnę, ile miałem trudności przy zdecyfrowaniu tej księgi, pisanej po rosyjsku, dopomógł mi w tem paroch wsi Czeczelowki. W stanowieniu mojej decyzji miałem na uwadze, że lubo książę Jabłonowski opierał swoją obronę na podaniu dóbr darowanych generałowi Fersenowi, przecież nie

mogę absolutnie wyrokować, że dzisiejsze używanie granic jest zupełnie też same, jakie było w 1795 roku, ponieważ księga podawcza nie zawiera szczegółowego ich opisu. Ztąd stosownie do prawa, które stanowi, aby w braku dostatecznych dowodów z dokumentu, wezwani byli świadkowie, ludzie wiary godni, o których w roku 1825 łatwo było po upływie tylko lat trzydziestu, uznałem potrzebę obustronnych świadków na to, jakie były używalne granice przedmieść Ostroga przy podaniu ich generalowi Fersenowi. Zdaje się, że gdyby ów podkomorzy, co za swój zjazd żądał dwa tysiące dukatów, odebrał je był od senatora Ilińskiego, musiałby przecież mieć za prawidłó ukaz senatu z roku 1801, i ztąd nie przyznałby granic z wieku XVII wedle działu pomiędzy braćmi ksiąźętami Ostrogskimi.

Dekret mój nie stanowił jeszcze wygranej sprawy ani dla strony powodowej ani dla pozwanej, wygrana zależała od przysięgłego zeznania obustronnie stawionych świadków. Przecież dotknęły mnie oszczercze języki. Doszła później wieść do mnie, że obywatel niechętny dla mnie rozgłaszał, jakobym, bywając często u księcia Karola Jabłonowskiego, rozmiłował się w pannie Potockiej, siostrze jego synowicy, która później wyszła za Jana Mołodeckiego do Warkowicz, i ztąd przychyliłem się za księciem Jabłonowskim. A obok tak fałszywej, tak uwłaczającej mnie wieści, należy wiedzieć, że senator Iliński uznawał sprawiedliwość w mojej decyzji i rad był z mojego dekretu.

Wolny na sumieniu, pewny byłem, że kolega mój zgodnie ten wyrok podpisze. Ale jak były w tem zawiedzione moje nadzieje w terminie oznaczonym dla ogłoszenia dekretu, to jest w dniu 26 listopada 1825 roku, pod tą datą opiszę.

Już swobodny w początkach października tegoż roku, wyjechałem na dni kilka do Szulajek. Mocno mnie zajmowała sprawa Stanisława Dunina i młod-

szej mojej siostry. Witają mnie obie nadzwyczaj uradowane. Opowiedziały przedemną stopniowaną konkurencyę Dunina, i że po kilku powtórzonych najpierwej z Czarkowskim wizytach, dwa dni temu oboje Teofilowstwo gdy z nim przybyli, ona sama, jako w poufalej przyjaźni z mojami siostrami, objawiła przed starszą z nich na osobności, w jakich zamiarach bywa tu krewny jej męża, a ośmielona upewnieniem życzliwości dla kawalera, weszła do pokoju, gdzie była reszta towarzystwa, i oświadczyła się od Dunina młodszej mojej siostrze, poczem uroczyste nastąpiło przyrzeczenie.

Czarkowscy upominali się o zaręczalny pierścień, a siostry moje, wiedząc z listu mego, że rychło do nich nadjadę, odłożyły zaręczyny do mojego przybycia.

Uradowany determinacyą mojej siostry, przedstawiłem im, że dziś najstarszą z rodziny osobą jest ciotka nasza we wsi Wyszczukusach, starsza a rodzona siostra ś. p. matki naszej, że do niej wprzód udać się wypada po błogosławieństwo, gdzie i Dunin być powinien. Gdy z nim tam pojedę, przy prezentacji przysposobię ciotkę do łaskawych dla niego względów tą wiadomością, że Dunin jest ciotecznym bratem Kazimierzowej Budzyńskiej, a to zniewoli ją do sprzyjania mu, i nakoniec uproszę ciotkę, aby raczyła zezwolić nietylko na ceremonię zaręczyn, pod jej ważnem dla nas błogosławieństwem, ale nawet, aby ten związek ślubny w jej kaplicy bez żadnego zgielku, po zwykłych w kościele zapowiedziach, mógł się dopełnić.

Dunin, bawiący jeszcze w Drennikach, skoro się dowiedział o mojem do sióstr przybyciu, nadjechał do nas. Jakże on serdecznie dziękował mi za skuteczne wpływy! Przedstawiłem mu konieczność poznania go z ciotką naszą, Budzyńską, w Wyszczukusach, o półtorej mili od Szulajek, na co on najchę-

tniej się zgodził z tem, że nazajutrz ma się stawić, aby tam ze mną pojechać, że w dniu, jaki nasza ciotka oznaczy, ja z siostrą przybędę do Wyszczykus, gdzie i on nadjedzie, aby przy błogosławieństwie najpoważniejszej z pomiędzy krewnych naszych odbyła się w jej domu nie tylko ceremonia zaręczyn, ale i ślub w tamtejszej kaplicy.

Te wszystkie warunki Dunin najchętniej przyjął za nieodzowne.

Jakoż w tym samym tygodniu byłem z nim w Wyszczykusach, gdzie razem ze swoją matką mieszkał syn ciotki naszej, Ignacy Budzyński, podkomorzy żytomierski. Obojgu prezentowałem nieznanego im Dunina, dodając wzmiankę o blizkiem jego pokrewieństwie z Kazimierzową; opowiedziałem zamiar jego związku z młodszą siostrą moją i że oni oboje pragną błogosławieństwa ciotki naszej. Po tem wszystkim nasz pan rotmistrz, jaśniejący radością, usłyszał od staruszki grzeczny komplement, która oznaczyła termin zaręczyn, a ślubowiny odłożone zostały do stycznia następnego 1826 r., a to dla zwykłych przygotowań w wyprawie.

Nie będę opisywał szczegółów w tych dwóch terminach, które przecież dobrze pamiętam. Wszystko to dopełniło się w domu ciotki naszej w Wyszczykusach cichutko, bez żadnej wystawy, a na dzień ślubu byli zaproszeni Kazimierzostwo Budzyńscy z Wygnanki; Kazimierz bowiem był podwójnie krewnym ciotki naszej: jako syn jej stryjecznej siostry, i jako synowiec jej ś. p. męża, a Kazimierzowa cioteczną była siostrą Dunina.

Gdy pierwszych dni listopada 1825 r., po zaręczynach siostry Katarzyny, wróciłem z nią z Wyszczykus do Szulajek, a jej narzeczony, Dunin, puścił się na Ukrainę, gdzie przy owdowiałej siostrze swojej, marszałkowej Obrębskiej, przemieszkiwał, zrobiłem naradę z siostrami względem środków na konieczne koszty choć nieparadnej wyprawy. Kupca

na zboże nie było. Mając w pamięci należność od senatora Ilińskiego, wyniosłą z podatków zastępnie za niego od r. 1818 przez ś. p. ojca naszego opłacanych, umyśliłem pewną część tej należności wyjednać na powyższy przedmiot. Zabrałem z kantorka kwity kasnaczejstwa i rachunek przy nich z polecenia ojca przezemnie zrobiony i z temi dokumentami udałem się do Romanowa.

Pomnę zdziwienie moje, gdy senator odezwał się z tem, że od r. 1818 ojciec nasz nie miał już prawa upominać się o zwrot podatków, bo on mu zapowiedział, że odtąd, jako zastawnik, bez najmniejszego zwrotu, ma je sam opłacać. Na to pokazałem mu kwity kasnaczejstwa z adnotacyami, ręką ojca zrobionemi na wierzchu każdego kwitu tej należności od senatora, i że nakoniec był świadkiem doktor Dzakomeli, gdy z polecenia mego ojca, pod jego okiem zrobiłem oto ten rachunek ogólnej ztąd należności.

— Być może—dodałem—że pan senator podobny obowiązek: w r. 1818 włożył na którego z arrendownych dzierżawców, albo na którego innego zastawnika, lecz co do mojego ojca, proszę przypomnieć sobie, że obrachunek podatków po rok 1818 ja tu sam robiłem w oczach pana senatora i nieodstępnie od początku do końca byłem wówczas przy moim ojcu, a przeto tak nowy, tak przeciwny kontraktowi warunek, byłby mi znany, lub gdyby później nastąpił, to mój ojciec byłby mi powiedział o nim przed swoją śmiercią, a przeciwnie, bo polecił zliczyć całą sumę wedle notatek ręką swoją robionych; pan senator zaś nie zaprzeczy pewnie znanej powszechnie prawości mojego ojca.

— Tak, tak, kochanku—rzecze mi—twój ojciec był najpoczciwszy człowiek, ale mógł zapomnieć, co mu powiedziałem.

— Przypuszczam, że mógł zapomnieć o zrobionej mu w roku 1818 takiej propozycyi, ale czy pan

senator może sumiennie zaręczyć, że mój ojciec przyjął ten warunek?

— O, mój kochanku! Nie będę obarczał mego sumienia zaręczeniem, że wasz ojciec przyjął mój warunek, bo istotnie nie pamiętam, co na to odpowiedział, ale wiem najdokładniej, że przy ostatnim obrachunku 1818 roku zastrzegłem sobie nie zwracać podatków. Zresztą ludzie nas osądzą.

Te ostatnie wyrazy senatora „ludzie nas osądzą“, w obecności sekretarza jego, pana Smorzewskiego powiedziane, były tymczasowo dostateczne dla mnie.

Pożegnałem senatora, a nie mogąc z powyższej należności najmniejszej części otrzymać, znalazłem inne środki zaradzenia potrzebie siostry mojej na jej wyprawę.

Wracam z Szulajek do domu i wkrótce, zabrawszy skrzynkę z dokumentami do procesu o granicę Ostroga, mój dekret już gotowy w tej sprawie i w drugiej ukaz głównego sądu, polecający rozwiązanie sporu o granicę pomiędzy panem Witostawskim Kajetanem, posiadaczem dóbr pojezuickich Suraza, a panem Kazimierzem Karwickim, puszczam się na przód w podróż do Mizocza. Dnia 14 listopada 1825 roku przybywam wieczorem do Ostroga. Konie moje były mocno zmęczone nader błotnistą drogą, a potem piaskami w lesie. Wezwałem żydów furmanów, aby mnie dowieźli do Mizocza, gdzie najutrz rano konie moje po nocnym wypoczynku w Ostrogu mają przybyć. Gdy mi podano herbatę, wchodzi kozak z Załuża i podaje list od Aleksandra Ilińskiego. Zawzięty mój swat, lubo nieproszony, nie zapomniał, że w tym dniu miałem przejeżdżać przez Ostróg. List jego dla swej oryginalności utkwił mi w pamięci i co do słowa był taki:

„Kochany Szymonie!

Pryjeżdżaj, podjeżdżaj, zajeżdżaj i wjeżdżaj!

Już wszystko z moją żoną przygotowaliśmy dla ciebie! Słowem honoru zaręczam, że byleś się odezwał, najmniejszej nie doznasz trudności, bo też oprócz naszego wpływu, już dobrze tam byli uprzedzeni o twej godności. Ja na to jedynie przydatny w tym interesie, abym cię ośmielił jako twój przyjaciel Aleksander.

*Załuże, d. 14 listopada 1825 r.*

P. S. Mówiles mi, że czytać będziesz swój dekret w Ostrogu, wróciwszy z Suraza, to jest dnia 26 tego miesiąca. Ja na ten termin zjadę i w tymże dniu musisz koniecznie pojechać ze mną, choćby pioruny trzaskały, na zjazd tobie wiadomy.“

Kłopot z upartem swatowstwem! Kozak jednak czeka na odpowiedź, wypada cośkolwiek odpisać. List mój był taki:

„Dziękuję ci, kochany Aleksandrze, za dowody twojej dla mnie życzliwości. Jadę ztąd do Mizocza, zkąd udam się do Suraza w powiat Krzemieniecki. Dnia 25 tego miesiąca będę na noc w Ostrogu, na zajutrz czytać tam będę już gotowy dekret, na który, jeszcze nie wiem czy się zgodzi wasz podkomorzy ostrogski. A co do projektów twoich, ponieważ w tej sprawie komparycyi nawet nie było i strony nie zajmowały sobie w oczy, przeto nie wiem, czy tam zjazd mój przyda się na co. Jednak powolny twemu wezwaniu, czekać cię będę w dniu 26 listopada. To tylko zapewnić cię mogę, że dla was obojga z wysokim zostaję poważaniem.

S. K.

*Ostróg, d. 14 listopada 1825 r.*“

Odprawiwszy kozaka z tą ekspedycją, puszczam się sześciami bałagulskimi końmi po ogromnym błocie traktem pocztowym ku Hulczy. Noc ciemna, a w dodatku deszcz zaczął padać i wzmagał się coraz wię-

kszy. Rad, żem się do Hulczy przywłókl, wjeżdżam do zajezdnej karczmy. Tam rozłożywszy się na nocleg, słyszę z drugiej izby częste wzdychanie i wzywianie Boga. Pytam gospodarza, kto tak jęczy? Żyd mówi, że to jest waryatka. Dosłyszała go jęcząca kobieta i zawołała z oburzeniem:

— Och! nie wierz mu, pani! nie wierz! Jak Bóg na niebie, nie waryatka!

Wchodzi do mnie dość nędznie ubrana, do czego o wiele przyczyniło się obryzanie błotem, dyga przedemną potrzykroć i mówi:

— Prezentuję się panu ot jak jestem. Kiedyś, kiedyś bywało inaczej! Ale wiadomo, że fortuna kołem się toczy. Wypadaloby powiedzieć, jak się nazywam, ale cóż powiem? Książd przed ołtarzem związał ręce stulą i odebrał mi po rodzicach nazwisko, a wzięte od ś. p. męża mego poszło z nim do grobu. Nazywam się sobie kobieta, a do tego biedna sierca. Dla człowieka, co ma serce, dość na tem. Ależ to piękne jabłka widzę na stole!

Istotnie były niepospolicie wielkie i różowe, jakich kilka w przejeździe przez Ostróg kupilem. Jedno z nich jej dałem. Ona dyga i rzecze:

— Trzeba panu wiedzieć, że niegodziwi juryści przywiedli mnie do dzisiejszej nędzoty. Hrabia Chodkiewicz pożyczył był u ś. p. ojca mego 50 tysięcy złotych. Ktoś podszył się pod tytuł jakoby jedyne go syna po moim ojcu i otrzymał kolokacyę w rozbiornie majątku pana hrabiego. Nie miałam gotówki na proces. Przynęcałam prawnikom, że im połowę odstąpię, ale gdzie tam! Zbywali mnie śmiechem. Na domiar biedy, utraciłam w tym roku wielką tu w Hulczy moją dobrodziejkę, panią podkomorzyne Podhorecką. Całem dziś wsparciem, całą nadzieją moją, jest jej krewna, ztąd o milę, pani podkomorzyna Łażnińska w Korostowej. Byłem się pokazała, zaraz ona sama albo jej córka, Klemunia, obdarzają mnie i podkarmią, prosząc, abym w sieniach usiadła,

bo często zablocona, ot jak teraz, nie śmiałabym wejść tam na woskowane posadzki.

— Powiedzże mi jejmość, czy ta Klemunia nie ma jeszcze jakiego kawalera, któryby wzdychał do jej ręki?

— Słysząc, słysząc, że zaczęli dojeżdżać, bo ich dwoje tylko: syn i córka, a rodzice majątni. Panna dobra jak anioł. Ja znałam ją od lat jej dziecinnych, gdy się wychowywała w Hulczy u babuni podczaszyny.

— Jakże jejmość miarkujesz, gdybym tę twoją Klemunię chciał przywabić, czy oddałaby mi serce za te piękne jabłka?

— Żartuj pan zdrów! Ale jakże mam honor nazywać?

— Ja także bez nazwiska; gdzieś w drodze przypadło.

— Oho! Nietylko pan je masz, ale jeszcze któraś bardzo rada jego nazwisko przyjmie.

Tu mój Rudnicki wnosi kipiący samowar, a ona wymknęła się do sieni. Badala furmana żyda o mnie. On nie wiedział, kto jestem; powzięła tylko wiadomość, że jadę do Mizocza. Wraca do izby. Podałem jej szklankę herbaty. Dygnęła uniżenie i pijąc ją z bułką, ciągnie dalej gawędę:

— Wiem już, wiem! Furman mnie nauczył, że pan bez jabłek przywabisz Klemunię. Mówią wprawdzie, że ojciec jej trochę hardy. Ale to wcale nie przeszkodzi; bo też dziedzic Mizocza, generałowicz graf Karwicki, to nie bagatela! Toż to się ucieszy i ona i matka, skoro im szepnę, że tu była kwestya o to, czy Klemunia pójdzie za pana! Och, pójdzie, pójdzie! już ja w tem! Jutro skoro dzień udam się do Korostowej i na ucho opowiem im naszą z panem rozmowę. Opowiem wszystko: że mówiąc ze mną, palił fajkę o długim cybuchu z dużym pięknym bursztynem, ubrany w pyszny szlafrok z tureckiej materji, w czerwonych butach safianowych, ot jakby

sultan wygląda. Taki przedemną swoje nazwisko, a potem okazało się, że to grał z Mizocza.

— Ależ bałamucisz, kobieto! Ja nie Karwicki.

— Dajno pokój, panie grafie! Nie uchowa się szydło w worku! Prawda wyjdzie jak oliwa na wierzch! Do mnie reszta należy, aby się wszystko skończyło, jak Pan Bóg przykazał, a zato biedne kobiecisko coś w darze otrzyma.

— Kiedy tak uparta jesteś, róbże sobie, co chcesz, a ja przyrzekam, że jeśli ta Klemunia pójdzie za mnie, to przyjdź do mnie, a dam ci dziesięć dukatów.

— Upadam do nóg pana grafa. Już jak gdybym je miała w mojej dziś próżnej kieszeni.

Na to, dając jej złotówkę, rzekłem:

— Aby tymczasem kieszeń była niezupełnie próżną, daje ci to na zadatek naszej umowy.

Dygnawszy potrzykroć, wyszła do drugiej izby. Nazajutrz rano, gdy miałem wsiadać do powozu, ona wychodzi ze swej izby, spotyka mnie w sieni i rzecze:

— Dzień dobry panu grafowi. Idę na śniadanie tam, gdzie panu wiadomo, a nie zapomnę, com wczoraj przyrzekła.

Zaśmiałem się tylko.

Opisawszy to spotkanie się w podróży z tą jakby waryatką i moją z nią rozmowę, pytam sam siebie, na co się to przyda? Czyliż jej przyrzeczenie, a może i modlitwy przez wzgląd na obiecanych dziesięć dukatów miały wpłynąć na moją przyszłość? Odczytawszy tę stronicę, przyszedł mi na myśl czytany wczoraj distych, czyli dwuwiersz Kazimierza Brodzińskiego w opowiadaniach E. A. Odyńca przed Deotymą, umieszczony w czasopiśmie „Wiek“:

„Drobiazg nie jest błałością, drobna w kroplach rosa  
Rzeźwi ziemię, i w tobie odbija niebiosa.“

Wracam do mojej urzędowej podróży. W tym dniu oczekiwany, przybywam do Mizocza. Zastalem znanego mi zblizka *krzyworączka*, Jana Gruszeckiego, poczciwego prawnika w zwykłej jego sieraczkowej kapocie polskiej. Jako z powołania plenipotent pana Karwickiego, wezwany był z Żytomierza do interesu o granicę z panem Kajetanem Witosławskim. W czasie obiadu Karwicki wszczął rozmowę o gospodarstwie. Robiąc uwagę nad trudnością podniesienia włościan do dobrego bytu, dodał:

— W całej okolicy o mil kilka jeden tylko podkomorzy Łażniński przez szczególniejsze zabiegi sam umie podnieść i utrzymać swoich włościan w dostatku. Wieś jego Korostowa, cała porządnie zabudowana, ma, jak mówią, chat 80, a w potrzebie dziedzica po dwa pługi z każdej wychodzi chaty. Łany swoje uprawia jak ogród, a zasiew oziminy, ztąd, że trzysta bron wiejskich wychodzi, w trzech dniach zwykle kończy. Urodzaje miewa nadzwyczaj piękne i ze zbioru jednorocznego wysyła pszenicę do Bugu na 140-tu wiejskich jednorazowo podwodach. Ale też on absolutnie z nimi postępuje. Mówiono mi, że jeżeli który z gospodarzy opuszcza się, nie dopilnuje swojej chudoby, lub w porze właściwej nie zasieje swego pola, a do karczmy uczęszcza, to w jesieni dziedzic wzywa gromadę, od nich wywiaduje się, który z najmitów po chatach jest najpilniejszy. Robi on to dla ceremonii, bez tego bowiem przez swoich on we wszystkich szczegółach wie, co się dzieje we wsi. Po naradzie ze starszymi z gromady stanowi, aby ów pilny najmita stał się gospodarzem chaty i całego dobytku po owym leniuchu i pijaku, a ten, aby przeszedł do gospodarza wskazanego mu przez dziedzica na najmitę. I kochają go wszyscy, jak ojca. Ja tu często widuję włościan z Korostowej na jarmarkach i targach. Łatwo ich odróżnić od innych ze wsi sąsiednich. Naprzód chudoba ich dobrze utrzymana, każdy z nich w porządnem odzieniu,

z czapką o szerokim siwym baranie, a którą, jakby przez uczucie swojej godności, przed nikim nie zdejmie. Tak umiał ich podnieść ich dziedzic, takim on jest wzorowym gospodarzem.

Skończywszy u stołu to opowiadanie, pan Karwicki zapytał mnie:

— Czy pan znasz podkomorzego Łażnińskiego?

— Nie zdarzyła mi się sposobność ani go poznać, ani widzieć nawet i nigdy nie byłem w Korostowej, ale słyszałem o jego zasadach gospodarstwa od mojego ojca, który go poznał u senatora Ilińskiego w Romanowie i któremu pan Łażniński z rozmowy o gospodarstwie bardzo się podobał.

Zapamiętał to Karwicki i Gruszecki, że dnia 15 listopada 1825 r., jeszcze nie znałem pana Łażnińskiego i że nigdy nie byłem w Korostowej.

Przenocowawszy u pana Karwickiego w Mizocz, wyjechałem mojemu już końmi z Ostroga, przybyłem z Suraza, z panem Gruszeckim, dla którego bryka z kucharzem i pakunkiem potrzebnym do kuchni, szła za nami. Tam przypomniałem sobie, że sławny piniacz, Kajetan Witosławski, będzie mógł zaskarżyć mój zjazd, jak Polanowski, że jadłem obiady i wieczerze w Iwankowie u pani Morzkowskiej. Lecz w Surazu nie zastaliśmy pana Witosławskiego. Snać postanowił mieć się zaocznie na zjeździe. Z karczmy posłałem po ekonoma. Zapytałem go, czy doszło tu moje obwieszczenie, że dziś zjadę do Suraza? Odpowiedział mi, że je odebrał i oddał panu Witosławskiemu skoro on wrócił z podróży, lecz pan jego znów odjechał, nie wiadomo gdzie i na jak długo.

Zapisałem to zeznanie ekonoma w moim protokule i jako na zjeździe z ukazu i w sprawie nieprzywatnej, lecz o całość dóbr po-jezuickich, nie zważając na zaoczność strony powodowej, poleciłem przez pismo do ekonomii surażskiej, ażeby obrano sześciu włościan wiarogodnych, jacy nigdy nie byli pod są-

den, na świadków przysięgłych, dla okazania dawnej granicy pomiędzy gruntami Suraża i Mizocza. Do miejscowego zaś parocha odniosłem się, ażeby tych włościan przywiódł w cerkwi do przysięgi na to, że o cokolwiek mój sąd podkomorski będzie ich badał, oni w tem wszystkim najrzetelniej zeznania swoje uczynią. Podobnych sześciu świadków z Mizocza, już po wykonanej tam z mojego polecenia przysiędze, przybyło za nami do Suraża.

Kiedy dwunastu razem zebrało się świadków przysięgłych, i urzędowy geometra przybył na moje wezwanie, udaliśmy się do lasu w miejscu zetknięcia się jego z lasem mizockim. Ze strony powodowej nie było nikogo, prócz sześciu jej świadków. Sumienie przeto nakazywało mi tem pilniejszą bacność na dukt, jaki miejscowi Suraża starzy włościanie prowadzić będą.

Lecz jakież było zdziwienie moje, kiedy we wszelkich kierunkach łamiąca się linia graniczna bezspornie uznaną została i ze strony pozwanej, to jest gdy włościanie Suraża i Mizocza zgodnie zeznali, że pan Karwicki używa swojego lasu wedle odwiecznie znanej im granicy. Gdym dostrzegł w każdym punkcie tę pomiędzy świadkami obudwu stron zgodę, wnet poleciłem obecnemu geometrze, ażeby zdjął plan wskazanej przez świadków linii granicznej i aby w miejscach właściwych, mianowicie przy zmianach kierunku w lesie, posypał kopce. Ta cała robota ze zdjęciem planu przez geometrę i mojem na mapie poświadczeniem zajęła nie więcej jak dni pięć.

W dniu ostatnim mojego tam zjazdu wystąpiłem z Suraża na pocztę krzemieniecką do głównego sądu wołyńskiego raport o spełnieniu danego mi ukazu, z załączeniem w kopii całego protokołu mojej w Surażu czynności i podobną kopię mojego w tej sprawie dekretu wydałem panu Gruszeckiemu, jako plenipotentowi pozwanej stony.

Z Suraża już nie byłem w Mizocz, gdzie sam

pan Gruszecki, rad z wygranej, odjechał. Udałem się na Hulczę do Ostroga.

W dniu 21-m listopada, w sobotę, zajechawszy na popas w Hulczy do zajezdnego domostwa, dostrzegłem w sieniach kilka rozmaitych powozów i konie przy żłobach, a w izbach, prócz Żydów szabasujących, nikogo. Zdziwiony, pytam gospodarza, czyje to powozy, a on mi rzecze:

— To, widzi pan, kantycesya (kondescensya) zjechała. We dworze są urzędników, są i panów, krewnie nieboszczyka podczaszego Podhorodeckiego. Ona sama, podczaszyna, umarła; to już ich dożywocie nie kole w oczy, już Hulczę rozszarpia; każdemu coś się dostanie; a szkoda, szkoda tego majątki!

— Któż we dworze jest gospodarzem?

— Tam wiele ich jest! Ale podobno najważniejszy siostrzeniec nieboszczyka podczaszego, pan sędzia Trypolski, co go nazywają sowetnik z Tytiuników.

Ucieszyła mnie ta wiadomość.

Do mojego terminu czytania dekretu w Ostrogu jeszcze mam czekać dni kilka. Musiałbym z przykrością czas ten wysiadywać w Ostrogu, a tu znajdę przy Trypolskim jakąś rozrywkę pomiędzy przybyłymi na zjazd familijny, których on da mi poznać. Odjechałem natychmiast do dworu, zamówiwszy w karczmie miejsce dla moich koni i powozu.

Trypolski najchętniej mnie powitawszy, przedstawił urzędnikom ostrogskiego sądu ziemskiego, czyli, jak dziś, powiatowego, którzy zajmowali się spisaniem tak remanentów, jako też opisem całej włości huleckiej dla przysposobienia jej do działu, jaki ma nastąpić na satysfakcyę naprzód legataryuszów, testamentem podczaszego Podhoreckiego wymienionych, a w reszcie pozostałej pomiędzy jego synowców, jako po bezdzietnym stryju.

Poznałem też tam pana Witalisa Porczyńskiego z Urwenny, później marszałka powiatu Rowieńskiego,

który był ożeniony z Podhorodecką, podczaszego synowicą, a rodzonym był bratem pani podkomorzyny Łażnińskiej.

Nazajutrz Trypolski, jako w niedzielę, a przeto w dniu wolnym od sądownictwa, zaproponował mi po obiedzie, ażebym z nim pojechał o milę do wsi Korostowy, gdzie mieszkają podkomorzostwo Łażnińscy:

-- Dam ci poznać ten dom--rzecze--jako spokrewniony ze mną.

Uśmiechnąłem się w duchu na tę propozycję, bo przypomniałem sobie natarczywe tam swatostwo Aleksandra Ilińskiego. Nic nie mówiąc o tem Trypolskiemu, zgodziłem się na tę niespodzianą wizytę. Jadąc, marzyłem w myśli, że z listu, odebranego w Ostrogu przez kozaka z Załuża, mogę napewno wnioskować, że mój swat już powiedział państwu Łażnińskiemu o swoim co do mnie projekcie. Ztąd zrazu wydało mi się, że położenie moje tam będzie mi ciężyć, a przynajmniej nie będzie swobodne. Wiozą mnie tam jakoby na wystawę. Ale pomyślawszy nad tem, rzekłem sobie:—Co mi tam! Wszakże nie idzie o to, czy się tym państwu podobam, o to wcale nie dbam. Jadę poznać hardego, jak przedemną nazwała go biedna kobieta w karczmie huleckiej, a który podobał się ojcu memu z rozsądnej mowy o gospodarstwie, lubo go razem obraził, nazywając mnie poetą, a o jego córkę starać się nie myślę.

Gdy w Korostowej już dojeżdżaliśmy do mostu i bramy dziedzińcowej, Trypolski uprzedził mnie, że wysiadziemy nie przed dworem, gdzie pan Łażniński sam mieszka, lecz przed oficyną na prawo, którą zajmuje żona jego z ich córką, a on, skoro przez okna spostrzeże przybyłych gości, pewnie wnet na-dejdzie.

W oficynie, w pierwszym pokoju, bardzo skromnie umebłowanym, zastaliśmy samą tylko panią podkomorzynę. Trypolski prezentował mnie jako

krewnego swej żony. Objawiała w twarzy widoczne na zdrowiu niedomaganie, jednak z dość wyraźnemi śladami już oddawna przygasłych wdzięków, odgadywałem w niej, jak istotnie było, lat około czterdziestu.

Jadąc na tę wizytę, Trypolski opowiadał mi, że gdy ona była panną jeszcze, w Hulczy, gdzie od kolebki w pieszczotach wuja swego, podчасzego Podhorodeckiego, pobierała staranne wychowanie, i który tak ją lubił, że wydał jej skrypt na sto tysięcy złotych i tę należność potem potwierdził testamentem, to gdy jej wdzięki rozwinęły się, młodzież okoliczna szalała dla jej piękności i że młody wówczas pan Łażniński, dość majątny z sukcesy po swoim stryju Walentym, łowczym w. koronnym, dla jej tylko twarzyczki i pięknej figury, pobałamuciwszy ją trochę, z nią się ożenił.

Po chwili z drugiego pokoju drzwi się otworzyły i weszła ich córka. Aleksander Iliński uprzedził mnie, że ona nie jest pięknoscią, a ja przesadziłem moje domniemanie, że on chce tym wyrazem zamaskować przedemną jej okropną szpetność i ztąd mi się wydała, jak wiele innych panien, które nie wzbudzają nadzwyczajnego ku sobie pociągu, ani też odrazy.

Trypolski powitał ją ucałowaniem ręki, a ja zdaleka ukłonem. Za wejściem panny Łażnińskiej, podzieliłem się z nią rolą swoją; już nie ja tylko, lecz i ona przedemną była na wystawie. Badawcze rzucałem spojrzenia na rysy jej twarzy, na jej oczy, chcąc zajrzeć do duszy, czy odpowie mojej. Lecz te badania były przelotne, jakby przez zabawę. Nie miały zasady w stałem z mej strony postanowieniu.

Pan Łażniński ciekawie wypytywał, jakie się okazało rozwiązanie sprawy o granice między Ostrogiem a jego przedmieściami. Ta poważna rozmowa trwała czas krótki; gospodarz, zwracając się do Trypolskiego, w wesołych zawsze żarcikach z sądowych

figur podsędka i jego towarzyszków w Hulczy, zajmował nas, ożywiał i śmieszył. Ja do panny ani się zbliżyłem, ani słowa nie przemówiłem do niej.

Po herbacie odjechaliśmy z Korostowy.

— A co?—zapytał mnie Trypolski w drodze—czy kuzynka moja podobała się ci?

— Zachciałeś — rzekłem — żadna mnie już nie zbałamuci, minęły te lata!

I rozmawiając o rzeczach obojętnych, dojechaliśmy do Tulczy. Tam liczne towarzystwo, złożone z osób sądowych, legataryuszów, sukcesorów podczaszego Podhorodeckiego, przy podanych już świecach, podzieliło się na gronka. Przy każdym prawie adwokat coś głośno dowodził, przytaczając na to konstytucye koronne i statut litewski, a przy dwóch stolikach grano w maryasza. Ja tu obcy dla miejscowych interesów, zbliżywszy się do jednego z tych stolików, dostrzegam leżący na nim kalendarz. Zjrzałem do niego, ażeby się wyrachować, kiedy z powrotem mogę być w domu. Rzuciwszy okiem na dzień jutrzejszy, to jest 23 listopada, co było w poniedziałek i widząc, że będzie św. Klemensa, bez żadnej myśli odezwałem się:

— A kto z panów będzie grzeczny powinszować jutro solenizantce?

Z drugiego końca sali dosłyszał to jej wujaszek, pan Witalis Porczyński. Pospiesza ku mnie i ze sło-dziutkiem przymileniem rzecze:

— Pozwól pan, ażebym ja mu jutro towarzyszył na obiad do Korostowy.

A przy tem bardzo grzecznie dziękował mi za pamięć o imieniu jego siostrzenicy.

Tu przypomniałem sobie śmieszną a publiczną scenę na jednej z sesyj sejmu czteroletniego przy połączeniu izby poselskiej z senatorską, w obecności króla na tronie.

Pomiędzy posłami z województwa podolskiego, był pięknie ukształcony i pełen dowcipu Józef Wy-

leżyński, znany z późniejszego ucinku o przedajnym poecie:

Leci Molski! w rękę oda,  
Dla Jezusa, dla Heroda,  
A w zapasie wierszów trzysta,  
Dla nowego Antychrysta.  
Co tu pieniądze!

Ale na biedę, ten poseł podolski zwykle po libacyach śniadaniowych przybywał na sesye i nigdy nie był tam trzeźwym.

Raz wśród rozpraw nad ważnym dla kraju przedmiotem, gdy po każdej mowie liczne odzywały się razem domagania posłów, ażeby im z kolei mówić dozwolono, król dostrzegł, że najzawzięciej a zawsze napróżno domagał się tego stojący we framudze okna Wyleżyński, ciągle po każdej mowie wykrzykując:—Proszę o głos!—A więc z tronu odezwał się do marszałka:

— Niech też pan podolski ma głos.

Wyleżyński, usłyszawszy to, a zaledwie stojący na nogach, uchyliwszy głowę, przemówił:

— To ja, tak sobie, najjaśniejszy panie.

Wprawdzie nie byłem pijany, ale jak ów poseł podolski, bez żadnej myśli odezwałem się o imiennach z kalendarza, a nie z serca. Z tem wszystkim, przed wujem panny przyzwoitość nie dozwalała powiedzieć: „To ja, tak sobie, panie dobrodzieju.“ Przeciwnie, rad nierad, musiałem z wdzięcznością przyjąć propozycję pana Witalisa Porczyńskiego.

Nazajutrz przed południem, stawiając się na słowie, pan Porczyński, przybył po mnie do Hulczy. Wsiadłem z nim do jego powozu, a mój szedł za nami dla swobodnego kiedy mi się podoba wyjechania z Korostowy. Z panem Porczyńskim podobnież tam przed oficyny zajechaliśmy. Pani podkomorzyna i jej córka cokolwiek świąteczniej były

ubrane niż wczoraj. To dało mi domysł, że p. Porczyński wczoraj wieczorem, wróciwszy do siebie, pewnie uprzedził bilecikiem siostrę swoją, że na dzisiejszy obiad ma się spodziewać gościa, który pamiętał o imieninach jej córki. A ja, mając w pamięci wykrzyki Józefa Wyleżyńskiego: — proszę o głos! — i położenie jego, gdy mówić pijanemu dozwolono, ciągle sobie powtarzałem, że: „Ja, tak sobie, najjaśniejszy panie.”

Nadszedł do nas pan Łażniński i, płodny w krotchwile, najuprzejmiej nas powitawszy, wnet zaczął nas zabawiać dykteryjkami pełnemi dowcipu. Potem do mnie rzecze:

— Skoro zobaczę się z senatorem Ilińskim, który czasem mój dom nawiedza, podziękuję mu za podanie nam sposobności poznania pana osobiście, bo wprzód nasłuchaliśmy się o nim ze zjazdów podkomorskich w Ostrogu, a pierwej jeszcze z danej przez pana nauki płochym paniąkom w balladzie: „Trzy krzyże pod Brykowem.” Ale powiedz mi pan, dlaczego ojciec pański, któregoś poznał w Romanowie, oburzył się na to, że m pana nazwał poetą?

— Ojcu memu — rzekłem — najlepiej było wiadomo, że m nie miał czasu sposobić się na dostojny tytuł poety; inny bowiem przeznaczał mi zawód, chciał, ażeby m całą młodość poświęcił praktycznej nauce prawa, co przygotowałoby mnie mogło do zasługi obywatelskiej. Nie było więc pory odpowiedniej do skarbienia sobie zasobów w literaturze, bez których samo rymowanie wyrazów będzie marnowaniem czasu bez korzyści dla siebie i dla drugich, ztąd m ojciec, zda m się, słusznie takich wierszopisów nazywał próżniakami. Wypada jeszcze dodać, że jeśli komu uda się szczęśliwie, a bez trudu napisać kilkaście wierszyków, to jeszcze nie daje prawa do tytułu poety.

— Wspomnienie pana — przerwał m pan Ła-

źniński — o jego pobycie w Warszawie przypomina mi, że odebrał od krewnego z Królestwa „Kalendarz polityczny polski na rok biejący 1825,“ gdzie przeczytał o panu, pomiędzy kawalerami orderu ś. Stanisława, że był sekretarzem komisji do uregulowania handlu i żeglugi.

Tu wszedł lokaj z oznajmieniem, że podano obiad.

Trzeba było przejść przez podwórze kroków kilkadziesiąt z oficyny do dworu po szerokich dwóch forsztach dębowych. Dzień był wprawdzie pogodny, przecież dla jesiennego chłodu damy narzuciły na siebie chustki, my, goście, we frakach, a gospodarz w swojej czamarce granatowej, puściliśmy się w to przejście. Pani podkomorzyna podała rękę swemu bratu, co, zda się, było z jej strony łaskawem zezwoleniem, ażeby, jako konkurent, prowadził jej córkę, której ojciec ciągle coś wesołego nam prawiąc, siedł za nami.

W sali zastaliśmy świeżo przybyłego starca, pana Rakowskiego. Był to człowiek ubogi, liczną rodziną otoczony; niedaleko od Korostowy mieszkając, częstym był gościem u podkomorzostwa. Jakby obowiązkiem jego było przywozić wiadomości z całej okolicy, niesłyszane jeszcze jakiebądź nowinki. Zasiadał niekiedy do maryasza z podkomorzym. Stawka stanowiła zwykle dziesięć groszy; cokolwiek zdarzyło mu się wygrać, garnął do kieszeni, a przegrane zapisywał na papierku do późniejszego skwitowania. Te notatki ginęły, a wygraną, swoim porządkiem, zabierał.

Wracam do starca Rakowskiego, który, przywitawszy gospodarstwo, przy naszym wejściu do sali, zbliżył się następnie do ich córki i całując ją w rękę, jako solenizantkę, szepnął jakieś powinszowanie i napędził jej rumieńca po uszy.

Kiedy w tejże sali zasiedliśmy do stołu, tak się rzeczy złożyły, że mnie wypadło usiąść przy pannie

Klementynie. Przez konieczną grzeczność czułem się w obowiązku przemówić do niej.

Na rzucone moje zapytanie odpowiadając, zawsze bacznie rzucała oko na ojca, ale cokolwiek mówiła zagadnięta przezemnie, trafiało do mego przekonania.

Głośna gawęda podkomorzego z Rakowskim tłumiała naszą cichszą rozmowę i to ją więcej ośmiało. Wystawa stołu była niepospolita. Pyszne antyki srebrne w wazach, rądelkach i półmiskach, spadłe po bezdzielnym stryju Łażnińskim, łowczym wielkor., zdawały się imponować mnie, szlachcicowi, który też same naczynia, podobnie jak mój ojciec, miałem tylko w porcelanie, ale w duszy żartowałem sobie z tej impozycji.

W ciągu uczyty wytwornej wystrzelił korek od szampana. Pan Porczyński wniósł toast za zdrowie solenizantki. Podniosłem się na to hasło z moim kieliszkiem, a pannę znów okrył rumieniec. Wniosek ztąd prosty, że nie robiono przed nią tajemnicy o dziewosłębstwie Aleksandra Ilińskiego, że i u niej uznany już jestem za konkurenta o jej rękę. Co z tego będzie? Nie zgadnę. Dotąd było: *Ja sobie tak, Najjaśniejszy panie*. Pod koniec obiadu podano w opleśniałej butelce wybornego z lat dawnych węgrzyna, w jakim ja najwięcej smakuję. Powstawszy od stołu, przeszliśmy ordynkiem w tymże porządku do paradnego salonu. Tu sprzęty pokojowe o wiele były okazalsze niż w oficynie. Wszystko świadczyło o zamożności tego domu. Tam, przy czarnej kawie, gdy panna usiadła przy matce, a p. Porczyński rozmawia z Rakowskim, gospodarz bada mnie, jak też ja, przywykły do miasta, to w Warszawie, to w Krzemieńcu, który udaje Warszawę, czas mój przepędzam na wsi?

— Pewnie gospodarstwo ciąży panu?

— Przeciwnie — rzekłem — bardzo mnie zajmuje i bawi, tak dalece, że mało udzielam się sąsia-

dom, a żal mi opuszczać domu dla koniecznych zjazdów mego urzędu.

— Teraz pojmuję — przerwał mi — dlaczego ojciec pana chwalił się przedemną, żeś nie próżniak.

Krotochwilny podkomorzy w dalszej rozmowie ze mną okazał mi się nieobcym owoczesnemu piśmiennictwu. Utrzymywał gazetę i „Pamiętnik Warszawski“ Bentkowskiego. Lubo namiętnie oddany gospodarstwu, umiał to pogodzić z upodobaniem w coraz nowych książkach. Pamięć miał bardzo szczęśliwą i lubił niekiedy dosłownie przywozić ustępy z niektórych wzorów wymowy. Przytem był to człowiek bardzo towarzyski i chociaż, jak później go poznałem, zaślepiat się przydomkiem swoim *Saryusz* i herbem *Jelita*, jak ma dom ordynatów Zamojskich, z którymi on, jak drzewo genealogiczne poświadcza, w rodzinnych był stosunkach, przecież każdy szlachcic najuboższy, byle z umysłem wyższego kształcenia, chętne miał w jego domu przyjęcie. Gdy śród ciągłej z nim pogadanki spostrzegłem się, że już pora odjechać, i biorę do rąk czapkę, on mnie pyta:

— Czy pan tak spieszy do Ostroga?

— Nie — rzekłem — tam będę na noc z Hulczy we środę, to jest, pojutrze, gdzie spodziewam się zastać kolegę mego, podkomorzego ostrońskiego, który nie wiem jeszcze, czy zgodzi się na moje co do sprawy zdanie. Lecz bądź-co-bądź, mój dekret już gotowy czytać tam będę we czwartek, to jest dnia 26 listopada.

Tu pani podkomorzyna odezwała się:

— Jeśli pan wracasz do Hulczy, o kilka wiorst tylko, to prosimy chwilę zatrzymać się, wnet podadzą herbatę.

Pozostaliśmy przeto na herbacie, po której, zostawiając tam starego Rakowskiego, odjechałem moim powozem do Hulczy, a p. Porczyński swoim do Urwenny.

We środę po obiedzie, to jest dnia 25 listopa-

da, pożegnawszy Michała Trypolskiego i całe w Huczycy towarzystwo, udałem się o dwie mile do Ostroga. Tam, skoro przybyłem, usłużne żydki przynieśli mi zaraz wiadomość, że pan podkomorzy Szczepkowski ma kwaterę u Kapucynów. On pewnie z równem oczekiwaniem dowiadywał się o moje przybycie, bo zaledwie rzeczy moje z powozu zniesiono, już zjawił się u mnie.

Po kilku obojętnych słowach, gdyśmy zasiedli, jakby dla narady, zapytałem go:

— Czy nie wypadnie nam jeszcze odłożyć czytania naszego wyroku, aż pan przejrzy dokumenty dość liczne strony powodowej?

— Nie ma potrzeby odkładać. Ja wierzę, iż pan w edukcie do dekretu pewnie już napisanego, najrzetelniej wszystkie dokumenta stron przywodziś, a przeto proszę tylko pozwolić, abym ów dekret pański wziął do siebie dla odczytania. Jutro przed południem zwrócę go panu i zdanie moje objawię.

Podziękowałem za ufność, położoną we mnie, i przedstawiłem mu już przygotowane przezemnie do strony pozwanej obwieszczenie, że jutro mamy czytać dekret, aby i on raczył je podpisać. Poczem dobyteń ze skrzynki dokumentów mój na wierzchu dekret i oddałem mu. Pan Szczepkowski, proszony przezemnie na herbatę, która już stała na samowarze, nie chciał i chwili zatrzymać się, tak mu pilno było natychmiast zasiąść do czytania na osobności danych mu kilku arkuszy mojego pisma. Tymczasem przybył z Hremiacza były podsędek, pan Jan Sleszyński, umocowany ze strony senatora hrabiego Ilińskiego, przywieziono też na moją kwaterę z Romanowa cały przybór kuchenny i kredensowy, pamiętano bowiem o wszelkich dla mnie wiktuałach i wygodach.

We czwartek, dnia 26 listopada, po rannym obiedzie przybył do dworku, gdzie ufundowałem mo-

ją juryzdykcyę, pan podkomorzy Szczepkowski. Byliśmy sam-na-sam.

On oddaje mi mój dekret i rzece:

— Przebacz, panie, że nie mogę zgodzić się na jego w tej sprawie decyzyę, a przeto, lubo z wielką dla mnie przykrością, lecz wedle mego przekonania, odmienną moją opinię czytać będę.

Robię mu uwagę, że mój dekret nie stanowi jeszcze granicy między przedmieściami a miastem, że nie mając dokładnej informacyi z literalnych dowodów, czy strona powodowa posiada swój majątek w granicach używanych wówczas, gdy te przedmieścia obejmował generał Ferzen, a to jak przyznał senatorowi Ilińskiemu ukaz senacki roku 1801, dla braku dostatecznych dokumentów, wedle przepisu prawa, uznają tylko potrzebę stawienia obustronnych świadków, dla przekonania się, jakie było używanie granic lat temu trzydzieści, to jest przy intromisyi pana Ferzena 1795 roku.

Na to mój kolega:

— Tak, panie, a ja z pewnej wiadomości ubocznie powziętej przekonałem się, że dziedzic miasta Ostroga, po roku 1795, nie zajął ani kawałka ziemi do przedmieść należącej i dlatego czynność strony powodowej uznałem za nienależytą.

Dziwnem się dla mnie wydało to nadanie wiary jakiejś wiadomości ubocznie powziętej, a niczem nie wspartej, Ale daremne były moje przedstawienia i logiczne rozumowanie: obadwa niezachwianie przy swoich pozostaliśmy zdaniach. W końcu powiedziałem mu tylko, że skoro on nie cofa rozpisu, to żadna z naszych opinii nie jest jeszcze ostatecznym dekretem, albowiem wedle konstytucyi 1768 roku, trybunał, a dziś wołyński sąd główny cywilnego departamentu, wyznaczy podkomorzego z jakiegobądź powiatu na zjazd w tej sprawie, a którą z naszych decyzyi uzna ten podkomorzy za słuszną i zgodną z prawem, ta stanowić będzie ostateczny dekret.

Sprawa ta obudzała powszechną w Ostrogu ciekawość. Przybyli do juryzdykcji naszej członkowie sądu powiatowego i sądu niższego, zjechało bawiących kilku obywateli w mieście dla własnych tam interesów, pomiędzy którymi wszedł podeszłych lat Rosyanin, którego mi prezentował jeden z obywateli, jako dymisyonowanego generała. Posadzilem go tuż obok siebie. Później powiedziano mi, że on był wysłużonym urzędnikiem w wydziale prowianckim i przez długie w tym zawodzie lata uzyskał tytuł rzeczywistego radcy stanu, co odpowiada randze generała. Usiadłszy przy mnie, opowiedział mi, że niedaleko od Ostroga posiada prawem zastawy wioskę pana senatora Ilińskiego, i że umyślnie tu przybył z ciekawości, czy senator wygra połowę miasta Ostroga.

Ten gość stał mi się pamiętnym z dziwnej sceny, jaka zaszła pomiędzy nim a podsędkiem Sleszyńskim. To zdarzenie opisałem najrzetelniej w artykule pod tytułem *Adwokat*, umieszczonym w „Gazecie Polskiej“ z czasów redakcyi I. J. Kraszewskiego.

Gdy oczekiwany plenipotent księcia Karola Jabłonowskiego przybył do nas, zacząłem ogłaszać mój dekret. W ciągu czytania mego wszedł Aleksander Iliński i nie zważając na dostojność naszej juryzdykcji, podchodzi z rubaszością ku mnie i przerywając czytanie, zapytuje, czy z nim pojedę.

— Zaczekaj! — rzekłem oburzony — wszak widzisz, co mnie zajmuje.

— Dobrze, dobrze, ja odjadę do miasta i za chwilę wrócę,

To powiedziawszy, odjechał. Dokończyłem mój dekret, następnie pan Szczepkowski odczytał swój dziwny rozpis. A gdy słuchacze nasi zaczęli nas żegnać, plenipotent księcia Karola Jabłonowskiego prosił mnie w imieniu swego pryncypała, abym mu pozwolił do dnia jutrzejszego zatrzymać u siebie mój dekret. Ponieważ zaś miałem zaraz wyjeżdżać do

Korostowy, przeto poleciłem panu podsędkowi Sleszyńskiemu, aby ów dekret przyjął nazajutrz do siebie. Gotów już byłem do podróży, oczekuję tylko na mojego swata, który gdzieś w mieście załatwia swoje interesy. Wtem lokaj mój wchodzi ze smutną wiadomością, że jeden z moich koni mocno zachorował. Przybył wezwany konował. Upewnia, że konia wykuruje, byle dziś nie zaprzęgać go, aż jutro. Nająłem Żyda furmana do mojego powozu i czekam tylko już zniecierpliwiony na Aleksandra Ilińskiego. Chodząc samotny po izbie żydowskiej, z uśmiechem zapytuję sam siebie, po co mi tak pilno do tej Korostowy? I przywiódłem sobie owe z lat młodszych najszybsze wzdychania, gdym dojeżdżał do Wołoczyńca, do Kotelanki lub do Krzywicz. Najpierwsza z nich obudziła pierwotny w moich dwudziestu latach pociąg, przez lat pięć karmiony wyraźną jej życzliwością. Nie dziw, że nie zważając na grożące przeszkody, leciałem jak komar do światła. To uczucie dla niej najpiękniejszym było kwiatem młodości mojej.

Dwie następne zrecznie mnie zwodziły. Ale dziś po co spieszę? Mamże przybrać maskę zakochanego? Uchowaj mnie Boże!... I zaśmiałem się, przypomniawszy sobie słowa Józefa Wyleżyńskiego na sejmie do króla: — „To ja sobie tak, N. Panie.— Doczekałem się nakoniec mego towarzysza. Siadam z nim do jego kocza, a mój idzie za nami. Mocno już pociemniało, godzina siódma, a z Ostroga do Korostowy jest dwie mile. Nierad sam sobie, milczę w tej podróży i w końcu udaję śpiącego. Towarzysz mój nie wie, że już poznałem się z państwem Łaznińskimi, że już dwa razy w tym tygodniu byłem w ich domu. Milczę o tem, aby po przybyciu do nich zdziwić go, że nie potrzebuję prezentacyi. Zajeżdżamy przed oficynę, bo z jej tylko okien uderzało światło. Zastaliśmy razem oboje i ich córkę.

Pan Aleksander prezentuje mnie państwu Łaznińskim. Gospodyni z uśmiechem na to przemówiła:

— O! znamy się już, znamy z panem podkomorzym.

Swat osłupiały pyta, patrząc na mnie:

— Gdzie? Kiedy?

— Miałem — mówię mu — przyjemność być tu w niedzielę i w poniedziałek.

— Widzisz panie Aleksandrze, iż pan Kono-packi grzeczniejszy jest od pana, bo pamiętać raczył o dniu imienin naszej córki — rzekła gospodyni.

Trafiliśmy już po wieczery. Niebawem podano ją dla nas. Pan Łazniński, wiedząc już odemnie o treści mego dekretu, był ciekawy wiedzieć, czy pan Szczepkowski zgodnie go podpisał, i wydziwić się nie mógł jego nedorzecznemu rozpisowi. Po naszej wieczery gospodarz wezwał mego towarzysza do siebie na marysza, a ja pozostałem w oficynie z damami. Bawiłem je gawędą, badany o sąsiadów moich i krewnych. Panna Klementyna ciągle była milczącą. Domyślić się jeszcze nie mogłem, że tam przy rodzicach dzieci ozwać się nie śmieją. Gdy dostrzegłem na zegarze, iż blisko już północy, zabierałem się do pożegnania ich, gospodyni zadzwoniła i wchodzącemu lokajowi poleca, aby mnie odprowadził na nocleg.

W tejże oficynie była z drugiego końca sala bilardowa, dobrze ocieplona, gdzie zastałem mego lokaja Rudnickiego, który tam na mnie oczekiwał przy mojem już zastaniem łóżku; drugie także oczekiwało Aleksandra Ilińskiego. Najspokojniej zasnąłem. Dziś mnie to zastanawia, bo przecież było nad czem pomyśleć, chociaż ustalonego zamiaru nie miałem. Ale on mógł się nim wydawać, zwłaszcza po uprzedzeniu o nim państwa Łaznińskich przez swata, o czem on doniósł mi listem swoim, i po tej trzeciej w jednym tygodniu bytności tam mojej.

Nazajutrz, to jest dnia 27 listopada, budzę się

rano i widzę łóżko pana Aleksandra nietknięte, jak było z wieczora.

Wchodzi jego lokaj, pytam:

— Gdzie twój pan?

— Oto już idzie. Panowie całą noc grali w karty.

Jakoż wchodzi zmęczony bezsennością, gdy ja, dawno już po kawie, mam udać się do pokoiów pani podkomorzyny. Powitałem go żartami ze spędzonej nocy na szulerce. Nic na to nie mówiąc, spieszenie zrzuca ubranie i kładzie się do łóżka.

Widząc, że wychodzę, przywołuje i pyta:

— A co?

— Nic.

— Jakto nic?

— A cóż ma być?

— Ja tam już skończyłem o tobie.

— Winszuję ci, tylko szkoda, że bezemnie!

— Cóż to jest? Ty żartujesz! Czy nie wiesz, czem to pachnie? Będziesz musiał dać mi satysfakcję!

— Daję ci ją teraz: zostawiam cię, abyś spał.

Wyszedszy, spotkałem miejscowego lokaja, który mnie upewnił, że panie już dawnoubrane, są w bawialnym pokoju oficyny, i że on ma tam nakrywać do herbaty.

Dziwne było położenie moje. Szalony Aleksander Iliński dał mi do zrozumienia, że coś postanowiono już o mnie, gdy ja wątpię jeszcze, czy będę miał odwagę dać jakiś pozór niby starania się o związek z osobą, dla której nie mam podobnych uczuć, jakimi tchnąłem dla innych. Jak potrafię z tego labiryntu wycofać się? Niech to Bóg raczy rozwiązać!

Zastałem obie panie w pierwszym ich pokoju. Po zwykłych grzecznościach i zapytaniu gospodyni, czy wygodny miałem nocleg, najrzetelniej powiedziałem, że bez przerwy i najspokojniej spałem noc całą, gdy mój towarzysz przepędził ją u pana podkomo-

rzego, od którego w tej chwili wróciwszy, położył się w łóżko. Wkrótce podano herbatę z wyborną bułeczką, do której, lubo już po kawie, i ja należałem.

Po jakimś czasie, matka zostawiła mnie z córką. Przyzwoitość każe bawić ją rozmową. Zacząłem od badania, czy oprócz gazet i „Pamiętnika Warszawskiego“, dochodzą tu jakie nowo-wychodzące dzieła?

Na to panna Klementyna:

— Mój ojciec, chociaż bardzo zajmuje się szczegółami gospodarstwa, przecież lubi zawsze coś czytać. Ma na to w szafce pod swoim kluczem i własnych dość książek i niekiedy udzielanych mu przez sąsiadów.

— Czy przystęp do tej szafki wzbroniony jest dla pani?

— Ojciec pozwala mi czytywać niektóre. Dał mi niedawno dzieło panny Tańskiej, pod tytułem „Pamiętka po dobrej matce“, które polecił mi nietylko czytać, ale choćby po razy kilka odczytywać. Dał mi potem dwa tomiki księżnej Wirtemberskiej, p. t. „Malwina, czyli domyślność serca“.

— Widzę, że ojciec pani pozwala jej czytać romanse?

— O, wcale nie! Dając Malwinę, powiedział, że ten jeden romans pozwala mi czytać, zachęcony uwagami nad tem dziełem Jana Śniadeckiego w liście do jego synowicy.

— Czy pani znany jest ten list?

— Nie znam zupełnie żadnych pism tego autora.

— Pewny jestem, że ów list jego nie podobałby się pani. On doradza młodej osobie, aby nie polegała na podszeptach własnego serca, lecz z ufnością spuszczała się na radę rodziców i przyjaciół, na ich rozsądek, większym nabyty doświadczeniem. Ta rada stryjaska trąci przedwiecznym obyczajem.

— Mnie się zdaje, że jeśli rodzice dbają o przyszłość swej córki, to nie zechcą nadużyć swej władzy do tego stopnia, aby bez względu na odrazę i wstręt do kogoś, zmuszali ją do niemiłego jej związku. Mówią, że nikt źle nie czyni bez widoków własnej korzyści. Chyba przypuścimy tyrańską nienawiść dla córki, której rodzice cieszyliby się jej łzami przez całe życie.

Nadejście podkomorzyny przerwało naszą rozmowę.

Gdy zeszlśmy się na obiad, na zapytanie podkomorzyny, jakie było w grze wczorajszej powodzenie, towarzysz mój oskarżał losy, że mu nie sprzyjały w maryaszu.

Ona rzekła na to:

— Panowie maryaszem nazywacie faraona. Wszakże zwykle kończycie na nim grę waszą, przeciągając ją do białego dnia.

Mąż jej z naciskiem odezwał się, zasiadając do stołu:

— A pani niech swoich motków pilnuje. Co babom do tego, jak my się bawimy? Ja nie podsłuchuję plotek, o jakich sąsiadki szepczą do ucha pani, proszę więc i do gry naszej nie wtrącać się.

W ciągu obiadu, zachmurzona podkomorzyna, była milczącą, a pan Aleksander Iliński nadaremnie wesołemi dykteryjkami starał się choćby cokolwiek ją ożywić. Przy tej uczcie wypiliśmy po kilka kieliszków wybornego węgryzna, który trącił myszką, jak znawcy starość wina oznaczają. Po obiedzie gospodarz dostrzegł przez okno, że oba powozy nasze już zaszły i wnet zawołał:

— Cóż to jest! Panowie tak nagle opuszczacie nas? O! przepraszam! Nie pozwolę na to! Wszakże tobie, panie Aleksandrze, należy się rewanz.

Mój towarzysz wymówił się pilnym terminem w sprawie ważnej, jaką ma w ziemstwie ostrogskiem.

Wówczas pan Łażniński odezwał się do mnie:

— A pan już nie masz terminu do pilnowania, cóż go przynagla?

— Przeciwnie — rzekłem — mam termin bardzo nagłący. Mój furman jest Żydem, a dziś, jako w piątek, do wieczora tylko służyć mi może.

— O! na to łatwy jest środek. Proszę posłuchać życzliwej rady. Odeszlij pan Żyda z jego końmi do Ostroga i przez niego daj pan polecenie, aby furman z końmi własnymi dziś tu przyjechał. Czyliż to zła rada?

— Posłuszny tej uprzejmości pana, z wdzięcznością ją przyjmuję.

Odjechał mój swat, a ja postąpiłem, jak chciał grzeczny gospodarz, który, niekrępując się gościem, zostawił mnie z damami, a udał się „liniejką“ swoją do gumna, gdzie młóca piękną jego pszenicę. Powiedział mi tylko:

— Muszę tam wpaść niespodzianie, bo zdarza się, że korzystają z mojego zajęcia się gośćmi i okradają mnie niekiedy.

Tak zostawiony, umyśliłem bawić damy nieznaną im poezją Adama Mickiewicza, której dwa tomiki pierwszego wydania w Wilnie miałem z sobą. Czytałem im tę część „Dziadów“, gdzie autor pod imieniem Gustawa cudnie szaleje dla swojej Maryli. Dostrzegłem, że matka i córka całą duszą pochłaniają tę poezję. Pierwsza z nich przerwała mi czytanie tą uwagą:

— Pan przejęty jesteś tak silnie duchem Mickiewicza, że zdaje się, jak gdybyś jego wiersze deklamował o własnej kochance.

— Ja nie mam żadnej.

— Jeśli jej dziś niema, to była, jak nam przy najmniej mówiono.

— Nie warto mówić o tej prozie. Proszę słuchać dalszych szatów poety.

To zajęcie Mickiewiczem przeciagnęło się aż do

wieczora. Podano herbatę, na którą przybył pan Łazniński, ale nie na długo; wszedł bowiem lokaj z oznajmieniem, że w sali domu czekają go ekonom i gumieny. Po herbacie jeszcze Mickiewicz wyręczał mnie zajmowaniem kobiet. Na wieczerzę zjawił się podkomorzy. Rozmawiał ze mną o przeszłości naszej prowincyi, o pogasłych magnatach Wołynia, których domy w młodości swojej nawiedzał. Opowiadał mi szczegóły o balu w Zaslawiu, danym dla Wielkiego Księcia Konstantego przez księcia strażnika Sanguszkę. Było to w pierwszych latach bieżącego wieku, kiedy brat cesarski bawił na Wołyniu, a polskich dygnitarzów domy na wyścigi cześć mu składały huczne mi balami, na których wówczas bywał młody pan Łazniński. Mówił mi o wzorowem gospodarstwie u księcia Józefa Czartoryskiego, stolnika litewskiego, który tu pierwszy założył u siebie w Korcu fabrykę porcelany i sukna. Mówił o dziwactwach i dumie pani Chodkiewiczowej w Młynowie, która, pomnąc na to, że za czasów Rzeczypospolitej przy ogromnym majątku była starościna żmudzka, co było dostojenstwem senatorskiem, nie umiała położyć granic wysokiemu o sobie rozumieniu, że raz nowo przyjęty komisarz, jakiś cześnik w kontuszu przy karabeli, natychmiast odprawiony został za to jedynie, że mając potrzebę widzenia się z nią, wszedł do salonu przy jednym z dostojnych gości i ważył się przy nim powitać ją tak poufałym wyrazem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na takich opowiadaniach podkomorzego zeszedł nam cały ów wieczór.

Gdy odszedłem na nocleg, jakieś niezwykle roztargnienie opanowało mnie. Podczas mego rozbierania się mój Rudnicki odezwał się:

— Konie już przysły z Ostroga. Czy pan każe jutro pakować się?

— Alboż tobie tu źle?—zapytałem go.

— Gdzietam panie! Tu taka wygoda, tak pamiętają o człowieku, jak nigdzie.

Tej nocy nie prędko zasnąłem. Najprzód wystąpiła rozwaga nad sobą, że już minęły lata młodzieńczych zachwyków, a nie dobrze pozostać samemu. W roku następnym skończy się trzyletnie moje urzędowanie, które mnie jakkolwiek zajmuje i ze światem wiąże. Smutne więc, bo samotne mam przetęsknić życie. Tu zdają się życzliwi. Może będą łaskawsi dla mnie, niż dla dwóch tutejszego powiatu młodych a dobrego imienia, dość majątnych obywateli, którzy wedle opowiadania przedemną mojego swata, bywali tu przyzwoicie przyjęci, lecz skoro objawili samemu tylko podkomorzemu chęć starania się o jego córkę, on dla przyczyn sobie wiadomych, bez badania córki, najgrzeźniej się ich pozbył.

Panna wprawdzie nie obudza we mnie uczucia tak dobrze sercu memu znanych. Mam silne wyobrażenie o szczęściu ze związku w miłości wzajemnej. Jest to raj, który Bóg w najwyższej dobroci swojej dla wiośnianych lat człowieka, jakby w nagrodę prawości, przeznaczył raczył. Ale ten raj już nieprzystępnym jest dla mnie, już zacząłem rok trzydziesty szósty. Tu przywiódłem sobie w tak nadziejskiem szczęściu skojarzone małżeństwa, a po ścisłym rozbiórze ich pożycia pokazało się, że w lat kilka owe uniesienia miłosne zmieniły się w poufałą tylko zażyłość. A więc, kojąc żale za niecofniętą przeszłością, wyrzekłem:

— Wolę zacząć od tego, na czem tamci skończyli, a może za pomocą Boga jej rozsądek i przychylność podtrzyma na niedługą zapewne resztkę mego życia zgodność w zasadach i myśli, co stanowić będzie mój pokój domowy. Dziś o to tylko idzie, czy mam na czas dalszy odkładać oświadczenie się pannie, dla lepszego niby poznania się. Cóżbym zyskał na tem? Może ona tego zażąda, wówczas będę musiał dojeżdżać tu, aby dogodzić przysłowiu: „co

nagle, to po dyable“ i aby dać pole intrygom niechętnych. Co do mnie, tego jestem mniemania, że jak tydzień, tak rok cały nie da zgłębić charakteru panny, wszystkie one przybierają przydatne im mski. A jeśli jej ojciec, jak tamtym dwom, podobnie i mnie zechce odmówić, to lepiej zaraz, niż mam czekać na to. *Arrive ce que pourra!* a po naszymu: Dziej się wola Boża! Jutro zagadka będzie rozwiązana. Po tym namyśle zasnąłem.

Nazajutrz, to jest w sobotę, dnia 28-go listopada, wzięwszy jeszcze pod rozwagę nocne postanowienie, z westchnieniem do Boga potwierdziłem je. Po kawie w moim sypialnym pokoju wyszedłem około dziewiątej do pokojów pani podkomorzyny. Zastałem obie, jak wczoraj, już ubrane i siedzące nad jakąś robótką. Piłem z niemi herbatę. Po krótkiej, obojętnej rozmowie, matka, czując się niedomagającą, zostawiła mnie z córką. Zacząłem z nią rozmowę od tego:

— Czy nie śnił się pani Gustaw oszalały? Uważałem wczoraj, że mocne sprawił na niej wrażenie.

— Tak, istotnie mocne. Ale te gwałtowne uczucia zajmują mnie w tym sposobie, jak sztuczne ognie, jak fajerwerki. Lubimy patrzeć na nie z zajęciem, a po chwili, gdy zgasną, ciemność staje się nam okropniejszą.

— Bardzo trafne porównanie. Ono mnie ośmiela do pomówiania z panią w ważnym dla mnie przedmiocie i aby nie stracić swobodnej chwili, wzywam jej łaskawej uwagi na moją otwartość. Rodzice pani raczą dla mnie okazywać uprzejmość. Z kilku rozmów z panią mam wyobrażenie o chlubnych jej pojęciach moralnych, zupełnie zgodnych z mojemi. Doświadczenie nauczyło mnie, że to przekonanie o niej byłoby ciągle podtrzymywane, gdybym tu rok lub dwa nawet lata dojeżdżał dla lepszego niby z nią poznania się. Dlatego więc wolę, nie zwlekając, dziś objawić pani, że powziąłem dla niej szacunek i że

pragnę otrzymać jej wzajemność. Ale razem w sumiennym czuję się obowiązku, że komedyi odgrywać nie będę. Ja przyjaciel pani chcę jej przyjaźni, a wcale nie kocham się w pani.

Serdecznie zaśmiała się na tak niespodziane oświadczenie się, które ją przecie nie obraziło, bo po śmiechu tak głośnym, że i matka jej, leżąca w drugim zamkniętym pokoju, posłyszeć mogła, wnet, przybrawszy poważny ton, rzekła:

— Szacunek pana, o jakim zapewniać mnie raczysz, bardzo mi pochlebia i dostatecznym jest dla mnie. Łatwo więc pan domyślisz się, że wzajemność moja będzie najszczerzą. A co do zakochania się we mnie, powiem panu, że zwierciadło, którego muszę codziennie użyć do ubioru, oddawna mnie przygotowało do tej prawdy, którą pan, nie grając komedyi, raczyłeś objawić. Nigdy przeto nie wierzyłabym, aby powierzchowność moja miała obudzić miłość w kimkolwiek, a szczególnie w panu.

Tu z uśmiechem spojrziała mi w oczy.

— Dlaczegoż we mnie szczególnie?

— Bo dochodziły do nas wieści, że osoby, dla których pan silniejsze objawiałeś uczucia, znane nam są i w pięknych jego wierszykach odznaczały się niepospolitą pięknnością.

— Porzućmy przeszłość. Wracam do rzeczy. Jeśli mój szacunek rzeczywiście dostatecznym jest dla pani, czy to ma znaczyć, iż wolno mi starać się o jej rękę?

— Co do mnie, ja także udawać nie umiem; mówię otwarcie, że najszczerzej panu sprzyjam. Lecz mój los od woli rodziców zależy.

Ucałowałem jej rękę podwakroć i przyszło mi na myśl, że nie czytała listu Śniadeckiego do synowicy i tak rozsądnie wedle jego prawideł postępuje. Zapytałem, czy teraz wolno mi wejść do pokoju jej

matki? Weszła tam i po chwili wróciwszy, odczuwała się:

— Mama przeprasza, że czując się chorą, wejść tu nie może z powodu ciężkiego bólu głowy i prosi pana do siebie.

Zastałem podkomorzynę w pełnym ubraniu, jak była, z głową tylko obwiązaną i leżącą w łóżku. Oświadczyłem krótko chęć związku z jej córką. Najlaskawiej to przyjęła, lecz po stanowczą decyzję odesłała mnie do swego męża. Wnet z oficyny odszedłem do dworu. Zastałem podkomorzego nad książką. Po grzecznych powitaniach, nie tracąc czasu, powtórzyłem słowa, powiedziane jego żonie. Podkomorzy z widoczną radością uściskał mnie i zapytał:

— A z Klementyną mówileś pan o tem?

— Tyle przynajmniej, że mnie ośmieliła szukać zezwolenia rodziców.

Na to rzecze mi z uśmiechem:

— Ale ja pana nie prędko od nas wypuszczę, boś zbałamucił mi córkę i gotów jesteś zaniechać ją.

— Przebaczy pan, że pomimo szczerzej chęci zabawienia tu, muszę rychło wracać do domu dla własnych pilnych interesów.

Powróciłem do oczekującej mojej narzeczonej, której, jak dostrzegłem, dobrze już było wiadome sprzyjanie jej rodziców mojemu zamiarowi. Gdy do pory obiadowej bawiliśmy z sobą sam na sam, dowiedziała się odemnie, że mam pilną potrzebę jutro wyjechać, aby najrychlej widzieć się z moim jurysdaktorem, generałem Giżyckim, dla zamówienia sobie na drugie trzy lata dzierżawy mojej w Czezelówce, doszła bowiem wieść do mnie, że inni ubiegają się o tę posesyę do następnego 1826 r.

— Proszę pana!—rzecze mi—jeśli to być może, wstrzymaj się pan przez jutrzejszą niedzielę. Będzie to oktawa pierwszej naszej a tak pamiętnej dla mnie znajomości.

Chętnie uległem temu jej żądaniu, a ona wy-

szła do matki, potem do ojca, aby ich nogi ucałować.

Gdy na obiad wszedł podkomorzy, gdzie żony jego z powodu bólu głowy nie było, ozwał się do córki:

— No, Klementyno, złapałaś kawalera, ale nie na tem sztuka! Umiej go opętać, aby nie zemknął, to wtenczas przyznam, żeś tęga.

— Ja o to spokojna, bo dzięki Bogu, już nie będę brzydszą, niż jestem.

— Nie udawajno tak skromnej. Podobno każda z was, choćby najszpetniejsza, ma się za piękność.

Odezwałem się w jej obronie.

— Skoro to mniemanie o sobie jest wszystkim kobietom właściwe, widać, że Bóg chciał, aby one więcej niż my dbały o swoją powierzchowność.

— A tak, tak! Dbają też o to, aby kogoś opętać. Ale zapytaj pan księdza, a on przyzna, że to jest sprawa szatana, który nas do pokusy wiedzie i na dowód ksiądz zacytuje raj utracony z łaski pani Ewy.

Chciałem dodać, że biada nam! Winą bowiem jest naszą, jeśli całą wartość kobiety przywiązujemy do jej twarzyczki, że są inne a trwalsze zalety, stanowiące szczęście w pożyciu. Ale córka jego, siedząca naprzeciw mnie u stołu, zlekka poruszyła głowę i tak znacząco spojrziała na mnie, żeśm pojął jej radę, aby zamilczeć. Potem, gdyśmy sami pozostali, powiedziała mi, że jej ojciec nie lubi, kiedy mu kto w czemkolwiek zaprzecza.

Bawiłem ją czytaniem niektórych ballad Mickiewicza, które ją mocno zajmowały. To czytanie przeciągnęło się aż do herbaty. Gdym ją zapytał, jakie ona ma mniemanie o poezji w ogólności, ona na to:

— To wszystko, co tu z ust pana wyszło, dzięki jemu i Mickiewiczowi, bez porównania miłsze na mnie robi wrażenie, niż najpiękniejsza muzyka. Ale

co do samego poety, to wnoszę, iż on szczęśliwy, w takim jest zachwyceniu, tak rad własnym myślom, jak młoda matka z niemowlęciem na ręku, gdy dostrzeże pierwszy jego uśmiech.

Nadszedł podkomorzy na herbatę, a gdy się dowiedział, jaką mam książkę w ręku, prosiłem go, aby posłuchał ballady o Twardowskiej. Domyślałem się, że ta poezya spodoba mu się. Jakoż nadzwyczaj ucieszył się, że sam dyabeł czmychnął dziurką od klucza przed złą kobietą. W końcu zawołał:

— Kocham Mickiewicza, że złą kobietę przedstawił straszną dla samego nawet szatana! Oto tak trzeba ją czasem ocknąć ku poprawie. Dawniejsi poeci, jak Karpiński, Książnin, a nawet dzisiejszy generał Kropiński przedstawiają w ogólności te połowice nasze jakby ród aniołów. To licha warto! Pochlebstwo wiedzie do wysokiego o sobie rozumienia i ztąd niepokój w domu, bo czasem głupia, jak stolowa noga, sądzi się głową ponad męża. O! znam podobne żoneczki!

Chciałem przemówić, że czasem niepokój domowy bywa z powodu niestałości męża, a zaniedbana w kwiecie wieku, przestaje być aniołem i mści się jak może krzywdy swojej. Ale wstrzymała mnie pamięć na uwagę córki jego, że on nie znosi, gdy mu kto w czem zaprzecza.

Ten jego absolutyzm trochę mnie zastraszył. Czyż miałbym się wyrzec we wszystkim mojego zdania? Ale się pocieszałem tą myślą, że żyć z nim nie będę.

Odszedłszy na nocleg do bilardowej sali, uderzony byłem nową dla mnie myślą, że ponieważ doznaję tu wiele grzeczności i także co do moich zamiarów łatwość, przeto może mnie mają za bogatszego niż jestem, może w ten błąd wprowadził ich mój urząd, niezgodny z arendowną posesyą. Ztąd postanowiłem jutro rano objawić panu Łaznińskiemu istotny mój fundusz

Nazajutrz rano wahałem się nad spełnieniem myśli, wczoraj wieczorem powziętej. Przyszła obawa, aby nie mniemano, iż dlatego odkrywam małe moje mienie, aby ich przygotować do koniecznej potrzeby posagu natychmiast po ślubie. A rzeczywiście ani to w głowie mojej powstało. Inne ja miałem tu marzenia. Zajmował mnie los wdowi mojej narzeczonej, bo przy wątpliwym zdrowiu mojem zdawało się, że niedługo pożyję, a przeto jakikolwiek posag jej przeznaczą, będzie to jej własność, której ja używać nie mam. Bądź co bądź, postanowiłem wyprowadzić z błędu pana Łaznińskiego co do funduszów moich. Wypiwszy kawę przyniesioną dla mnie, gdym się dowiedział, że podkomorzy już ją pił także, udałem się do niego i oddawszy mu zwykłe dzień dobry, mówię mu:

— Uważam sobie za obowiązek wyprowadzić pana z mylnego mniemania, do jakiego mój urząd mógł dać powód. Zwykle na tę godność obierają posiadacza w ziemi jakiegobądź majątku, ja zaś nie mam żadnego. Trzymam niewielką dzierżawę, a przysięgam, że cokolwiek mam w kapitale.

On mi na to:

— Masz pan swój kapitałik? Tem lepiej dla pana! Ja byłem pewnym, że nic nie masz. Ale ta od niego wiadomość obojętną jest dla mnie. Pan u mnie z osoby swojej tyle masz zalet, że gdybyś tylko cztery konie swoje i to jedyne ubranie na sobie, to wyżej go cenię nad pana Romualda Pr..., który jest bratem naszego marszałka, i nad pana Franciszka Cz..., którzy, jeden po drugim, uderzali do mnie o rękę mojej córki, ale nadaremnie, lubo dziedziczne posiadają wioski. Czy masz co, lub nie masz, moja córka będzie miała oznaczony posag. Ale ponieważ mówimy o tem, potrzeba, abyś pan wiedział, że związek wasz nie prędzej nastąpić może, jak za pół roku, to jest w maju lub w czerwcu. Konieczna wyprawa wymaga pewnego czasu dla przyzwoitego

jej przygotowania. Dodam jeszcze ważną dla mnie okoliczność. Gość w moim domu zawsze chętnie jest przyjęty, lecz nie na ślubowiny mej córki. Wydziwić się nie mogę, kiedy ludzie, zda się, rozsądni, a przecież przy akcji tak uroczystym wystawiają córkę swoją na widowisko publiczne. Uprzedzam, że tu, prócz koniecznych świadków, nikt zaproszony nie będzie. Po zapowiedziach ślub cichutko dopełni się w Tajkurach, w kościele parafialnym. Racz pan zastosować się do tej chimery mojej, jeśli to tak nazwiesz, i nie wzywaj od siebie nikogo z rodziny i przyjaciół swoich. Zostawmy huczne wesela chłopkom naszym, których jedynem jest szczęściem upoić się aż do upadłego.

Najchętniej zgodziłem się na to.

Opowiedziałem przed narzeczoną tę całą rozmowę moją z jej ojcem, a ona uściskawszy rękę moją, tak spojrzała na mnie, tak serdeczne było wylanie uczuć z jej oczu, żem się uczuł panem jej duszy.

Wieczorem, gdy byliśmy sami, Klemunia moja, już spoufalcona ze mną, mówi mi:

— To jutro jakże straszne dla mnie! Nigdy nie żałowałam aż dopiero dziś, że jestem nieładną.

— Zkądże ci ta myśl przyszła?

— Boś ty bywał zajęty pięknościami, a o mnie, odjechawszy, zapomnisz!

I łzy się jej puściły.

Najuroczyściej ją upewniałem, żem nie bałamut, że najdalej za dwa tygodnie powrócę i tu świętować będę. Mocno łzami swojemi przemówiła do mojego serca. Starszy od niej o lat szesnaście, nie mogłem obiecywać sobie, aby młode dziewczę tak mną zająć się miało.

Dnia 30 listopada, w poniedziałek, t. j. w oktawę imienin Klemuni, po ciepłym śniadaniu wyjechałem z Korostowej. Dodam tu jeszcze o łzach mojej narzeczonej. Gdy już powóz mój zaszedł przed ga-

nek, ojciec jej dostrzega, iż ona, spojrzawszy w okno, chustką swe oczy osłania. A więc zaczyna z niej żartować:

— Cóż to jest? Aspanna widzę zakochałaś się! Jakże ci nie wstyd, Klemetyno! Kawaler odjedzie, i kto wie, może tu nigdy nie wróci, a w takim zdarzeniu rozgłosi po świecie dla chluby swojej, żeś za nim płakała.

— Niech pan — rzekłem — raczy nie żartować z nas obojga w sposób tak mnie krzywdzący.

Pożegnawszy podkomorstwa, ucałowałem po trzykroć rękę ich córki, i puściłem się do domu.

W przejeździe wstąpiłem do Szulajek. Radość nadzwyczajną sprawiłem dobrym siostrom moim wiadomością, że mam już przecie żenić się. Pojąć nie mogły, jakim to cudem stało się tak prędko, wiedziały bowiem, że ojciec nasz tylko poznał był w Romanowie pana Łażnińskiego, a ja nigdy nie byłem wprzód u niego i córki jego nie znałem. Prosiłem siostr, aby zachowały w tajemnicy przed wszystkimi sąsiadami moje za pół roku ślubowiny. U nich zastałem znaczny już postęp w przygotowaniach wyprawy dla młodszej. Tam przenocowawszy, śpieszyłem na chwilę do siebie, aby zajrzeć tylko do gospodarstwa.

Nazajutrz rano obejrzałem cokolwiek moje gospodarstwo i puściłem się o cztery mile do Moloczek. Zastałem tylko samego generała. Żona jego wyjechała w przeddzień w odwiedziny do pani generalowej Karwickiej, przybyłej z Mizocza na czas jakiś do swego Lubaru. Juryzdator, jak zawsze, łaskaw na mnie, upewnił, że nikomu innemu, tylko mnie wypuści Czechelówkę na drugie trzy lata, od stycznia następnego 1826 roku, chociaż brat mój, Franciszek, już nie zamierza brać nadal w dzierżawę wsi Kustowiec, które to obie wioski razem były wypuszczone.

Generał Giżycki był bezdzietny. Żona jego, z domu Ilińska, starego senatora Ilińskiego rodzona siostra, wzięła była pod swoją opiekę dwie sieroty,

jedną rodem Niemkę, a drugą pozostałą córkę po zubożalym z okolicy obywatelu. Obie one, już wówczas na wydaniu panny, najwykwitniej były wychowane i miały być wyposażone przez swoją opiekunkę z jej posagowej sumy, na majątku generała ubezpieczonej. Widywałem je nieraz u stołu, bywając tam na obiadach. Lecz ani domyślić się nie mogłem, o czym powiedziano mi z boku, że jedna z nich, Polka, była przez opiekunkę przeznaczoną dla mnie, a druga, córka Niemca, dla przyjaciela mego, Konstantego Piotrowskiego. Ta wiadomość doszła do mnie później, gdy już byłem ożeniony. Tym razem, ponieważ pani Giżycka wyjechała z domu, przeto owe panny zostawały z niegdyś guwernantką swoją, Szwajcarką, a dziś ich towarzyszką, w dolnych apartamentach pałacu, a dla nas dwóch tylko nakryto do stołu. W ciągu obiadu generał zapytał mnie, czemu się nie żenię?

Utailem zmówiny moje w Korostowej, zbywając go tą odpowiedzią:

— Trzeba już będzie pomyśleć o tem.

W marcu dopiero, następnego 1826 roku, pani Giżycka, dowiedziawszy się, że mam się żenić z panną Łaźnińską, zemściła się jak mogła za to, że m się nie starał o rękę jej wychowanki.

Gdy przy poobiedniej czarnej kawie podano nam fajki, generał Giżycki dostrzegł przez okno zbliżającą się karetę i zawołał:

— Otóż wraca! Chodźmy ją powitać!

Weszliśmy na galeryę. A skoro lokaj otworzył drzwiczki pojazdu, a pani Giżycka wysiadając z niego, ukazała twarz swoją, wnet mąż wyczytał z niej jakiś okropny wypadek i zmieszany zawołał:

— Co to jest! Co to jest!

Ona, wysiadłszy z karety, szepnęła mu coś do ucha. On rzucił się jakby sparzony, wbiega do sali, rwie sobie włosy, lata jakby szalony i wykrzykuje:

— Nieszczęście, nieszczęście! Teraz dopiero będzie piekło na ziemi! Ach, dlaczegoż dożyłem tej chwili!

Cesarz Aleksander I umarł w Taganrogu dnia 19 listopada 1825 r. Śmierć jego krótko była w utajeniu, i niebawem doszła wieść, że Wielki Książę, mając wejść w związek małżeński z Polką, panną Grudzińską, pasierbicą marszałka dworu w Warszawie, pana Brońca, zrzekł się był prawa do następstwa tronu po bezdzietnym cesarzu, Aleksandrze I-ym, i ztąd, że cesarzem Rosyi ma być młodszy brat jego, Mikołaj, ożeniony z królową pruską.

W grudniu, w przyrzeczonem terminie, przybyłem do państwa Łażnińskich, gdzie zastałem ich sąsiada, zastawnika na wsi Hremiaczu, pana podsędką, Jana Śleszyńskiego, doznającego tam szacunku i przyjaźni, a o którym wyżej wspomniałem. Co do mnie, jako po zmówinach, najuprzejmiej byłem powitany. Pan Śleszyński, winszując mi zamierzonego związku, zapytał dość głośno:

— A czemuż na palcu pana nie widzę zaręczalnego pierścienia?

Pani Łażnińska dosłyszawszy to, odezwała się:

— Słuszną pan podsędek zrobił uwagę: wypada wedle zwyczaju uświęcić zmówiny pierścieniem.

Podkomorzy na to:

— Ja znosić nie mogę żadnych pierścionków, a przeto do tej babskiej rzeczy nie mieszam się.

Z tem wszystkiem matka panny włożyła na mój palec jakąś złotą obrączkę, za którą ucałowałem ją w rękę. Lecz abym narzeczonej dał pierścień, nie byłem na to przygotowany. Pan Łażniński, dostrzegłszy to, zawołał, śmiejąc się:

— A widzicie państwo, jak tem dzieciństwem staroświeckiem narobiliście mu kłopotu.

Śleszyński zarządził temu: dał mi swój ślubny pierścień z napisem *Concordia*, i ten podałem mojej narzeczonej.

Wesolo mi tam przeszły święta Bożego Narodzenia, mianowicie tem pamiętne dla mnie, żem dostrzegł żywsze, serdeczniejsze zajęcie się mną mojej dobrej Klemun'. Przybył przy mnie pan szambelan Plotnicki. Starzec ten, dworak niegdyś Stanisława Augusta, poufałym był przyjacielem pana Łażnińskiego z czasów jeszcze jego młodości. Na zasadzie tak dawnych stosunków, czynił od dwóch lat daremne zabiegi, aby jednego z synów swoich, Antoniego, ożenić z panną Łażnińską, którego ona cierpieć nie mogła, i o ratunek od tej napaści, jeszcze za życia pani podczaszyny Podhorodeckiej, udawała się do niej. U niej bowiem, w Hulczy, podobnie jak jej matka, od lat dziecinnych początkowe biorąc wychowanie, pewną była protekcyi. Jakoż pan Antoni zaniechał częstych wprzód wizyt w Korostowej. Dodać tu wypada, żem tym razem zastał zmianę co do mieszkania pani podkomorzyny: wyniosła się z córką z oficyny do dworu, a pokoje, przez nie zajmowane, przeznaczono dla gości. W pierwszym z nich miałem łóżko, a tuż o ścianę w drugim pan szambelan, i przez mój niekiedy przechodził do swego, lubo miał osobne drzwi na korytarz. Zdarzyło mi się raz, żem wprzód, niż on, spać poszedł. On później przechodząc przez mój pokój, trafił na tę chwilę, gdym zmieniał na sobie dzienną bieliznę na nocną, która istotnie była dość wysłużoną, a na co ja wcale nie zwracałem uwagi. Nazajutrz szambelan, wcześniej niż ja wszedłszy do podkomorzego, zawołał ze zgrozą:

— Co też ty robisz, panie Łukasz! Wydajesz córkę za wierutnego golca! Nie wiesz, co się dzieje! Wszakże on niema całej koszuli na grzbiecie! Widziałem wczoraj, jaką brał na noc, dziurawa jak zepsuty przetak i cera na cerze!

Na to podkomorzy:

— Ucieszyłeś mnie tą wiadomością! On Kle-

mentynę więcej jeszcze polubi, gdy mu ona sporządzi nową na noc bieliznę.

Córka w drugim pokoju, siedząc nad swoją robotką, słyszała tę ich rozmowę, i potem z wielką radością przedemną ją wyszeptala.

W ciągu tych świąt pan Witalis Porczyński, brat pani podkomorzyny, dojeżdżał tam z parę razy. Byłem też z panem Łażnińskim u niego w Urwenny, w starym jeszcze domu, obok którego już była napoczęta budowa o piętrze pałacyku, który w dwa lata później stał się głośnym na całą okolicę tak z milej dla oka architektury, jako też z ozdób wewnętrznych, co wszystko z otaczającym go ogrodem angielskim piękną formowało całość z porządnie utrzymywaną, lubo niewielką wioską, gdzie chaty włościan pod linią, w kształcie dworków o murowanych kominach, miały po obu stronach ganków czyste ogródki, jaśniejące kwiatami. Ale na cóż to wszystko przyda się tam, gdzie niema szczęścia domowego?

Poznałem panią Porczyńską, młodą jeszcze osobę, z domu Podhorodecką, która wprzód była za panem Bartoszewiczem. Pan Porczyński rozmiłował się w jej nadzwyczajnej piękności i z wielkim trudem, ze znacznym kosztem rozwiódł ją i z nią się ożenił.

Na jej biedę, gdy już miała z nim córkę, ciężka ospa ją dotknęła, która taką jej twarz okryła szpetnością głębokich brózd, że ile razy spojrzala w zwierciadło, zalewała się łzami. Ztąd wynikł jej niesmak w życiu i ponure na ludzi wejrzenie.

Moja dobra żona mawiała mi:

— Jak ja dziękuję Bogu, że raczył nie dać mi owej cudnej piękności, jaką mnie wujenka moja Porczyńska zachwycała. Wówczas mąż jej o nic ją nie oskarżał, a gdy w jej twarzy okropna nastąpiła zmiana, już ona stała mu się nieznośną i dlatego z Urwenny przeniósł ją na część swoją do Hulczy, gdzie samotna za dawną uludę pokutuje.

Gdy zaręczony, świętowałem w grudniu 1825 r.

w Korostowej, będąc raz sam na sam z moją narzeczoną, przedstawiłem śmieszność, gdy ktoś, żeniąc się przy skromnym funduszu, występuje po żonę z paradnym ekwipażem. Dostrzegłszy jej tylko uśmiech na to, zapytałem, czy ona lubi podobną wystawę?

— Co do mnie—rzekła—gdybyś wozem drabiniastym zajechał po mnie, byłabym szczęśliwą byle z tobą. Ale nic przed tobą ukryć nie mogę. Przebacz matce mojej! Powtórzę ci jej słowa, wyrzeczone w sekrecie przed moim ojcem. Szepnęła mi raz: — Gdyby pan podkomorzy nie zajechał po moją córkę karetą i sześciami końmi pięknymi, bardzoby mi przykro było!

Ale proszę cię, ażebyś ty nie uważał za konieczność tego wymagania, które ona w duszy musi uznawać za niestosowne, skoro je ukrywa przed moim ojcem.

Upewniłem ją, że ten zbytek nie zrujnuje moich funduszków, a miło mi będzie spełnić wolę jej matki.

Jakoż, wracając do domu na Szulajki, zrobiłem w tym przedmiocie naradę z moim szwagrem, Stanisławem Duninem, który wnet mi nastreczył nową a piękną karetę w Stolpowie u niedawno ożenionego z Franciszką Zagórską, pana Ignacego Jankowskiego który tylko dla chwilomej parady sprowadził z Warszawy ten powóz. Nazajutrz, o dwie tylko wiorsty, byłem u dobrze mi znajomych państwa Jankowskich i ze znacznem ustępstwem nabyłem tę karetę za pięćset rubli srebrnych. Co do odpowiednich do tego koni, mało znając się na nich, a polegałem na szwagrze moim, który lat kilkanaście służył w kawaleryi. Uprosiłem go, ażeby gdzie upatrzył dla mnie bądź cały cug sześciokonny, lub też, ażeby dobierał choćby po jednym. byle jednego wzrostu i maści, a na ich kupno i szory przeznaczyłem sześćset rubli srebrnych. Ztąd poszło w świat, że się żenię.

W lutym 1826 roku wypadła mi potrzeba być w Mołoczkach. Tam, w ciągu obiadu, pani Giżycka, otoczona swojemi dwiema pupilkami już na wydaniu, pyta mnie:

— Czy to prawda, że pan masz się żenić?

— Tak jest—odpowiedziałem.

Generał zaciekawiony, pyta:

— A z kim się żenisz?

— Z panną Łażnińską w powiecie Ostrogskim.

— O, to z Łukasza córką! Bardzo ci winszuję. Znam go oddawna, to zacny dom! i weźmiesz posag.

Generałowa z przekazem odezwała się:

— Ta panna pewnie bardzo uczona?

— Tak, istotnie — rzekłem — uczono ją czytać i pisać, umie przytem robótki domowe, a nawet na Wielkanoc potrafi upiec placki i baby. Słowem, dość uczona jak dla szlachcica.

Na ten żart gospodyni mocno zmarszczyła czoło i spuściła oczy, a mąż jej, uśmiechnąwszy się, zaczął inną ze mną rozmowę.

Gdyśmy powstali od obiadu, generał wziął mnie pod rękę i rzecze:

— Chodź do mnie na fajkę.

Tam przy kawie, śmiejąc się, przemówił:

— Ależ uciąłeś bąka u stołu!

— W czym?—zapytałem.

— Powiedziałeś, co twoja narzeczona umie, gdy moja żona tyle łożyła kosztów na wychowanie swoich pupilek! Oprócz powszechnej francuszczyzny, męczono je nad włoskim, niemieckim językiem i przy fortepianie wywodzą trele włoskie! Poprzewracało się w głowach bab naszych! Bo czy to wszystko przyda się szlachcicowi na wsi? Wybornie nauczyłeś ją, że do szczęścia w pożyciu wysoka uczoność żony nie jest potrzebna.

Ktoś jeszcze przybył z gości, ożywiła się rozmowa. Nieprędko spostrzegłem, że już się ściemniło

i w okna deszcz bębni. Grzeczny, jak zawsze, generał zatrzymuje mnie na noc. Gdy nam podano herbatę, lokaj oznajmił, że pani generałowa z powodu bólu głowy nie przyjdzie i żadna z dam już się nam nie pokazała. Po lekkiej wieczerzy, po wesołej gawędzie, która przy fajkach przeciągnęła się do późna, gdyśmy się rozeszli, przybyły gość w jedną stronę domu, a ja w drugą na dół do pokoju, gdzie zwykle nocowywałem, zastaję drzwi od korytarza zamknięte. Gdy błąkam się, nie wiedząc gdzie mój lokaj, wchodzi na korytarz z przeciwnej strony służący miejscowy z latarnią w ręku i rzece:

— Pokój, gdzie pan zwykle sypiał, przeznaczono dla damy, która może w nocy przyjedzie, ale ja zaprowadzę pana tam, gdzie już posłano dla niego łóżko.

Sądziłem, że o kilka lub kilkanaście kroków. Na dworze wiatr silny ze śniegiem i deszczem, a na mnie frak tylko. W takim ubraniu przeziębły i zmokły, idę za światłem latarni więcej niż kwadrans, aż na sam koniec ogrodu. Przewodnik wprowadza mnie do pustej, opuszczonej przez ogrodnika chaty, gdzie zastał śwad i dym, bo mokrą słomą zapalono w piecu dawno nieopalanym. Mój Rudnicki, schowawszy za piec świecę, ażeby jej wiatr nie zgasił, otworzył okno.

Skoro przewodnik wyszedł, następuję na mego Rudnickiego o to, że przyjął taką dla mnie kwaterę, a on mi na to:

— Stało się to, panie, bezemnie. Łóżko było już posłane, gdzie pan sypiał zwykle. Wyszedłem tylko na moment z pokoju, a wróciwszy, zastałem drzwi już na klucz zamknięte. W kredensie proszę o klucz, a lokaj, znany mi dobrze, szepnął do ucha:

— Jejmość czegoś rozchimerowała się. Niby ten pokój dla kogoś potrzebny, wszak w pałacu tyle jest jeszcze pokojów gościnnych. Pościel twego pa-

na kazala wynieść do pustej chaty ogrodnika, a z nią niema rady.

— Aha!—pomyślałem—nikczemna zemsta bab-ska za mojego baka przy stole!

Może kto inny na mojem miejscu, bez względu na porę spóźnioną, na ciemność zupełną, na burzę ze słońcą, wysłałby swego lokaja po konie, aby wnet choćby do karczmy wyjechać. Ja, zaśmiałem się tylko z tej zemsty. Kazałem zamknąć okno, zgasić świecę i prędko zasnąłem.

Nazajutrz do dnia, z nikim nie widząc się w pa-lacu, odjechałem do domu. Pewnie generał Giżycki nie dowiedział się o tym wypłaćnym mi siglu swej żony.

W marcu 1826 roku udałem się do Krzemień-ca dla podnowienia mojej garderoby, tam bowiem, jako w sąsiedztwie Brodów, tańsze były towary niż w Berdyczowie, a nadto wówczas, w tej niby małej Warszawie, dla zbiegowiska zamieszkałych z trzech gubernii majątnych domów i dla samych uczniów licealnych z górą siedmuset, nietrudno było o wy-bornych krawców.

Nazajutrz była niedziela. Po rannej kawie uda-łem się do licealnego kościoła i usiadłem w ławce, gdzie przez trzy lata mieszkając w Krzemieńcu, sia-dywałem. Po chwili weszła jakaś dama z córką i zajęła miejsce tuż obok. Spojrzeliśmy sobie w oczy, i wnet mnie powitała tym poufałym wyrazem:

— Jak się masz, kochany Szymonie!

Uchyliłem głowę, lecz zarazem okazałem zdziwie-nie, bo zda się nie znam jej.

— Ty, widzę, nie poznajesz krewnej swojej, Li-twińskiej?

— Przebacz pani! — podchwyciłem — mój krótki wzrok nie dozwolił rozeznac rysów jej twarzy.

— Czemu raczej nie powiedziałaś tej prawdy, zem się o wiele zestarzała przez te lat jednaście od daty poznania się naszego w roku 1815 w Bludowie.

na ślubowinach twego brata Antoniego z Teleżyńską. Widzisz tu dowód poważnych lat moich w tej obok mnie córce, dla której, ku dokończeniu starannego jej wychowania, tu zamieszkałam. Ale, ale: mówiono mi, że masz się żenić z panną Łażnińską. Wnoszę, iż dobrałeś sobie towarzyszkę godną ciebie, a więc wysoce uczoną.

— Naprzód należy wiedzieć — rzekłem jej — że ja nie mam prawa zaliczać się do rzędu uczonych, powtóre, szanownej cici wiadomo, co filozof genewski powiedział o kobietach: że jeśli kiedy mężczyźni będą mieli rozum, to mądre panny zostaną pannami na zawsze.

Wtem dzwonek u drzwi od zakrystyi uderzył potrzykroć i licealny kapelan wychodzi z wotywą.

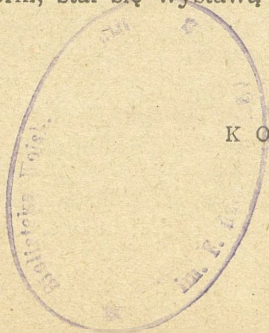
Pani Litwińska z naciskiem odezwała się:

— Ot, wolałbyś Mszy świętej słuchać, niż te głupstwa prawić!

Zwrócony do ołtarza, z pokorą zanilkłem. Jej ostatnie wyrazy dały mi domysł, że przywiedzione zdanie Russa, ulubionego dla niej autora, wzięła za przymówkę dla siebie, obwiniano ją bowiem o zarozumiałość tak wielką, że aż dało to powód do jej separacyi z mężem. Później nigdzie się nie zjechał z panią Litwińską, która już dawno nie żyje.

Ślub mój odbył się dnia 13 maja w zupełnej cichości, bo, jak już wspomniałem, pan Łażniński nie życzył sobie, aby akt najważniejszy w życiu jego córki, stał się wystawą teatralną.

K O N I E C.





12303

1